

Michał Viewegh

Cudowne lata pod psem



świat literacki

041 biblioteka

Michał
Viewegh

Cudowne lata pod psem

przekład z czeskiego
Romana Bielińska

świat literacki

IZABELIN

Powieść ta – jak ostatecznie większość powieści – jest naturalnym połączeniem tzw. prawdy i tzw. fikcji. Bez względu na to, jaki jest stosunek pomiędzy nimi, nie można z całą pewnością twierdzić – jak często twierdzi wielu czytelników – że postaci powieści rzeczywiście żyją i że zdarzenia w niej przedstawione faktycznie miały miejsce.

Tak samo nie można z całą powagą twierdzić – o czym w tym miejscu zapewnia nas wielu autorów – że „osoby i zdarzenia niniejszej powieści są całkowicie zmyślane”.

I

1

Zgodnie z przewidywaniami Zity, Kvido powinien być się urodzić w pierwszym tygodniu sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku w szpitalu położniczym w Podolu.

Jego matka miała już wtedy za sobą dwanaście sezonów teatralnych, jednakże zdecydowaną większość swych – przeważnie dziecięcych – ról w sztukach Jiráska, Tyla, Kohouta czy Makarenki uważała raczej za kompromitujące grzechy młodości. Zresztą studiowała na czwartym roku prawa i swą obecność w zespole statystów Teatru Armii Czechosłowackiej traktowała już tylko jako niezobowiązującą zabawę (co jednak nie przeszkadzało jej, aby dość przypadkową okoliczność, iż termin porodu przypadał na czas teatralnych wakacji, prezentować przed bardziej spełnionymi zawodowo koleżankami jako wynik jak najbardziej oczywistej, profesjonalnej dyscypliny). Paradoksalnie, pod powłóczką pasji amatorskiej, matka Kvida – niegdyś gwiazda przedstawień szkolnych – w rzeczywistości była bardzo wstydliva i z wyjątkiem Zity nikt inny nie mógł jej zbadać. Pani Zita, ordynator podolskiego szpitala położniczego i długoletnia przyjaciółka babci Líby, znająca matkę Kvida od dziecka, cierpliwie starała się spełnić jej kaprys i obiecała, że tak zmieni dyżury lekarzy, by w owym krytycznym dniu nie asystował na sali ani jeden mężczyzna.

U Zity w Podolu
rodzi się bez bólu

– zrymowała przy obiedzie babcia Líba, i nawet ojciec ojca Kvida, dziadek Josef, chociaż z góry sceptycznie nastaw-

wiony wobec wszystkiego co komunistyczne, nie wyłączając naturalnie służby zdrowia, gotów był przypuszczać, że prawdopodobieństwo zmiżdżenia główki Kvida kleszczami położniczymi tym razem jest nieco mniejsze niż zwykle.

Jedyną nieprzewidzianą okolicznością był wilgotny od rosy czarny wilczur, który już dwudziestego siódmego czerwca wieczorem pojawił się w czerwieniejącym świetle słonecznym na wełtawskim bulwarze, dokładnie w chwili gdy matka Kvida ociężała wysiadała z taksówki, a który – wzięwszy krótki, bezgłośny rozbieg – przycisnął ją do ciepłego tynku domu na rogu rynku Anenskiego. Nie można powiedzieć, by zamiary owego bezdomnego psa były zdecydowanie nieprzyjazne – przede wszystkim ani razu jej nie ugryzł; wystarczyło jednak, że całym swym ciężarem oparł się na jej wątłych ramionach, dysząc prosto w twarz – jak to niezbyt szczęśliwie określiła później sama matka – „zjęłczałym odorem dawno niemytych zębów”.

– Aaa! – jęknęła matka Kvida, kiedy częściowo otrząsnęła się z pierwszego przestrawu.

Ojciec Kvida, który zgodnie z umową czekał przed wejściem do teatru Na Zábradlí, usłyszał krzyk i natychmiast pobiegł na ratunek. Wprawdzie nie był pewien, do kogo należy ten pod wpływem strachu zmieniony głos, mimo to jednak od razu obudziło się w nim niezwykle podejrzenie, które pragnął rozwiać.

– Aaa! – matka Kvida jęknęła jeszcze bardziej przejmująco, albowiem teraz pies przednimi łapami dosłownie miażdżył jej kruche kości obojczykowe. Niestety, podejrzenie ojca Kvida sprawdziło się. Na moment zdrętwiał, porażony silnym uczuciem, jakiego nie doznał nigdy wcześniej, lecz prędko wyzwolił się spod tej siły i pognał w stronę najdroższego mu głosu. Biegł co sił po granitowej nawierzchni rynku, pełen gniewnej miłości, sądził bowiem, że jego żonę napadł kolejny z wielu pijaków, których od czasu gdy grała kelnerkę Hettie w *Kuchni Weskera*, nie starała się po prostu przezornie omijać, lecz o czymś przekonać. Zaraz jednak zobaczył swą żonę, jak dobywając resztek sił, stawia opór temu potężnemu, czarnemu ciężarowi, i zrobił

coś, czym na zawsze w oczach Kvida wyrósł ponad te swoje sto siedemdziesiąt dwa centymetry wzrostu: w biegu porwał najbliższy pojemnik na śmieci, uniósł go i kilkoma uderzeniami zabił psa na miejscu.

Matka Kvida potwierdziła później, że ów pojemnik był pełny, co, jak myślę, można z całą pewnością wykluczyć. Co gorsza, prawo do świadomego udziału w całym zajściu – a zatem także prawo do wypowiedzi świadka – rości sobie także sam Kvido:

– Nie zaprzeczam, oczywiście, że wtedy byłem, tak jak każdy płód, najprawdopodobniej ślepy – twierdził później – widocznie jednak w jakiś sposób musiałem odbierać otoczenie, bo jak inaczej mam sobie wytłumaczyć to specyficzne wzruszenie, które do dziś ogarnia mnie za każdym razem, gdy obserwuję pracę śmieciarzy?

Kvido posuwał się jeszcze dalej, prawdopodobnie usiłując prześcignąć Lwa Tołstoja, którego pamięć sięgała podobno do najwcześniejszego dzieciństwa. I tak na przykład swemu młodszemu bratu starał się po latach wmówić – z powagą, która skrywała coś przerażającego – że dokładnie sobie przypomina ów w rembrandtowskim stylu przyciemniony obraz jajeczka matki, przyklejonego do śluzówki macicy niczym jaskółcze gniazdo.

– O rany, Kvido, ale bujasz! – złościł się Paco.

– Nie licząc owego incydentu z psem, muszę przyznać, że ciąża jest dla każdego choć trochę tylko inteligentnego płodu niewyobrażalną nudą – kontynuował Kvido niewzruszony. – Celowo mówię „dla inteligentnego płodu” – bynajmniej nie dla tych gołych, nieruchomych odmieńców jaskiniowych, jakim, nawiasem mówiąc, byłeś na przykład ty, i to nawet jeszcze w kilka dni po przyjściu na świat, kiedy niestety byłem zmuszony spojrzeć w twą szkaradną, fioletową twarz. Może jednak potrafisz sobie przynajmniej wyobrazić, co to za potworna nuda te mniej więcej dwieście siedemdziesiąt absolutnie identycznych dni, podczas których rozbudzona już świadomość skazana jest tylko na bezczynne gapienie się na wody płodowe i wymierzanie sporadycznych, ospałych kopniaków w ściany brzucha, by ci na zewnątrz niepotrzebnie

nie wpadali w panikę? Dwieście siedemdziesiąt długich dni, które inteligentny człowiek o predyspozycjach humanistycznych musi spędzić niczym pływaczka synchroniczna na zgrupowaniu przed olimpiadą! Dwieście siedemdziesiąt dni bez jednej godziwej lektury, bez jednego pisanego słowa, nie biorąc naturalnie pod uwagę tej niezbyt oryginalnej dedykacji na pierścionku Zity! Dziewięć miesięcy w nieoświetlonym akwarium! Przez ostatnie trzy miesiące modliłem się już tylko, aby matka wreszcie naruszyła któreś z tych bezsensownych tabu i przejechała się ze mną na motocyklu po wyboistej polnej drodze albo przysłała mi ze dwa czy trzy porządne szlugi, jeśli nie wprost dwie setki białego wermutu. Słowo honoru, bracie: tego psa zesłały mi same niebiosy!

Kvido po raz pierwszy wyraźnie okazał swą niecierpliwość w chwilę po tym, gdy jego matka z histerycznym płaczem osunęła się w ramiona ojca. Martwy pies już sam w sobie wzbudzał znaczne zainteresowanie gapiów, zatem wizja kolejnego skandalu, tym razem w postaci przedwczesnego porodu, była dla matki najwyraźniej ponad siły. Toteż szybko wytarła oczy i z dzielnym uśmiechem na troskliwe pytania odpowiadała, że wszystko jest w zupełnym, ale to naprawdę w zupełnym porządku.

– Moja matka – opowiadał później Kvido – nigdy w życiu, będąc w towarzystwie, nie udała się do toalety, jeżeli nie można było tego zrobić niepostrzeżenie. I szczerze mówiąc, od zawsze w poważne zakłopotanie wprawiała ją nawet konieczność zwyczajnego smarkania.

Tej swej intymnej wstydlivosti, kryjącej w sobie coś ujmująco dziewczęcego, zawdzięczała przewlekłe zapalenie zatok i pęcherza moczowego, tak zwaną nawykową obstrukcję, a od dwudziestego siódmego czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku także poród *theatre in*: pierwszych skurczy doznała już w chwili, gdy zdejmowała w szatni lekki żakiet w kratkę; mimo to – pod wpływem hipnotycznego, błagalnego wzroku ojca Kvida – udało się jej stawić opór Kvidowi aż do ostatniej kurtyny, lecz ani minuty dłużej. Kiedy tylko Estragon i Władimir wypowiedzieli finalne repliki i nastąpił klasyczny moment krótkiej ciszy, która zazwyczaj poprzedza oklaski,

matce Kvida wymknął się pierwszy, zmordowany krzyk, po którym natychmiast nastąpiła cała seria następnych. Ojciec Kvida poderwał się z fotela i przez cały rząd osłupiałych widzów przedarł do foyer, skąd pognął w nocną dal, aby – jak zapewne sądził – spokojnie i rozważnie zorganizować wszystko, co konieczne. Na szczęście jednak natychmiast ocknęła się jakaś starsza dama siedząca z prawej strony matki Kvida: dwóm sąsiadom powierzyła zadanie wezwania karetki, sama zaś starała się wyprowadzić rodzącą z widowni, na której panował tłok i zaduch. Matka Kvida usiłowała za wszelką cenę trzymać się tej kobiety, bowiem nie odważyła się nawet pomyśleć, że poród mógłby się odbyć przed tyloma mężczyznami, równocześnie jednak – jak zapewniała później – wydawało jej się nietaktowne naruszanie beckettowskiej atmosfery egzystencjalnej beznadziei czymś tak prowokująco optymistycznym jak wydanie na świat zdrowego dziecka. Jednakże na przekór owemu postanowieniu padła u nóg swej przewodniczki dokładnie w chwili, gdy przechodziły wzdłuż sceny – skąd ją wreszcie podniosło dwóch mężczyzn, kładąc niemal pod nogi Václava Sloupa i Jana Libíčka, którzy wychodzili na scenę, by podziękować za oklaski, a teraz stanęli przerażeni. Widzowie – z wyjątkiem kilku dziesiątek kobiet, które nie zważając na wieczorowe kreacje, pełne wzruszenia rzucały się na scenę, by młodej mamusi przekazać nieco ze swych doświadczeń – w większości pozostali na swych miejscach, sądząc prawdopodobnie, że scena narodzin, która miała w każdej chwili nastąpić, jest zapewne częścią nowocześnie rozumianej inscenizacji.

– Wodę. Gorącą wodę! – wołał ktoś ofiarnie. – I czyste prześcieradła!

– Proszę opuścić widownię! – rozkazywał jeden z dwóch obecnych na sali lekarzy, któremu wreszcie udało się przedrzeć ku rodzącej.

– Proszę stąd odejść! – żądał uporczywie, lecz nikt nie ruszył się z miejsca.

– Aaa! – krzyczała matka Kvida.

Po paru minutach w sali rozległ się krzyk noworodka płci męskiej.

– Już przyszedł! – krzyknął Jan Libíček olśniony nagłą inspiracją, która dla Kvida okazała się niemal fatalna.

– Godot! Godot! – skandowała pełna zachwytu widownia, podczas gdy obaj lekarze skromnie przyjmowali słowa wdzięczności (na szczęście przezwisko się nie przyjęło).

– Jesteśmy uratowani! – wołał Václav Sloup.

– Na imię ma Kvido – szepnęła matka Kvida, lecz nikt jej nie słyszał. Z bulwaru dolatywał odgłos sygnału nadjeżdżającej karetki.

2

– Żeby nie było wątpliwości – powiedział Kvido po latach do redaktora – zdecydowanie nie zamierzam rysować całego tak zwanego drzewa genealogicznego i trząść jego wybujałymi gałęziami, dopóki nie spadnie z nich jakiś martwy inspektor budowlany albo zarządca majątku Thuny, by mi powiedzieć, kim jestem, skąd pochodzę i że Masaryk strzelał do robotników!

– Masaryka – rzekł redaktor pojednawczo – lepiej pominiemy. Dziadek ze strony ojca był górnikiem?

– No, nie powiem, żeby to był trafny wybór! – śmiał się Kvido. – Chciał być hotelarzem! Szkoda, że go pan nie słyszał! Kiedy do Tuchlovic przyjechała niezapowiedziana wizytacja i towarzysze nie zdążyli już dziadkowi przełożyć zmiany, na wszelki wypadek nie pozwolili mu wyjechać z kopalni. Podczas gdy pozostali górnicy rozmawiali z delegacją partyjną, osamotniony dziadek głęboko pod ziemią kłął i walił w rurki przewodowe. Górnicy nazywali go kopciuszkiem.

– To nie jest złe – odrzekł redaktor. – Lecz co dalej...

– No właśnie – powiedział Kvido. – Co dalej...

Ojciec Kvida urodził się ze zbyt wybitną inteligencją jak na tę ponurą rzeczywistość. Przez całe dwadzieścia jeden lat codziennie coś wypominał rodzinie: a to wiecznie niezastłane pierzyny, a to zapach gazu i odgrzewanych potraw, a to puste butelki, a to porozrzucany ligustr. Wprost pod oknami ich jednopokojowego parterowego mieszka-

nia przy ulicy Sezima co wieczór wymiotowali pijacy, opuszczający leżącą w sąsiedztwie restaurację U Banse-thów. Na brudnym tynku wielokrotnie rozmazywana była krew nuselskich Cyganów. Dziadek wyjeżdżał do Klad-na wczesnym rankiem albo zaraz po obiedzie, górniczym autobusem; kiedy był w domu, palił i chodził nerwowo po pokoju, rozdeptując przy tym ligustr.

– Pieprzone życie – mawiał często.

Ponadto całymi godzinami karmił papużki faliste albo głośno puszczał płyty gramofonowe z Louistem Armstrongiem i Ellą Fitzgerald. Babcia, kuśnierka, była przez cały czas w domu i od rana do wieczora szyla. Z trudem krążyła wokół starego krawieckiego manekina, mając usta pełne szpilek. Parkiety trzeszczały. Ojciec Kvida starał się przebywać gdziekolwiek, byle poza domem: z kolegą Zvárá łazili po wyszehradzkich murach obronnych. Na dworcu wrszowickim chowali się w wagonach na bocznicy. Czasem pozostawali na noc w auli gimnazjum. Później przesiadywali w czytelni wydziałowej, bo tak sobie życzył ojciec Kvida, albo w kawiarni Demínka, bo tak chciał Zvára. Chadzali do hufca pracy, zaś dwa wieczory w tygodniu ojciec Kvida spędzał w szkole języków obcych. Kiedy wracał nocą do domu i, usiadłszy przy biurku, w świetle małej lampki czytywał podręczniki do angielskiego, opierając je o klatkę pobrudzoną odchodami papużek, odnosił nieraz wrażenie, że wypowiada słowa jakiejś tajemniczej modlitwy.

Jakoś tak na początku ósmego semestru Zvára przyniósł ojcu Kvida bilet do teatru. Z wyrazu jego twarzy można się było domyślić, że ta, dla której bilet był pierwotnie przeznaczony, z jakiegoś powodu odmówiła.

– A na co to niby jest? – dopytywał się ojciec Kvida. – Kto jest autorem?

Nie chadzał do teatru, więc raczej nie mógł się spodziewać, że tytuł sztuki będzie mu znany, ale chciał mieć możliwość odwrotu, gdyby bilet był zbyt drogi.

– Na gówno! – powiedział Zvára, jak gdyby szukał zrozumienia u przechodniów. – Szekspir chyba, kto inny!

Mylił się jednak. Wystawiano *Czarującą szewcową* Lorki. W antrakcie spotkali dawną przyjaciółkę Zváry, która

przedstawiła im swą współtowarzyszkę, szczupłą dziewczynę w okularach i granatowej aksamitnej sukience z białym koronkowym kołnierzykiem.

– Niepobrudzonym przez papużki faliste – dodawał zawsze Kvido.

Była to matka Kvida.

W trzy miesiące później ojciec Kvida został po raz pierwszy wprowadzony do mieszkania na rynku Komuny Paryskiej. Oczywiście zwrócił uwagę na wielkość obu pokoi, wysokość sufitów, wypolerowany fortepian i ogromną ilość obrazów, lecz największe wrażenie zrobił na nim gabinet dziadka Jiřego: całą długość jednej ściany zajmowała mahoniowa biblioteczka z co najmniej tysiącem tomów, przed nią zaś stało tak zwane amerykańskie biurko, także ciemne, z żaluzjowymi drzwiczkami, za którymi przechowywana była maszyna do pisania i cała masa innych pomocy biurowych, łącznie z lakiem do pieczęci, pieczęcią rodową oraz nożykiem do rozcinania korespondencji.

– Proszę usiąść – polecił dziadek Jiř, wskazując skórzaną fotel.

– Jada pan pasztet z marchwi? – babcia Líba pospiesznie wyszła z kuchni, aby wybadać gościa.

– Od ponad dwudziestu lat – rzekł dziadek posępnie i zapalił papierosa marki Dux.

– Ciebie nie pytam – uśmiechnęła się babcia przekornie. – Pytam pana inżyniera.

– Ja jem wszystko – powiedział ojciec Kvida zgodnie z prawdą. – Proszę się mną nie przejmować.

– Nie obawiaj się – powiedziała matka Kvida nieco tajemniczo. – Mama się nie przejmuje.

Mimo iż ani dziadek, ani babcia nie pozbyli się pewnej minimalnej czujności (w końcu matka Kvida była ich jedyną córką), wizyta wypadła nadspodziewanie dobrze. Ojciec Kvida w żaden sposób się nie popisywał, bacznie wazył każde swe słowo, wydał się więc dziadkowi o wiele sympatyczniejszy niż większość młodych aktorów, poetów i scenarzystów, którzy przychodzili tu czytać swoje utwory, winili dziadka za koszmar lat pięćdziesiątych i oblewali jego biurko czerwonym winem.

– Odwiedź nas jeszcze – rzekł na pożegnanie lakonicznie dziadek Jiří, lecz w tym momencie matka Kvida domyśliła się, że ojciec Kvida zdał egzamin.

3

– Byłem zatem wcześniakiem – opowiadał Kvido. – Obie babcie były przerażone. Kiedy miałem rok, ważyłem czternaście kilogramów, ale one wciąż starały się utrzymać mnie przy życiu. Nawet gdy już miałem pięć lat, walczyły o moją zagrożoną egzystencję za pomocą bananów w czekoladzie.

Kvido jako pierwszy wnuczek w obu rodzinach był wprost rozchwytywany. Wszyscy (z wyjątkiem dziadka Jiříego) prześcigali się w zabieraniu go do zoo, toteż chłopiec stosunkowo długo był przekonany, że hipopotamy, strusie i kangury to zwierzęta domowe.

Oczywiście, prosto z zoo chodziło się do cukierni.

– Co to tu tak pięknie pachnie, Kviduniu? – zwykła pytać babcia Věra.

– No przecież kawusia! – odpowiadał mały, otyły Kvido tak słodko, że kawiarnianych gości ogarniało uczucie trudnego do zdefiniowania wstępu.

Kiedy matka Kvida przedstawiała swego syna komukolwiek w teatrze, do jej głosu wkradał się jakiś prowokująco ostrzegawczy ton.

– Zwłaszcza po tym, kiedy pewien dość znany reżyser filmów krótkometrażowych poprosił ją żartem, czy nie wypożyczyłaby mu do reklamówki o plusach antykoncepcji hormonalnej – opowiadał Kvido. – Niemniej, jak sobie uświadamiam, był to jedyny okres w moim życiu, kiedy byłem kochany maksymalnie, dając ku temu minimum powodów. Po prostu kochano mnie tylko dlatego, że b y ł e m. Gdzie te czasy!

Dziadek Josef zabierał Kvida na ryby, na mecze piłki nożnej albo nad wodę, aby wspólnie karmić mewy.

– Jedzieeemy! – pokrzykiwał zazwyczaj dziadek w Edenie.

– Masz, nażryj się – często wołał do mew nad Wełtawą.

– Skórę tnij, gwoźdźcia wbij – złościł się, kiedy dżdżownica, wijąc się, próbowała uniknąć haczyka.

Wszystkiemu temu towarzyszył niesamowity – i dla Kvida wówczas niewytłumaczalny – pośpiech. Kiedy byli w domu, dziadek spieszył się, aby już, już być na meczu, lecz jeszcze przed końcem pierwszej połowy już spieszył do podcieni po kiełbaski; jeszcze nie skończyli jeść, a już gnali z powrotem, by ktoś nie zajął ich miejsc, a na dwadzieścia minut przed końcem meczu przeciskali się przez złorzęcych widzów do domu. Dziadek spieszył się na ryby i spieszył się z ryb, spieszył się do pracy i z pracy, do gospody i z gospody. Ledwie dokądś przyszedł, już go coś gnało gdzieś indziej. Sporo czasu minęło, zanim Kvido pojął przyczynę owego wewnętrznego niepokoju: jego dziadek spieszył się, aby mieć już to zasrane życie za sobą.

Kvido – w przeciwieństwie do ojca i dziadka – lubił to małe mieszkanko przy ulicy Sezima. Nie mieszkał tu wprawdzie, ale często zostawał u babci Věry, aby nie musieć iść do przedszkola. Mógł się tu bawić puszystymi futrami, a poza tym fruwały tu trzy piękne niebieskie papużki. Później Kvido złośliwie sobie uświadamiał, że w tym czasie, kiedy jego rówieśnicy zaliczali jakiś nudny program wychowawczy, on mógł wylegiwać się na poduszkach z baranej skóry i beztrąsko obserwować papużki, wspinające się po zszarzałych od dymu firankach. Papużki były do tego stopnia oswojone, że babcia mogła spokojnie zostawiać otwarte okno, a one nie uciekały. Przechadzały się po parapecie, a kiedy, łopocząc skrzydłami, sfruwał do nich jeden z tysięcy nuselskich gołębi, w popłochu przylatywały z powrotem do swej opiekunki, sadowiąc się jej na głowie i ramionach. Babcia, aby nie czuć drapania ich pazurków, pod ramiączka halki zakładała latem dwie poduszeczki do igieł.

– Kiedy wszystkie trzy ptaki rozsiadły się na niej – opowiadał Kvido – dwa na ramionach, a jeden na głowie, babcia nabierała niemal ołtarzowej symetrii.

Czego jednak Kvido nie znosił, to paskudnego nawyku dziadka, jakim było dzielenie się z papużkami jedzeniem. Dziadek najpierw starannie przeżuwał pożywienie, potem szeroko otwierał usta, a ptaki od razu przylatywały do niego i dziobiąc jego poźółkłą sztuczną szczękę, upominały się o swoje.

– Nigdy w życiu, nawet w żadnym filmie pornograficznym – opowiadał Kvido – nie widziałem nic bardziej obrzydliwego od tych trzech zaślinionych opierzonych główek, na zmianę wsuwających się do ust dziadka, pełnych sosu z polędwicy.

Jeżeli dziadek Jiří przyjął wnuka z pewną powściągliwością, to nie dlatego, że go nie kochał: po pierwsze pracy w kancelarii prezydenta musiał poświęcać o wiele więcej czasu niż pozostali krewni Kvida swoim zajęciom; po drugie był przeciwny, jak się wyraził, ściganiu się o względy dziecka. Raczej cierpliwie czekał na swoją kolej, nie narzucał się, a tym bardziej – co z upodobaniem czyniły sobie nawzajem obie babcie – nie uprowadzał Kvida po kryjomu. Natomiast zawsze, kiedy wreszcie powierzano mu chłopca, przygotowywał dla niego program przemyślany w najdrobniejszych szczegółach, więc Kvido nawet przez minutę się nie nudził. Lecieli do Karlovych Varów, jeździli parowcem na Slapy, wspinali się na dziesiątki praskich wież, po kolei zwiedzili wszystkie muzea, Petřín, Vyšehrad, planetarium, no i, oczywiście, Zamek Praski. Dziadek posiadał legitymację, która otwierała mu drzwi zamknięte dla innych, tak że na przykład klejnoty koronacyjne Kvido zobaczył kilkanaście lat wcześniej niż pozostali śmiertelnicy. Poza tym dziadek miał wyjątkową umiejętność wyczuwania tego momentu, kiedy uwaga tego skądinąd chłonnego wiedzy i wrażeń chłopca zaczynała słabnąć: wówczas szybko kończyli zwiedzanie, przebiegali jakimś przejściem lub nieznaną dla Kvida uliczką – i w jednej chwili byli już na przystanku tramwaju, który zawoził ich gdzieś, gdzie zamawiali lemoniadę i duży kawał mięsa z jakimiś dodatkami.

Podczas tych wycieczek dziadek nie mówił zbyt dużo, ale zdarzało się, że to, co powiedział, mały Kvido stosunkowo dokładnie zapamiętywał.

– Na wszystkim zależy – pouczył matkę, siedząc pewnego wieczoru w wannie. – Ale, z drugiej strony, na niczym aż tak bardzo.

– Kto ci to powiedział? – pytała matka z uśmiechem.

– Dziadek Jiří – odparł Kvido, a kiedy pochylił głowę w kierunku biało-czerwonego pływającego parowca, na jego szyi pojawiły się trzy pofałdowane podbródki.

Podbudowana podobnymi dowodami, matka Kvida wierzyła – oczywiście jak większość matek – że pod zwałami tłuszczu syna ukrywa się jakiś wyjątkowy talent, który prędzej czy później się ujawni. Dlatego też już dwuletniemu Kvidowi głośno recytowała swe ulubione role teatralne, i to nie tylko te dziecięce, a już bynajmniej nie tylko te, w których rzeczywiście grała.

Ociec mój legł, Elwiro, i Rodryk na próbę
Męstwa swego tak znaczną obalił osobę.
Płaczcie, płaczcie, me oczy, zmieńcie się w krynice!
Połowa zdrowia mego drugą połowicę
W grób wprawiała i każe, żebym pomstę brała
Dla tej, której już nie mam, z tej, co mi została.*

– często na przykład recytowała Kvidowi. Nie sądziła oczywiście, by wiersze Corneille’a jakoś specjalnie go zachwycaly, miała jednak nadzieję, że za ich pośrednictwem Kvido stanie się kimś choć trochę innym aniżeli wszystkie dzieci wychowane na książkach typu *Mrówka Ferda* i *Kanon bajek czeskich*.

– W końcu rzeczywiście jej się to udało – opowiadał Kvido po latach. – Ja i mój psychiatra nigdy jej tego nie wybaczyliśmy.

Pierwsze wyniki wychowywania przez sztukę były do tego stopnia nieprzekonujące, że matka w pewnym momencie nawet zawahała się, czy aby jej dziecko mimo wszystko nie wda się w ojca, toteż na wszelki wypadek otoczyła jeszcze Kvida „bodźcami o charakterze technicznym”, czego w końcu o mały włos nie przypłacił życiem. Podarowała mu bowiem między innymi stare, zniszczone radio, które według jej własnych słów, miało się stać „indykatorem zainteresowania Kvida elektroniką”. Pewnego pochmurnego niedzielnego przedpołudnia Kvido po kryjo-

*Cyd Pierre’a Conneille’a w przekładzie Jana Andrzeja Morsztyna.

mu włączył radio do prądu, wyłamał tylną obudowę i sięgnął do środka po zdecydowanie najmocniejszą podniecie całej swej ontogenezy. Widok wybałuszonych, szklistych oczu chwilowo nieoddychającego Kvida, leżącego pod stołem na perskim dywanie, był dla jego matki na tyle trudny do zniesienia, że potem przez długie miesiące zadowalała się wyłącznie klasycznymi i – jak się wyrażała – intelektualnie bezwzględnie sterylnymi kredkami pastelowymi i modeliną. Kvido natomiast przyjął to z ogromną wdzięcznością – zwłaszcza kredki; do jego najbardziej udanych rysunków należała scena „Spadochroniarze w deszczu”.

– Popatrzcie, jakie ładne grzybki w igliwiu narysował! – wołała zachwycona matka Kvida, mimowolnie wyprzedzając w ten sposób sceny wielu jego późniejszych negocjacji z redaktorami wydawnictw.

Jeden talent mały Kvido bez wątpienia miał – czytelnicy. I choć nikt niczego w tym kierunku nie czynił (albowiem każdy uważał to za przedwczesne), w wieku czterech lat Kvido opanował cały alfabet. Wyszło to na jaw na początku września tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku podczas jednej z pierwszych prób przygotowywanej właśnie sztuki Kohouta pod tytułem *August, August, August*. Wprawdzie już wcześniej w domu Kvido dwukrotnie zabłysnął, przeczytawszy kilka krótkich tytułów z „Plamena” i „Literárních Novin”, jednakże obydwaj jego popisy zbiegiem okoliczności wtopiły się w zamieszanie wokół egzaminu rygorozum jego matki. Również owego pamiętnego przedpołudnia matka Kvida, bardziej niż kilkunastu prostym zdaniom swej roli, poświęcała się za kulisami opasłym skryptom prawa gospodarczego. Tymczasem jej syn walał się po purpurowych, pluszowych siedzeniach na zaciemnionej widowni, obmacywał pozłacane ozdoby łoża, a ponieważ wciąż zatrzymywana akcja inscenizacji wlokła się już ponad dwie godziny, szczerze się nudził. Niebawem zlitowała się nad nim pani Bažantová, garderobiana, i przyniosła mu skądś olbrzymi stos starych programów teatralnych. Kvido szeptem uprzejmie podziękował i przesunął się bliżej sceny, aby lepiej widzieć litery. W chwili kiedy się sadowił z naręczem kolorowych

programów, reżyser Dudek obejrzał się i uśmiechnął do niego przelotnie. Kvido uznał jego uśmiech za zachętę.

– Dziwna przygoda, czyli jak nie wydać córki za mąż – przeczytał półgłosem z zielonego programu, który leżał na wierzchu.

– Pst! – natychmiast upomniał go reżyser.

Pavel Kohout, który śledził próbę siedząc na lewo od Kvida, spojrzał na chłopca podejrzliwie.

– Posłuchaj, Pavle – szepnął Kvido i z wprawą oblizał palec wskazujący, aby wygodniej mu było przewracać strony: – O, matko moli, matko ludzi, matko stworzenia wszego, daj mi siłę powrotu do świata przecięźkiego – przeczytał płynnie.

– Jezus Maria! – wykrzyknął Pavel Kohout – to dziecko chyba umie czytać!

Próbie trzeba było na moment przerwać. Vlastimil Brodský i Vladimír Šmeral z zaciekawieniem patrzyli na otyłe dziecko.

– Przepraszam – usprawiedliwiała się matka Kvida, która, czerwona ze wstydu, pospieszyła wyprowadzić syna. – Pavle, przepraszam.

– Zaczekaj – rzekł Pavel Kohout. – Niech skończy czytać. Wskazał mu palcem odnośny wers w tekście.

– ...że są tak wåtli i tak bardzo potrzebni są w świecie, w którym monstra śmieją się – Kvido dokończył czytanie.

– Bravo! – zawołał z uznaniem Vladimír Šmeral. Niektórzy aktorzy zaklaskali. Nie było wątpliwości: Kvido umiał czytać.

4

Pokój rodziców Kvida. Wieczór. Kvido śpi.

OJCIEC (*odkłada kodeks drogowy*) Najważniejsze, żeby w styczniu nie było ślisko. Oznaczałoby to bowiem mój koniec.

MATKA (*prasuje*) I tak nie rozumiem, jak mogłeś wpaść w potrójny poślizg, podjeżdżając do dystrybutora na stacji benzynowej.

OJCIEC Okropnie mnie zdenerwował ten instruktor. Jest do mnie uprzedzony. Już na podwórku przed szkołą krzyczał, że tego egzaminu nie zaliczę – chyba

za tę torbę z mięsem, którą kazał mi wrzucić do bagażnika...

MATKA (*zdumiona*) A gdzie ją wrzuciłeś?

OJCIEC Do silnika. Miałem koszmarną tremę.

MATKA (*śmiejąc się*) Kiedy to odkryto?

OJCIEC Na Černokosteleckiej. Policjant, który siedział na tylnym siedzeniu, twierdził, że czuje przypalone szaszłyki.

MATKA Nie mówiłeś mi o tym!

OJCIEC Zapomniałem. Wiesz, ja po prostu nie mogę znieść faktu, że kiedy mijam się z jadącym z naprzeciwka samochodem, od pewnej śmierci dzieli mnie jeden niepozorny ruch ręki w nadgarstku. I w tym cały problem. Kilkanaście centymetrów – i koniec. W najlepszym wypadku oddział anestezyjologiczno-resuscytacyjny. Wyobraź sobie, że tam nie ma odwiedzin.

MATKA Nie możesz tak do tego podchodzić. Musisz po prostu bardziej wierzyć w siebie.

OJCIEC Wierzę w siebie na drodze jednokierunkowej. Kocham jednokierunkowe drogi. Po nich mogę jeździć!

MATKA Tak samo jak na tej stacji benzynowej! Albo wtedy na tej autostradzie!

OJCIEC Autostrada to coś zupełnie innego. Nigdy w życiu tam nie wjadę! Nie jestem kosmonautą!

MATKA No to po co w ogóle robisz to prawo jazdy?

OJCIEC Bo ty tego chciałeś.

– Nowoczesny człowiek – rzekł Kvido do redaktora – nie obejdzie się bez samochodu. Na marginesie, to mięso coś mi przypomina.

5

– Babcia – mawiał czasami przy obiedzie dziadek Jiří – bez wątplenia jest świetną i doświadczoną kucharką. Szkoda tylko, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć wykorzystuje swój niewątpliwy talent do przygotowywania dań bezmięsnych.

I miał rację: na sześć obiadów tygodniowo składały się kluski kładzione, zapiekane naleśniki, makaron z twarogiem, placki ziemniaczane, zapiekane ziemniaki z jajkiem i zapiekane bułki z jabłkami i twarogiem.

– Ja naprawdę nie mogę kupować mięsa, skoro dziadek daje mi na dom zbyt mało pieniędzy – broniła się babcia Líba niemal ze łzami w oczach, polewając jednocześnie knedle bułczane, leżące beznadziejnie samotnie na talerzu, wyśmienitym sosem koperkowym. – Z taką małą ilością pieniędzy nie dam rady. Po prostu nie dam rady.

Wszyscy członkowie rodziny wiedzieli jednak od dawna, że babcia nie tylko świetnie sobie radzi, mając tak mało pieniędzy, lecz że zostaje jej dokładnie tyle, by co roku mogła pojechać z Zitą i innymi przyjaciółkami na wycieczkę zagraniczną.

– W tym roku chcemy się z koleżankami wybrać do Jałty – oznajmiła babcia rodzinie wiosną tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku i oblała się rumieńcem, pełnym dziewczęcego wdzięku. – Chyba wam o tym wspominałam?

– Do Jałty?! – krzyczał dziadek Josef, kiedy się o tym dowiedział. – Do Jałty!? Ona spokojnie będzie wypoczywać właśnie w tym miejscu, gdzie nas na zawsze sprzedano bolszewikom?!

– Nie sądzę – rzekł natomiast bardzo uprzejmie dziadek Jiří, dojadając z niemal orientalnym spokojem resztę selerowego risotta.

Jeszcze wiele lat później, kiedy po trzygodzinnej kłótni małżeńskiej polewał ubraną Jaruškę lodowatym prysznicem, w nagłym olśnieniu umysłu Kvido przypominał sobie ów wyraz niedościgniętego zrozumienia, jaki wtedy malował się na twarzy dziadka.

– Babcia Líba była ortodoksyjną turystką – opowiadał Kvido. – Od wczesnego dzieciństwa na każde wakacje wyjeżdżała do najlepszych francuskich czy angielskich rodzin. Parę lat później zaczęła spędzać sylwestra w Alpach szwajcarskich. Obecne życie jej nie zadowalało: był to tylko jakiś nieproporcjonalnie długi pobyt letniskowy, podczas gdy ona uwielbiała – jak się nieskończenie wiele razy wyrażała

– raczej poznawanie. Dziadek był wprawdzie baczny, lecz mimo wszystko trudnym przewodnikiem. Z Jałty – ostatecznie jak z wszystkich wycieczek – przysłała babcia czarno-białą widokówkę z własną rymowanką:

Na pięknej plaży niedaleko Jałty
urządzamy małe party:
Kąpiemy się, rozmawiamy,
szydełkujemy i wspominamy!

– po czym następowało jak zawsze: *Wszystkich całuje, bo was miłuje – Wasza Líba!*

Kvido, który był tego dnia w świetnym humorze, bowiem po odjeździe babci dziadek wypełnił lodówkę wędzonymi ozorami, cielęcymi wątróbkami i wieprzowymi kotletami, próbował zażartować:

– *Wszystkich całuje, bo was miłuje, wasza bieda!* – zawołał na poczekaniu. Jego ojcu przemknął po twarzy lekki uśmiezek, lecz dziadek Jiří pozostał poważny. Matka Kvida, zamachnąwszy się, wymierzyła Kvidowi policzek; był to jeden z tych nieszczęśliwych razów, które nadchodzą parę sekund za późno, aby mogły zostać uznane za impulsywne.

Kvidovi opadły kąciki ust, był jednak zdecydowany bronić swej prawdy.

– *Wszystkich całuje, bo was miłuje, wasza bieda!* – powtórzył przekornie i dostał drugi.

W tym momencie jego twarz zmarszczyła się pod wpływem podwójnego wysiłku: po pierwsze, aby pohamować płacz – a po drugie, aby wymyślić jeszcze bardziej odważny i jeszcze bardziej prawdziwy rym.

Dziadek, ojciec i matka bacznie obserwowali, jak jego tłuściutka bródka wpada w coraz to mocniejsze wibracje.

– *Wszystkich całuje, mięsa żałuje!* – wykrzyknął w końcu przekornie Kvido.

Matka zacisnęła wargi i zamachnęła się po raz trzeci, lecz dziadek powstrzymał jej rękę.

– Człowiek, niewątpliwie, nie powinien być nieuprzejmy – rzekł do Kvida. – Nawet wtedy, kiedy ma rację. – Będziesz o tym pamiętać?

Kvido zdążył jeszcze przytaknąć skinieniem głowy, lecz zaraz wstrząsnął nim wybuch wyzwajającego płaczu.

– Tego dnia – opowiadał później – po raz pierwszy, i bynajmniej nie ostatni, poznałem straszliwe następstwa owe go przypadku, kiedy to nieubłagane prawo twórczości obraca się przeciwko własnej rodzinie artysty.

Tak na marginesie, pierwszym człowiekiem, który po raz pierwszy w sposób proroczy wspomniał o literaturze w odniesieniu do Kvida, był jego ojciec. (Jego uwaga była jednak do pewnego stopnia ironiczna, albowiem nawet jemu – chociaż głośno nigdy tego nie przyznał – wszyscy ci młodzi poeci, dramaturdzy oraz autorzy tekstów piosenek, którzy nie przestawali odwiedzać żony, zaczęli już coraz bardziej działać na nerwy).

– Myślisz, że on się tymi zwierzętami przynajmniej trochę interesował? – babcia Věra skarżyła na Kvida po wiosennej premierze w zoo. – Ani trochę! Przez cały czas tylko sobie o nich czytał z tej książeczki, którą mu dziadek kupił przy wejściu!

– No tak – rzekł ojciec Kvida. – Teraz zwariował na punkcie czytania.

– A zawsze tak się wybieramy, aby zobaczyć karmienie! – podkreślała babcia.

Nie przesadzała: podczas gdy żywe, prawdziwe zwierzęta przed nimi skakały, pełzały i latały tak blisko, że czuli ich zapach i widzieli każdy włoszek, każdą lśniąca łuskę i każde kolorowe pióreczko, Kvido oparł o balustradę przed klatkami wspomnianą publikację i czytał sobie tekst pod marnej jakości zdjęciami. Babcia była bezradna. Kvido swym zachowaniem zaskoczył ją do tego stopnia, że tym razem – w przeciwieństwie do poprzedniej wizyty – wbrew swym zasadom wychowawczym skłonna była pokazać mu nawet parzące się małpy, lecz te niestety spały.

– Co to za dziecko? – babcia zwróciła się teraz do ojca Kvida. – Powiedz mi, co z niego wyrośnie!

Ojciec Kvida przez moment wyobraził sobie swego syna, jak w miejscach, gdzie żółto-czarne żyrafy obgryzają gałązki z wierzchołków drzew, lwy szarpia trzydziestokilogramowe kęsy krwawej wołowiny i gdzie orły rozpostarty-

mi skrzydłami rzucają większy cień niż wszystkie parasole w ogródku sąsiadującej restauracji, czyta jakąś książkę o zwierzętach.

– Zapewne pisarz – rzekł rozbawiony.

– Wiesz, w którym miejscu wyjątkowo nie czytał? – do-
dała babcia w zamyśleniu. – Kiedy staliśmy przy psach.

6

Wieczorem przed Bożym Narodzeniem tysiąc dziewięć-
set sześćdziesiątego siódmego roku babcia Líba z matką
Kvida przygotowywały sałatkę ziemniaczaną. Ojciec Kvida
siedział przy kuchennym stole i półgłosem czytał jakiś an-
gielski tekst z ostatniej strony „Plamena”.

– We would like to call our readers’ attention to the fol-
lowing contributions in the December edition of „Plamen”
– czytał ojciec.

– Zastanawiam się – powiedziała matka Kvida – czy to
zupełnie normalne, kiedy czeski czytelnik czyta w czeskich
czasopismach w y ł ą c z n i e résumé w języku angielskim.

– Nie, to nie jest normalne – odpowiedziała babcia Líba.

– Dlaczego nie? – rzekł ojciec Kvida. – Uwielbiam zwię-
złe podsumowania. Zawierają wszystko. Jak myślisz, dla-
czego udało mi się skończyć studia?

– Kiedy wreszcie będziemy ubierać choinkę? – dopyty-
wał się Kvido. – Cały czas to odkładacie. Potraficie sobie
wyobrazić, jakie to jest deprymujące?

– Kiedy tylko tatusiowi uda się ją osadzić w stojaku – po-
informowała go matka.

– No, tatuś! – nalegał chłopiec i próbował odebrać ojcu
czasopismo.

– Najpierw mi coś przeczytasz!

– Zaczekaj – matka przypomniała sobie o czymś, wytar-
ła rękę w ścierkę i przewróciwszy parę kartek, znalazła
w czasopiśmie stronę z zaznaczonym tekstem – to nam
przeczytaj.

– Tak dużo? – rzekł Kvido pozornie zawiedziony, w rzeczy-
wistości jednak cieszył się, że znów może zademonstrować
swą umiejętność czytelniczą na jako tako spoistym tekście.

– Jednym z duchowych symptomów stalinizmu było za-
wężenie szeroko rozumianej twórczości do autorytatywnie
uregulowanych i de iure nieprzekraczalnych ram jedynej
„właściwej” i „postępowej” metody, dla której przyjęto na-
zwę „realizm socjalistyczny” – Kvido przechodził samego
siebie. – Normy estetyczne i zasady tej koncepcji zasadniczo
wyprowadzono z realistycznej prozy dziewiętnastego wie-
ku, która swym obiektywnym opisem rzekomo była w sta-
nie przedstawiać c a ł o k s z t a ł t realiów życiowych, szcze-
gólnie zaś to, co było dla marksistowskiego pojmowania
roli sztuki najważniejsze: ruch i konflikty klas społecznych.

– Świetnie, Kvido – pochwaliła go matka. – Niezła dema-
gogia, no nie? – zwróciła się do ojca.

On jednak już od dłuższego czasu skupiał uwagę na ku-
charskich poczynaniach teściowej.

– Nie powinno się tam wkroić kielbasy? – spytał.

– Do sałatki ziemniaczanej?! – przeraziła się babcia Líba.

– Ale ciebie to widocznie nie interesuje – powiedziała
matka Kvida. – Ciebie podnieca kielbasa w sałatce.

– Kielbasa w sałatce mnie nie podnieca – powiedział oj-
ciec Kvida. – Zaabsorbowała mnie wyłącznie kwestia jej
potencjalnej a b s e n c j i.

– Kielbasa do sałatki ziemniaczanej! – babcia Líba niedo-
wierzająco kręciła głową. – Też pomysł!

– Czy my wreszcie będziemy ją ubierać? – spytał Kvido.

– Chodź – rzekł do niego ojciec. Kvido zabrał stojak, a oj-
ciec porównał średnicę pnia z wielkością otworu w stojaku.
Następnie poprosił o nóż i starannie, niemal z czułością za-
czął strugać.

– Co za zapach – rzekł. – Uwielbiam drewno.

– Bardziej niż zwięzłe podsumowania? – spytała matka.

– Bardziej.

– Ale mniej niż drogi jednokierunkowe?

– To prawda, mniej – śmiał się ojciec. – A także mniej niż
ciebie.

W zamku zazgrzytał klucz.

– Dziadek – wykrzyknął Kvido.

– Dobry wieczór wszystkim – rzekł dziadek Jiří, kiedy
wyszli do przedpokoju, aby się z nim przywitać. Na ron-

dzie kapelusza oraz na ramionach jego zimowego płaszcza było pełno mokrego śniegu. – Zatrzymał mnie František i zaciągnął na kolację.

– Po południu przygotowałam kotlety mielone! – powiedziała babcia Líba z wyrzutem.

– Kotlety mielone z kapusty włoskiej – uściśliła matka.

– Umyję tylko ręce – rzekł dziadek – i chętnie zjem z wami.

– Jednego – powiedziała wesoło matka Kvida.

– No i co mówił? – interesował się ojciec Kvida, kiedy dziadek Jiří wrócił z łazienki.

– František? Że podobno ludzie nam ufają, na przykład – odpowiedział dziadek Jiří z tajemniczym uśmiechem. – Masz na myśli ludzi tutaj w Vikárce?, wypytywałem go dalej. Nie, powiada, mam na myśli ludzi tutaj, w republice. Podobno trzymamy w ręku szansę historyczną.

– Ja mu wierzę – powiedziała matka Kvida. – I poza tym go lubię. Wierzę wam wszystkim, naprawdę. Was, przyjaciele, czeka wspólna praca: Rządźcie – niech chory kraj do zdrowia wraca.

– I co mu na to odpowiedziałeś? – zapytał ojciec Kvida.

– A co można odpowiedzieć na prognozy polityczne? – rzekł dziadek z powątpiewaniem. – Nic. Że jestem prawnikiem, że osobiście nie trzymam w s w y c h rękach żadnej szansy, a zatem nikomu niczego nie obiecuję. Że, owszem, sam bym się oczywiście także cieszył, gdyby się to udało, i postaram się w tym celu uczynić maksimum.

– Ładnie mu odpowiedziałeś – pochwaliła go babcia Líba. – Na temat wiz nic nie mówił?!

– Nie – powiedział dziadek zdziwiony. – Z wizami nie ma nic wspólnego.

– Powiedz mi, proszę – przypomniała sobie nagle babcia. – Czy dodaje się kielbasę do sałatki z i e m n i a c z a n e j?

– No – powiedział dziadek powoli i szybkim spojrzeniem zlustrował blat kuchenny – to zależy od upodobań kucharza.

– Nie dodaje – powiedziała babcia Líba.

– U nas na Akademii – rzekł pospiesznie ojciec – też już zaczyna się coś dziać: Wiecie, co sobie Šik kazał napisać

na drzwiach? SPRZEDAŻ ODPUSTÓW ZA BŁĘDY EKONOMICZNE! Wczoraj pokazywał mi to Zvára.

– O, rany – zawołał Kvido. – Weźmiemy się w końcu za to ubieranie?!

7

Kiedy dwudziestego pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku dziadek Kvida, Josef, o godzinie czwartej trzydzieści nad ranem wstał z łóżka, aby udać się do pracy, usłyszał jakieś przedziwne łomotania, które spod ciemnych chmur wpadały do kuchni przez okno. Cicho odstawił czajnik na kuchenkę gazową, lecz jego ostrożność była zbędna, gdyż z powodu wspomnianego huków babcia od dłuższej chwili także nie mogła spać.

– Co to? – dopytywała się z pokoju tonem pełnym wyrzutów.

– Skąd mam wiedzieć? – odburknął dziadek. – Chyba nie śmieciarze.

Nagle stanął jak wryty, bowiem uświadomił sobie, że do tej pory nie dostrzegł papużek falistych. Zajrzał do pokoju, zapalił światło, zgasił i wrócił do kuchni, rzucając okiem na szafę i półkę, odgarnął zasłonę, lecz nigdzie ich nie było.

– Gdzie są moje papużki? – zawołał, patrząc na otwarte okno. – Nigdzie ich nie ma.

– Ślepy jesteś? – krzyknęła babcia. – A gdzie by miały być?

– Skąd mam wiedzieć?! – wrzasnął zdenerwowany dziadek, rozglądając się wokół. – Chodź ich poszukać, skoro jesteś taka mądra!

Niestety, miał rację. Papużki zniknęły.

Kvido obudził się parę minut przed ósmą. Zdziwiony spojrział na dziadka, który dawno już powinien być na zmianie, lecz zamiast tego siedział w piżamie za stołem i słuchał radia.

– Uciekły nam Kaczuszki – powiedziała babcia ze smutkiem. – Chyba coś je spłoszyło.

Kvido popatrzył na sufit, a następnie, wciąż leżąc w łóżku, uniósł się na łokciu, by dojrzeć klatkę. Była pusta.

– Dlaczego? – zapytał.

Na razie nie czuł żalu. Wprawdzie było mu przykro, że już nigdy więcej nie zobaczy, jak papużki wspinają się po firankach i jak siadają babci we włosach, równocześnie jednak cieszył się, że nikt już nie będzie mu siadał na krawędzi talerza i nie będzie ładować pazurów do jego purée ziemniaczanego.

– Dlaczego?! – krzyknął dziadek. – Dlaczego?! Ponieważ towarzysz Breżniew wypowiedział nam wojnę!

– Przestań, słyszysz!?! – wrzasnęła babcia. Kvido jeszcze nigdy jej takiej nie widział. – Przestań! To nie jest żadna wojna, rozumiesz?!

Zmroziła dziadka wzrokiem i usiadła na łóżku Kvida.

– Dziadek się wygłupia – powiedziała i pocałowała go w policzek. Poczuł przyjemny zapach jej kremu migdałowego. – Kręcą tu jakiś film wojenny, a dziadek od razu myśli, że wybuchła wojna!

Kvido wstał i z zaciekawieniem podszedł do okna, lecz nie widział ani żadnych kamer, ani żołnierzy. Babcia nasypała na parapet trochę karmy dla ptaków.

– Zjedz śniadanie – zwróciła się do wnuka. – Placek stoi na lodówce.

Wyczyściła klatkę, zmieniła wodę w misce, po czym usiadła w kuchni na tapczanie i wpatrywała się w puste okno. Kvido, patrząc na przygnębioną babcię, zawstydził się w duchu i począł dokładać starań, aby także zatęsknić do papużek. Skoncentrował się i podczas śniadania myślał o ich pięknym niebieskim ubarwieniu, ich aksamitnych piórkach i oczkach jak perełki tak usilnie, aż się rozpląkał.

– Nie becz – powiedziała babcia ze wzruszeniem. – Pójdziecie z dziadkiem rozwiesić ogłoszenia.

Dziadek oderwał papierosa od ust.

– Jakie ogłoszenia?!

– A jak myślisz – warknęła babcia. – Że nam uciekły!

– Teraz?! – krzyczał dziadek. – Akurat teraz będę się troszczył o papużki!!

– No a niby kiedy? Czy to moja wina, że uciekły akurat teraz?

– Chętnie pójde rozwieszać – rzekł Kvido. – Jeśli mogę...

– Skórę tnij, gwoźdźcia wbij! – krzyczał dziadek Josef za każdym razem, kiedy któraś z karteczek z informacją o zaginięciu trzech papużek falistych z ulicy Sezima numer dwa nie chciała się przykleić. Oczy mu płonęły, a srebrne pasemko włosów nieustannie opadało na spocone czoło.

– Jeszcze całkiem niedawno, zanim sobie wreszcie przypomniałem, jaki zawód wykonywała babcia – opowiadał Kvido redaktorowi – nie przypisywałem temu powiedzonku żadnego innego znaczenia...

– A fe – rzekł redaktor. – Niech pan z tego nie robi porosa. Ten rozdziałik i tak w całości skreślimy.

Najpierw okleili słupy latarni stojących na ulicy, potem także te na rynku. Po jednej karteczce nakleili na budce telefonicznej, na kiosku z wyrobami tytoniowymi oraz na słupku przystanku tramwajowego.

– O rany, teraz troszczyście się o papużki? – krzyczał za nimi jakiś mężczyzna, przeczytawszy ogłoszenie. – Jacy z was patrioci?

Dziadek, nie odwracając się, zamasyście machnął ręką i wymamrotał jakieś niezrozumiałe przekleństwo. Kvido nie pojmował zarzutów mężczyzny, lecz nie miał czasu, aby się nad tym zastanawiać, gdyż uważnie wodził wzrokiem po niebie, po drzewach i po gzymsach kamienic. Nigdzie nie było śladu papużek. Przeszli przez Botič, przemaszerowali pod wiaduktem i po nuselskich schodach szli w górę.

– Tutaj też będziemy naklejać? – interesował się Kvido.

– Oczywiście – powiedział dziadek i zapalił papierosa.

Rozwiesili pozostałe karteczki i na chwilę spoczęli na ławeczce w parku na rynku Tyla. Wszędzie było pełno ludzi, i to nie tylko na chodnikach, ale także na ulicach; niektórzy chodzili nawet po torach tramwajowych.

– Spójrz! – zawołał nagle Kvido. Od rynku Karola nadjeżdżały dwa zielono-brązowe transportery; w porównaniu z zaparkowanymi samochodami osobowymi wydawały się chłopcu przerażająco duże. Dziadek, znieruchomiły, nie mógł wstać z miejsca, natomiast Kvido, który zawsze

uważał aktorów za swych dobrych przyjaciół, wskoczył na ławeczkę i machał do nich wesoło.

– Krótko mówiąc, byłem jednym z owych ośmiu czy dziewięciu ludzi w Pradze, którzy uśmiechali się do najeźdźców – rzekł Kvido do redaktora.

– Szkoda na to papieru – redaktor kręcił głową. – Szanuj lasy!

Dziadek odciągnął Kvida na bok i bez jakichkolwiek wyjaśnień zabronił mu machać do filmowców. Kvido obiecał zrobić, co mu kazano, niemniej zapragnął dalej szukać papużek. Dziadek jednak kategorycznie odmówił, twierdząc, że najpierw musi w Valdku splukać z języka ten obrzydliwy posmak taśmy klejącej – i jak powiedział, tak uczynił.

– I co ty na to, grubasie – rzuciła Kvidowi jakaś jasnowłosa starsza pani właśnie w chwili, kiedy ten z mieszanymi uczuciami wstretu i zainteresowania obserwował, jak poziom piwa w kuflu optycznie powiększa przednie zęby dziadka.

– Nie wiem – odparł. – Niczego podobnego jeszcze nie widziałem.

– No tak – powiedziała owa pani. – Za to my owszem, prawda, Pepíku? W marcu trzydziestego dziewiątego!

– Pewnie, że tak – powiedział dziadek Josef. – Wszystkich trza by powiesić. Na tych ich bieriozach!

– Moje słowa – powiedziała owa pani.

Kiedy mniej więcej po półtorej godzinie wyszli znowu na ulicę, Kvido zauważył, że kroki dziadka są zadziwiająco niepewne. Wiedział już, co to oznacza, starał się jednak grzecznie udawać, że niczego nie zauważył i zaczął mu opowiadać o komicznych trudnościach związanych ze zmianą nazwy TJ Dynamo Praha na dzisiejszą Slávię, tak jak kiedyś usłyszał tę opowieść z ust Pavla Kohouta w klubie teatralnym.

– O tym zetemesowcu – rzekł dziadek z niezmierną pogardą w głosie – wolę nie słyszeć.

Ku niemałemu zdziwieniu Kvida w mieszkaniu przy uli-

cy Sezima oprócz babci Věry czekała już w komplecie cała rodzina. Aż trudno było uwierzyć, jak im się wszystkim udało zmieścić na tej malusieńkiej przestrzeni, ba, nawet zając miejsca siedzące, choćby nawet – jak w przypadku ojca Kvida – na koszu z brudną bielizną. Dziadek Jiří i matka Kvida palili papierosy, toteż całe pomieszczenie pełne było szaroniebieskiego dymu.

– Wrócili! – zawołała babcia Líba, która jako pierwsza usłyszała dochodzący z korytarza głos wnuka i biegła otworzyć im drzwi. – Możecie mi powiedzieć, gdzieście byli? – ofuknęła dziadka od razu w drzwiach.

– Chlali – odezwała się matka Kvida głosem kelnerki Hettie. – Nie mylę się, prawda?

– Na Boga, tato – rzekł rozpaczliwie ojciec Kvida. – My tu już od trzech godzin umieramy ze strachu!

– Gdzie?! – wyrwał się dziadek Josef i wysunął brodę w kierunku babci Líby. – Gdzie?!

– Poszliśmy sobie obejrzeć waszych koleś z Jałty!

– Przestań! – jęknęła babcia Věra.

– Wobec tego przepraszam bardzo – obruszyła się babcia Líba.

– Jeżeli powiedziałam kiedyś, że to byli mili i towarzyscy ludzie, nie znaczy to przecież, żebym się z nimi wszystkim i we wszystkim zgadzała. Całymi wieczorami wiedliśmy, możecie o to spytać Zity, wielogodzinne i bardzo ostre polemiki. Przede wszystkim ten Grigorij, chyba opowiadałam wam o nim, był nieustępliwy w swych poglądach. Wyobraź sobie, że występował nawet przeciwko...

– Jarzynom? – spytała matka Kvida.

– No, wiesz co – babcia westchnęła. – Na to nie zasłużyłam. To chyba za to...

– Pozwólcie Josefowi się wyspać – rzekł dziadek Jiří. – Idźcie wszyscy do domu. I bardzo by mnie ucieszyło – rzekł z naciskiem – gdybyście tam w s z y s c y pozostali.

Skądś z centrum miasta dał się słyszeć strzał.

– To straszne! – zawołała babcia Líba. – Co będziemy robić? Telefonowałaś już do Františka?

– „Obwołujemy powszechną żałobę” – zarecytowała matka Kvida. – „Lepiej idźmy do więzienia. I w ścianach

celi przetrwamy intrygi, zmowy i spiski wielkich tego świata, zmienne jak morze i wpływy księżycy”*

– František – rzekł dziadek Jiří trochę zirytowany – nam nie pomoże; i niewątpliwie nie pomoże nam również Szekspir!

– Powiesić ich – powiedział dziadek Josef. – To by pomogło!

– Mamo! – zawołał ojciec Kvida. – Niech on idzie wreszcie spać! My już wychodzimy. Niech się położy w kuchni.

– To także wina Kvida! – zawołała matka Kvida.

– Najważniejsze, że od trzeciego roku życia wie, co to jest zegar!

– Jest zazdrosna o filmowców – szepnął Kvido dziadkowi Jiříemu do ucha.

– O co chodzi? – krzyknęła matka, gdyż dosłyszała jego słowa.

– Że jesteś zazdrosna o filmowców! – pisnął Kvido i skrył się za dziadkiem przed matką, która zamachnęła się na niego.

– O Boże! Zawsze myślałam, że to geniusz – rzekła matka, nie wierząc własnym uszom. – Dziś dopiero widzę, że to idiota!

– Dajże temu dziecku spokój! – zagrział dziadek Jiří. – Zachowujesz się jak głupia gęś. Jak myślisz, ile jeszcze zdoła dziś wytrzymać?

– Przywiązać do brzozy, pochylić ją i... puścić! – wykrzykiwał dziadek Josef z głębi swej ponurej wyobraźni.

– Widzicie go?! – zaczęła krzyczeć babcia Věra. – Widzicie go?!

– To nie jest takie straszne – rzekł ojciec Kvida z rezygnacją. – Gorzej, że go także słyszymy.

– Przepraszam – powiedziała nagle matka. – Kvido, przepraszam. Wszystkich was proszę o przebaczenie! Naprawdę – rozplakała się. – To dla mnie trochę za dużo.

– Nie musisz się usprawiedliwiać – powiedziała babcia Líba. – Już ci wybaczyłam. To nie jest odpowiedni moment na jakieś osobiste sprzeczki. Czekają nas trudne czasy. Wszyscy musimy zacisnąć zęby i oszczędzać. Ostatecznie nie wiadomo, jak to będzie z podróżowaniem?

* *Król Lear* Williama Szekspira, w przekładzie Stanisława Barańczaka.

– Panno święta – rzekł dziadek Jiří. – Pójdziemy wreszcie czy nie?

– Pójdziemy – powiedziała matka Kvida ściszym głosem. – Tylko dokąd?

II

Z dziennika Kvida.

20 września 1968

Przeprowadzamy się do jakiejś Sázavy! Nikt nie umiał mi wytłumaczyć, dlaczego. Powiedzieli tylko, że spóźniłem się na początek roku szkolnego i że w Sázavie jeszcze przez rok będę chodził do przedszkola. Same hiobowe wieści! Oprócz tego nikt dokładnie nie wie, gdzie ta Sázava właściwie leży. Na mapie CSRS jej nie znaleźliśmy. Ojciec powiedział, że jutro przyniesie większą. Cały czas sobie śpiewa „Katuszę”. Matka milczy.

21 września 1968

Nie ma jej też na większej. Ojciec powiedział, że przyniesie jeszcze większą. Matka śmiała się histerycznie i proponowała, aby pożyczył ją od żołnierzy. O ile jeszcze w ogóle jakąś mają, dodała. Zapytałem ojca, dlaczego jednym szarpnięciem muszę zerwać wszystkie więzy uczuciowe, łączące mnie z Pragą. Ponieważ nie chciałem czekać, aż mnie wyrzucą z pracy, rzekł ojciec. Podobno wolał odejść sam. Jeśli niby Kocham Bruncvička, umożliwi mi odwiedzanie go w czasie weekendów. Odniosłem wrażenie, że ze mnie kpi.

22 września 1968

Ojciec i matka będą pracować w sázavskiej hucie szkła, gdzie podobno produkuje się światowej sławy ogniotrwałe szkło na potrzeby gospodarstwa domowego oraz dla laboratoriów. Ojciec mówił, że będziemy mieszkać w przyzakładowej willi z dużą oszkloną werandą, a po pracy będziemy się kąpać w rzece, która szumi zaraz pod oknami. Jutro mamy pojechać tam się rozejrzeć. Matka miała sceptyczny wyraz twarzy i mówiła do ojca „Františku

Hrubinie". Powiedziała mi, że wtedy nie kręcono żadnego filmu, lecz że była to całkiem normalna okupacja. Babcia powiedziała, że to nie była okupacja, tylko pogrom na turystów.

23 września 1968

Dzisiaj pierwszy raz w byliśmy Sázavie. Klasztor jeszcze jako tako ujdzie, ale kiedy oglądałem okolicę, zrozumiałem, że ci mnisi odeszli chyba dobrowolnie. Razem z ojcem obejrzelśmy tę willę przyzakładową. Podobało mi się, że ma w tynku różnokolorowe szkiełka. Matka została w samochodzie. Powiedziałem jej, że willa nazywa się Drábovka. Stwierdziła, że to ładna nazwa. Potem zaczęło padać. Kiedy w sklepie kupowałem lemoniadę, zaskoczyło mnie, że tutaj na regałach leżą czekolady zaraz obok mydeł i tym podobnych artykułów. Ojciec wyjaśnił mi, że jest to sklep z towarami mieszanymi, co podobno jest pomysłem praktycznym, wyprzedzającym pod wieloma względami swą epokę, chociaż zgodził się, że ten środek do polerowania mebli znalazł się w ladzie chłodniczej prawdopodobnie przez pomyłkę. Padało coraz bardziej, więc pobiegliśmy się schować do najbliższej restauracji. Biegliśmy prawie pół godziny. Matka krzyczała, że takiemu kierowcy, który boi się jeździć w czasie deszczu, potrzebny jest psychiatra. W restauracji było wielu młodych wagabundów. Mieli wsunięte w buty tyżki stołowe, co wydawało mi się zdecydowanie niehigieniczne. Ojciec kłócił się z matką, czy plakat SKUP SKÓREK jest modernistyczny czy funkcjonalistyczny. Kiedy zjedliśmy parówki, przestało padać. Chciałem już iść, ale ojciec upierał się, że jeszcze jeżdżania musi wyschnąć. Matka zamówiła rum. Potem przez chwilę śpiewała razem z młodymi wagabundami, ale przy czwartej piosence rozplakała się. Kiedy ją spytałem, dlaczego płacze, odpowiedziała, że w smutny nastrój wprowadził ją tkliwy refren NO KOPNIJ W TO PUDŁO. W Pradze ojciec przemocą trzymał nas przez godzinę w parku, aby matka nie wyglądała na zapłakaną. Dziadkowi powiedziała potem, że Posázavie jest deszczowym krajem, pełnym oryginalnych, miłych ludzi, jednak ona osobiście będzie je od dziś uważała za czeską Syberię.

29 września 1968

Dzisiaj po południu przeprowadzaliśmy się. Za oknami Drábovki było mnóstwo obcych ludzi. Matka powiedziała, że ci dwaj

z firmy od przeprowadzek muszą być chyba pijani, skoro niosą jej łóżko na tę oszkloną werandę. Ojciec powiedział, że oskarża ich bezpodstawnie, gdyż ta weranda będzie faktycznie naszym tymczasowym domem. Matka usiadła w wiklinowym fotelu przed willą i stamtąd mniej więcej przez godzinę obserwowała fale na rzece. Potem wzięła mnie za rękę i powiedziała ojcu, że wracamy do Pragi. Ojciec powiedział, że zawsze chciał się ożenić z dziewczyną na dobre i na złe, a tymczasem – jak teraz widzi – niewątpliwie poślubił dumną księżniczkę. Co niby dopiero ma robić inżynier Zvára, zauważył ojciec, który razem ze swą narzeczoną już trzeci tydzień mieszka na czarno w elektrycznym transformatorze? Kiedy się ściemniło, matka powiedziała mi, że życie z moim ojcem coraz bardziej przypomina jej zieloną noc.

30 września 1968

Weranda oszklona jest z trzech stron. Wczoraj matka krępowwała się, kiedy miała przebrać się w piżamę. Twierdziła, że przez te okna obserwują ją setki oczu. Trochę było mi jej żal. Położyłem się koło niej i przytulilem do jej prochowca. Ojciec czytał książki o szkle.

1 października 1968

Zaczął się październik. Zapytałem ojca, co zrobi, kiedy lodowaty wiatr północny nawieje nam tu trzy czy cztery zaspasy – odparł, że odśnieży. Nieraz się zastanawiam, czy w ogóle jest w stanie być dla matki i dla mnie oparciem. Albo czyta o szkle, albo rzeźbi sobie ozdobne laski. Jednak wykonanie zwykłej fujarki, o którą go już kilka razy uprzejmie prosiłem, jest niewątpliwie ponad jego możliwości. Pojutrze po raz pierwszy idą do pracy, a ja do przedszkola. Metafora to klucz do rzeczywistości. Czytam książkę o pisarstwie i pomagam matce. Kiedy chce się przebrać, muszę jej z materaców wybudować bunkier.

2 października 1968

Dzisiaj z ojcem byliśmy nad rzeką. Powiedział, że musi zdobyć jakieś drewno do rzeźbienia. Zapytałem go, o co mu chodzi z tym drewnem. Odpowiedział, że jest to materiał o wyjątkowych właściwościach psycho-higienicznych, co podobno trudno docenić w krajach wschodniego bloku. Wieczorem nareszcie zrobił mi fujarkę. Ale się naczekałem!

3 października 1968

Z wyjątkiem pani nauczycielki Hájkovej oraz twarogu z malinami przedszkole odzwierciedla smutny stan naszego systemu wychowawczego, co im od razu powiedziałem. Pani nauczycielka Konečná z oddziału maluchów, która przyszła mnie zobaczyć, powiedziała, że będę dla przedszkola cennym wkładem. Siedzę obok Jaruški Mackovej. Jest to całkiem ładna, prowincjonalna dziewczynka, aczkolwiek pełna naiwnych uprzedzeń wobec metaforycznego sposobu wyrażania się na temat otyłości. Matka przyniosła sobie z pracy cztery torby akt. Zagrałem jej na powitanie „Sen miłości”, a ona skoczyła do mnie i wyrzuciła mi fujarkę przez okno. Krzychałem, że wyskoczę za nią, lecz matka wyraziła wątpliwość, czy ze względu na swą otyłość potrafiłbym wspiąć się choćby na to krzesło, z którego można by potem przedostać się na parapet okienny. Obcość między mną a matką rośnie jak muchomor plamisty po obfitych deszczach. Od jutra zrzekam się wszystkich słodyczy.

4 października 1968

Wczoraj w nocy była burza. Wlazłem matce do łóżka, lecz ojciec wcisnął się między nas. Patrzyliśmy, jak niebo zapala się to granatowymi, to białymi kolorami, po czym znów gaśnie. Ojciec powiedział, że to jest lepsze od siedemdziesięciomilimetrowego filmu w kinie Alfa. Deszcz walił w dach jak zgraja dzikich dekarzy. Ojciec głaskał matkę, co wydawało mi się zdecydowanie nietaktowne wobec mnie.

5 października 1968

Dzisiaj w przedszkolu zrezygnowałem z deseru na korzyść Jaruški Mackovej (wczoraj była pomarańcza). Podczas drzemki poobiedniej, rewanzując się, pokazała mi płeć.

6 października 1968

Mackova chce zobaczyć moją płeć! Powiedziałem, że dam jej jutro deser. Matka jest coraz bardziej nerwowa. Ojciec zaproponował wieczorem, by poszli na spacer, ale wrócili po piętnastu minutach, ponieważ w ciemnościach wpadli do kanału ściekowego w pobliżu polskiego domu noclegowego. Cuchnęli jak długo nie-myte tchórze. Oczywiście powiedziałem im to.

14 listopada 1968

Piszę dzisiaj w strasznym hałasie, bowiem matka i ojciec sprowadzili sobie do domu inżyniera Zvářę i jego narzeczoną. Wzięli z kartonów, których po przeprowadzce nikt jeszcze nie rozpakował, odgradzili moje łóżko, abym odniósł wrażenie, że w ten sposób stworzyli dla mnie samodzielny pokój dziecięcy. Śpiewali potem radzieckie pieśni wojenne i popijali wódkę z ceramicznych izolatorów, które ze swego domu w transformatorze ukradł inżynier Zvářa.

15 listopada 1968

Dzisiaj poprosiłem panią nauczycielkę Hájkovą, czy nie mógłbym sobie wyjątkowo przełożyć popołudniowej drzemki na przedpołudniową. Zgodziła się, chciała jednakże wiedzieć dlaczego, więc w skrócie zrelacjonowałem jej, do której godziny w nocy byłem zmuszony wysłuchiwać dumek i czastuszek. Robiła wprawdzie współczującą minę, myślę jednak, że uwierzyła mi dopiero wtedy, kiedy pokazałem jej swój podkoszulek, którym ojciec po ciemku wytarł rozlany alkohol. Pozwoliła mi się przespać na tapczanie w dyrekcji! Chrapusiąłem słodko, podczas gdy moi prowincjonalni rówieśnicy musieli się bawić w te infantylne gry tematyczne!

16 listopada 1968

Ani ojciec, ani matka nie rozmawiają ze mną. Muszę się kłaść punktualnie o dziewiętnastej jak jakaś niewyspana kura. Z wybięciem tej godziny rodzice prowokacyjnie szepczą. W wypadku matki jest to i tak zbędne, bowiem z teatru jest przyzwyczajona do potwornie głośnego szeptu. Oczywiście powiedziałem jej to.

17 listopada 1968, 18 listopada 1968

Cały weekend spędziłem za kartonami. Wciąż nikt się do mnie nie odzywa i ja tak samo nie odzywam się do nich. Czytam eseje Montaigne'a. Niejednokrotnie muszę się z nim zgodzić w stu procentach. Lecz kiedy przeczytałem, że „ten, kto nauczyłby ludzi umierać, nauczyłby ich także żyć”, odniosłem nieodparte wrażenie, że jemu też nieźle odbija.

19 listopada 1968

Matka i ojciec znów się do mnie odzywają. Matka, owszem, tylko trochę, ponieważ dzięki temu teatralnemu szeptowi nabawiła

się zapalenia strun głosowych. Kiedy ją zapytałem, dlaczego w takim razie szepcze tak głośno, skoro przemęcza sobie tym struny głosowe, odpowiedziała mi, że w ten sposób – tak jak podobno każdy uczciwy aktor – solidaryzuje się z biednymi studentami na trzeciej galerii. Ojciec twierdzi, że użył mego podkoszulka przez pomyłkę – był podobno na pół ślepy, gdyż matka przypaliła mu papierosem rogówkę oka. Odpowiedziałem, że to rozumiem i jutro pani nauczycielce Hájkovej wszystko szczegółowo wyjaśnię. „Ty już niczego nie wyjaśniaj!” – syczała matka. Miała tak wybatuśzone oczy, aż pomyślałem, że ją wkrótce powieziemy do Bohnic.

20 listopada 1968

Udało mi się zdobyć dla ojca dwa duże kawałki cennego hebanowego drewna, które ktoś absolutnie niewybaczalnie wyrzucił na śmietnisko pod Bílým Kamenem. Kiedy wreszcie dotaszczyłem to drewno do domu, wciąż jeszcze nie było nikogo. Coraz później wracają z pracy. Powiedziałem im, że nie powinni podejmować pracy, która wyraźnie przerasta ich możliwości. Wszyscy inni wracają do domów o czternastej trzydzieści.

21 listopada 1968

Ojciec oświadczył, że to nie jest heban, tylko osmalony bakelit, niemniej dziękuje mi. Był w stosunku do mnie raczej chłodny. Matka jednak pochwaliła mnie i powiedziała, że mam rozproszoną inteligencję. Poza tym rozmawiają wyłącznie o pracy, aczkolwiek jeszcze przed dwoma miesiącami nie mieli bladego pojęcia o szkle żaroodpornym. Oczywiście powiedziałem im to.

22 listopada 1968

Przedszkole dosłownie kipi problemami: przed południem świeciło słońeczko, więc wypędzili nas do ogrodu niczym jakieś cielęta. Potem nauczycielka Konečná zmuszała mnie, abym się poszedł bawić do któregoś z tych paskudnych domków z blachy. Zapytałem, w co, jej zdaniem, miałbym się tam bawić. Powiedziała, że mógłbym tam przyjmować gości. Odpartem jej, że ten absurdalny rytuał, jakim jest w tym kraju przyjmowanie gości, to osobny rozdział – tym bardziej w tym tak zwanym domeczku, który swym wyglądem przypomina człowiekowi ciasny przedział kolejowy albo raczej zniszczoną przez ogień makietę na strzelnicy dla czoł-

gów, i że dużo chętniej – oczywiście o ile się zgodzi – doczytałbym sobie tego Heinricha Bölla na którejs z tych niezbyt oddalonych ławeczek. Powiedziała, że oczywiście nie mogę, gdyż nie pora teraz na jakiegoś Bölla, ale na gry komunikacyjne. Usłyszawszy to, zapytałem ją, czy pragnie mą osobowość rzeczywiście rozwijać – co zresztą należy do jej obowiązków – czy raczej ją stłamsić. Odparła na to, że jedyne, czego w tym momencie pragnie, to w spokoju doczekać emerytury. Odniosłem wrażenie, że w każdej chwili może się rozplakać, więc aby sprawić jej przyjemność, postuszenie odszedłem komunikować się z Jarušką Mackovą. Komunikowaliśmy w czerwonym domeczku. Muszę przyznać, że było całkiem ciekawe móc oglądać płeć Jaruški tym razem w innym świetle!

23 listopada 1968

Dzisiaj mieliśmy zajęcia z nauczycielką Hájkovą i wszędzie panował przyjemny spokój. Przed południem, grając w kręgle, strąciłem obraz prezydenta Ludvíka Svobody, szkło się stłukło i rozcięło panu prezydentowi górną wargę, toteż wyglądał trochę jak stary zajac. Jaruška Mackova śmiała się z tego. Nauczycielka Hájkova zapytała mnie, czy mam zamiar tańczyć z Jarušką na wigilijce. Odpowiedziałem jej, że chyba tak, chociaż z drugiej strony nie chciałbym się przedwcześnie wiązać z jedną prowincjonalną dziewczyną. Kiedy wróciłem do domu, cały zacząłem drżeć z zimna. Otworzyłem okno i po łózkach i innych meblach porozrzuciłem kilkanaście garści mokrych liści, które nazbierałem w ogrodzie, aby ojciec wreszcie uświadomił sobie, że właśnie kończy się jesień. Kiedy ojciec to zobaczył, rzucił się na mnie z listwą, z której zamierzał zrobić stojak na kwiaty, lecz zamiast mnie, uderzył matkę. Kiedy już się oboje uspokoili, usiedli tyłem do piecyka elektrycznego i zaczęli mnie przestuchiwać, jak to było z tym obrazem. Ojciec nie chciał mi uwierzyć, że nie zrobiłem tego naumyślnie, i twierdził, że obraz można strącić, grając w piłkę nożną albo w koszykówkę, ale zdecydowanie nie, grając w kręgle. „Strącić obraz podczas gry w kręgle może tylko idiota!” – pokrzykiwał. Matka powiedziała mi, bym nie miał tego ojcu za złe, ponieważ dziś w pracy weryfikowali go.

25 listopada 1968

Wczoraj była sobota. Początkowo mieliśmy pojechać na Českí Šternberk, lecz zamiast tego ojciec przez godzinę mi groził, że ma

dwóch świadków, którzy podobno mogą potwierdzić, że po tym jak trafiłem w obraz, wykrzykiwałem: „Strzał w dziesiątkę! Strzał w dziesiątkę!”. Przyznałem, że faktycznie tak krzyczałem, ale tylko dlatego, aby ukryć przed dziećmi niepowodzenie w grze w kręgle. Ojciec westchnął i poszedł do piwnicy dorobić stojak na kwiaty. Matka poinformowała mnie, że ojcu potrzebny jest psychiatra i że na Šternberk pojedziemy po obiedzie. Jednak przed obiadem ojciec rąbnął się półokrągłym dłutem w kość udową, więc trzeba było jechać na pogotowie do Uhlířskich Janovic. Wiózł nas inżynier Zvára, ponieważ ojciec odmówił prowadzenia w tym stanie. Ojciec w czasie jazdy śmiał się przedziwnym śmiechem i bez przerwy mówił o jakimś Šperku z RZ. Było mi zimno i tęskniłem za Pragą. Napiszę list do dziadka.

III

1

Matka Kvida była zawsze przekonana, że Paco został poczęty w pierwszą czerwcową sobotę w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym, mniej więcej na kwadrans przed północą. Twierdzi, że stało się to zaledwie kilka metrów od dogorywającego ogniska, w wojskowym śpiworze, podczas piosenki *Salome* Karla Kryla, którą to swej świeżo poślubionej żonie (z którą wreszcie przeprowadził się z transformatora do domu noclegowego dla małżeństw) niedaleko grał i śpiewał inżynier Zvára. Oczywiście takie przypuszczenie pozwalało jej na pozór racjonalnie uzasadniać później włóczęgowskie pasje Paca. Natomiast ojciec Kvida od początku uważał takie wywody za wulgarną wpływologię, a matczyną hipotezę o poczęciu odrzucał w całości, argumentując równocześnie stosunkowo dobrą znajomością jej cykli.

– Musisz jednak wziąć pod uwagę – zarzucała mu matka – że owej ciepłej nocy, w dodatku siedząc przy ognisku, pierwszy raz po dziesięciu czy iluś tam miesiącach spędzonych na tej lodowatej werandzie porządnie się rozgrzałam!

To właśnie to ciepło, niedoznane przez długi czas – tłumaczyła z powagą – po pierwsze rozbudziło w niej dawną witalność, dzięki której rzekomo zgodziła się na zdecydowanie w a g a b u n d z k i sposób spędzenia sobotniego wieczoru, a po drugie niewątpliwie przyspieszyło termin jej owulacji.

– To dopiero idiotyzm! – śmiał się ojciec.

Bądź co bądź, ciąża jego żony była absolutnie niepodważalna.

– Dziewczyno, to jest pewne – powiedziała do niej w sierpniu Zita, kiedy matka Kvida przyjechała na Podole. Wyglądała na zmęczoną, ale jej oczy wciąż były jasnoniebieskie. – Masz zamiar rodzić w tej guberni?

– Chyba będę musiała – powiedziała matka Kvida, ubierając się. – Wiesz, że zawsze chciałam rodzić u ciebie.

– Przecież mogłaś! – powiedziała Zita pozornie z wyrzutem. – Ale wtedy dałaś pierwszeństwo doktorowi Libíčkowi.

– Zgadzam się, że to partacz – powiedziała matka Kvida. – Wyobraź sobie, że nie umiał nawet przegryźć pępowiny!

– To skandal!

– Wybaczysz mi?

– Nie – powiedziała Zita z uśmiechem.

Usiadły w beżowych fotelach. Nagle matka Kvida przypomniała sobie, jak kiedyś, w tych fotelach, Zita uspokajała ją, kiedy przybiegła do niej przerażona pierwszą miesiączką. Poczowała nostalgiczny żal. Wspaniała kobieta – mówiła do siebie.

– Zito – powiedziała.

– Słucham.

– Teraz już by się nie dało?

Pani ordynator westchnęła głęboko i delikatnie uniosła brwi, tak że nad nasadą nosa pojawiła jej się gorzka zmarszczka. Jej uśmiech zbladł.

– W lutym? – powiedziała jakby niedowierzająco. – W lutym siedemdziesiątego pierwszego?

– Zgłosiłabym się formalnie w Nuslach na pobyt – ciągnęła matka Kvida.

– Przecież nie o to chodzi – powiedziała Zita. – Za późno, moje dziecko.

– Późno? – matka Kvida niczego nie rozumiała.

Pani ordynator schyliła się ku niej i odgarnęła jej włosy z czoła. Potem ujęła jej brodę w dłonie i poklepała ją po policzkach. Matka Kvida zauważyła, że jej oczy lśnią wilgocią.

– W lutym będę pracowała jako bileterka gdzieś w Realistycznym – powiedziała. – Rozumiesz?

– Myliła się – rzekł Kvido. – Była szatniarką w kinie Jałta.

– Dziadku! – wykrzyknął Kvido.

– Cześć Kvido! – zawołał rozradowany dziadek Jiří, lecz tym razem nie wziął wnuka w objęcia, ponieważ już od

dłuższego czasu nie czuł się dobrze. Zmuszono go do opuszczenia długoletniej posady w kancelarii prezydenckiej i, mimo iż na szczęście nie musiał zmieniać profesji, z trudem przyzwyczajał się do nowego miejsca pracy. Nawet wyśmienity sos koperkowy z prawdziwym mięsem – a nie, jak zazwyczaj, z jajkiem – który babcia Líba przygotowała dla gości, nie był w stanie do końca przywrócić mu jego dawnego nastroju.

– Co porabia pan František? – spytał ojciec Kvida ze szczerym zainteresowaniem, kiedy już w kuchni wszyscy usiedli do stołu.

– Dokładnie nie wiem – rzekł dziadek. – Pracuje gdzieś w „Sadach i lasach”.

– To coś strasznego – powiedziała matka Kvida.

– Nawet nie – rzekł dziadek z jakimś zrezygnowanym sceptycyzmem. – Przez cały dzień jest na powietrzu, na łonie natury... Inni nie mieli tyle szczęścia.

– Karoli nie pozwolili wyjechać do Szwajcarii – powiedziała babcia Líba. – Możecie to sobie wyobrazić?

– Nie żartuj! – powiedziała matka Kvida. – Poważnie?

Gdy matka Kvida zrezygnowała z zapalenia papierosa przy kawie i przekazała mu wreszcie ową dobrą nowinę, dziadek Jiří mimo wszystko trochę ożył.

– Czy to pewne? – pytał z uśmiechem.

– Byłam u Zity – powiedziała matka i zarumieniła się, gdyż słów „badanie ginekologiczne” nie była w stanie nigdy wymówić nawet w kręgu najbliższych. – Myślę, że to znowu będzie chłopczyk.

– Chłopczyk? – uradował się dziadek. – Jak będzie miał na imię?

– Paco* – powiedziała matka Kvida. – Po tatusiu – wskazała na ojca Kvida.

– Tak? – rzucił dziadek.

– Odkąd pamiętam, nazywam się Josef – rzekł chłodno ojciec Kvida.

* Paco (czyt. pako) – prawdopodobnie z niem. *Pack* – hołota, motłoch lub z cerkiewnego *pakost* – szkoda, przykrość. Pierwotny sens: „na odwrót” (przyp. tłum.).

– W życiu nie słyszałam, żeby ktoś miał na imię Paco – stwierdziła babcia Líba.

– Ja też nie – powiedział ojciec Kvida z nadzieją w głosie.

– Jakby nam zupełnie nie wystarczyło Kvido!

– No wiesz?! – zaprotestował Kvido.

– Kvido to bardzo ładne imię – odparł dziadek.

– Natomiast Paco brzmi ciekawie – powiedziała matka Kvida. – Co najmniej tak ciekawie jak ta Drábovka.

– Jaki to ma związek?! – rzucił się ojciec.

– Bezpośredni!

– Paco – powtarzał dziadek Jiří, wsłuchując się we własne słowa. – Muszę przyznać, że to nie brzmi źle. Paco.

– Pacowi. Z Pakiem – dodała matka Kvida. – Jedno jest pewne, dobrze się będzie odmieniać.

– Odmienia się tak samo jak Kvido – rzekł dziadek. – To dobrze.

– Jeśli wybieracie imię według łatwej odmiany, mógłby się nazywać na przykład Filé – poradził Kvido. – To jest zupełnie nieodmienne.

– No więc widzi pan, panie redaktorze – powiedział Kvido. – Jeśli chodzi o gramatykę, znacznie wyprzedzałem swoich rówieśników.

– Kolejne dziecko? – powiedział dziadek Josef bez akceptacji. – Teraz?

Przechadzając się po kuchni, rozdeptywał porozrzucany ligustr. Na półce znów siedziały trzy papużki faliste, tym razem zielone. Kvido zauważył, że okno jest zamknięte.

– Dziecko w takich czasach! – oburzył się dziadek. – Chcecie, aby wam go zastrzelił któryś z tych bolszewików?

– Przestań! – jęczała babcia Věra. – W tej chwili przestań!

– Ja? Ja mam przestać? A im wolno strzelać do ludzi?!

– Rany boskie, tato, przestań krzyczeć! – domagał się ojciec Kvida. – Krzyk nic nam nie pomoże.

Dziadek z wściekłością zaciągnął się papierosem.

– Dobrze, już będę cicho – rzekł, z trudem się opanowując. – No to cóż nam zatem pomoże?

– A skąd ja mam wiedzieć? – powiedział bezsilnie ojciec Kvida.

– Coś ci powiem – rzekł dziadek Josef, znów podnosząc głos. – Powiesić ich, to by pomogło!!

– Nie pomogło – powiedział ojciec Kvida. – Tobie potrzebny jest psychiatra.

2

Jednak w ciągu kilku kolejnych miesięcy nieraz odnosił wrażenie, że jemu samemu też by się przydał, i to nawet bardzo, gdyż wbrew wszystkim obietnicom wciąż jeszcze nie miał mieszkania dla swej żony i dzieci. We wrześniu miał dostać trzypokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze Drábovki, ostatecznie jednak otrzymała je zupełnie inna rodzina. Ojciec Kvida był na granicy załamania. Ubiegłoroczna zima spędzona na werandzie to było przeżycie, którego zdecydowanie nie zamierzał raz jeszcze doświadczyć. Gdy temperatura na zewnątrz spadała głęboko poniżej zera, termometr w pomieszczeniu rzadko wskazywał więcej niż trzynaście stopni, chociaż obydwa piecyki elektryczne działały na pełnych obrotach. Krzesła, stół i łóżka były w dotyku nieprzyjemnie zimne, a w nocy, kiedy na dworze panował najtęższy mróz, ludzki oddech od razu zmieniał się w białawą parę. Kvido i jego matka przeszli kilka przeziębień, a on sam, aczkolwiek nigdy tego nie przyznał, cierpiał na reumatyczne bóle stawów.

– Obiecałam, że zostanę z tobą na dobre i na złe – powiedziała do niego żona u schyłku lata – ale w tym roku nie zgadzam się na mniej niż osiemnaście stopni. Postaraj się.

Ojciec Kvida starał się: do podania o mieszkanie dołączył zaświadczenie o ciąży żony, osobiście dopilnował kolejki na liście oczekujących, następnie osobiście i pisemnie ponaglał rozpatrzenie jego podania, odpowiedział na kilkadziesiąt ogłoszeń mieszkaniowych, w końcu własnoręcznie spisał coś w rodzaju skargi, lecz do niczego to nie doprowadziło. Październik powoli dobiegał końca, rzeka pełna była opadłych liści i co rano nad jej wodami unosiła się coraz to chłodniejsza mgła. Matka Kvida po powrocie

z pracy od razu zaszywała się w łóżku, natomiast ojciec za każdym razem kierował pomarańczowy blask piecyka elektrycznego na ten wypukły fragment pierzyny, gdzie przypuszczalnie był jej brzuch. Kvido nieco zazdrośnie obserwował ten naświetlony wzgórek, pod którym, w ciepłe, odpoczywał sobie Paco, i naumyślnie głośno szczękał zębami. W połowie listopada, zgodnie z oczekiwaniami, zachorował na grypę i matka musiała zostać z nim w domu. Przez dziesięć dni oboje leżeli w łóżku, przyrządzali sobie gorącą herbatę i łykali witaminy. Kiedy Kvidowi spadła temperatura, matka zgodziła się, aby czytał jej sztuki Dürrenmatta, a ona w zamian czytała mu bajki Andersena. Innym razem znowu leżeli sobie w milczeniu i przez sześćdziesiąt małych, okiennych szybek, jakie otaczały ich z trzech stron, obserwowali chmury przeróżnych kształtów i odcieni – i marzyli.

Kvido w jednej z takich chwil zaczął sobie wyobrażać jakąś nieznaną, egzotyczną krainę. Wprawdzie w jej centrum stał oczywiście Zamek Praski i Stare Miasto, lecz zaraz potem – kaskadą białych, ostrych skał – cała kraina stopniowo opadała ku morzu. Piasek na tamtejszych plażach był gorący i srebrnozłoty. W cieniu niedalekich palm siedziała pani nauczycielka Hájková, dziadek Jiří, Pavel Kohout oraz garderobiana, pani Bažantová. Czytali sztuki teatralne i, śmiejąc się, popijali mleczko kokosowe prosto z orzechów. W powietrzu fruwały błękitne papużki faliste i przysiadływały Kvidowi i Jarušce Mackovej na opalonych ramionach, lecz zamiast pazurków miały na nogach małe aksamitne przyssawki, toteż ani Kvida, ani Jaruški wcale nie drapały. Razem chodzili się kąpać i zbierać muszle, a kiedy byli zmęczeni, kładki się w słońcu na futerkach z bobrów i norek; kiedykolwiek Kvido zechciał, Jaruška pokazywała mu płeć. Wizja owej krainy zaabsorbowała go do tego stopnia, że bardzo często ją przywoływał i rozwijał także w następnych dniach. Bał się jednak, czy aby zapamięta wszystkie te cudowne rzeczy, które sobie w tej krainie stworzył. Pewnego razu pod wieczór postanowił, że na zawsze utwali obraz swej krainy: wziął do łóżka notatnik i długopis i wszystko to, co miał jasno przed oczami, dokładnie opisał.

– Dzisiaj oczywiście nie mogłoby się to ukazać drukiem
– rzekł Kvido do redaktora z odrobiną sarkazmu w głosie.
– Nawet bez Kohouta. Pojawia się tu surrealizm i dziecięca
pornografia, a ta grupa ludzi pod palmami jest całkowicie
wyjęta ze struktury stosunków społecznych.

– To dziecko marzy o cieple! – powiedziała matka Kvida do
męża, przeczytawszy po kryjomu dziełko syna. – Zrób coś!

– Zrób coś! – wybuchnął ojciec Kvida, który powróciw-
szy z pracy do domu, aż do tej pory milczał i, prawdę po-
wiedziawszy, miał ku temu wystarczająco dużo powodów.
– Łatwo ci mówić, ale co?! Poradź mi jedną jedyną rzecz, ja-
ką mogłem zrobić, a jakiej jeszcze nie zrobiłem. O ile mo-
żesz – dodał skwaszony. – Z wyjątkiem wstąpienia do par-
tii komunistycznej!

– Nie krzycz! – matka Kvida spojrzała na śpiącego syna.
– Nie byłeś, na przykład, u Šperka. Wszyscy mówią, że to
jest najistotniejsze.

– B y ł e m u Šperka, i to nawet dwa razy. Oczywiście nic
na to nie poradzę, że ani razu mnie nie przyjął.

– Ale Zvářę podobno przyjął?

– To prawda. Zvářę Šperk przyjął – rzekł ojciec Kvida. –
Pewnie Zvářa miał dla niego jakieś atrakcyjne doniesienie...

– Że co? – matka Kvida opadła na łóżko. – Chcesz powie-
dzieć, że Zvářa...

– Tak – powiedział ojciec z jakąś zadziwiającą cierpliwo-
ścią. – Zvářa.

– No wiesz... nigdy bym nie przypuszczała...

– Podobno nudzą go już cierpiący ludzie – powiedział
ojciec. – Zrozumiał, że do tego, aby szerzyć prawdę, po-
trzebny jest podstęp. Takie nastąpiły czasy. Oni są naszym
przeciwnikiem, a wobec przeciwnika należy zastosować
taktykę, w przeciwnym razie będziemy mieli do czynienia
z donkiszoterią. Istota żywa przeżywa dzięki temu, że sta-
pia się z tłem. Cały ten czerwony kolor to nic innego jak
tylko barwa ochronna. Człowiek po prostu musi iść z du-
chem czasu, tym bardziej kiedy w tym transformatorze za-
chorował na nerki.

– No tak – westchnęła matka Kvida.

– Ja podobno nie posiadam ani odrobiny instynktu samozachowawczego...

– I tu ma rację.

Nagle sobie coś uświadomiła:

– Zatem choć spodziewają się dopiero pierwszego dziecka, dostaną mieszkanie!

Ojciec Kvida zawahał się przez chwilę.

– Nie dostaną – odpowiedział, patrząc w bok. – Już je dostali.

Matka Kvida zaśmiała się gorzko. Położyła się ponownie i, milcząc, obserwowała popękany sufit.

– A ich pokój w domu noclegowym? – spytała po chwili cicho.

– Został już przydzielony...

– Havelkom?

– Nie.

– Tondlom?

– Nie.

– Na trzecim miejscu w kolejce jesteśmy my – powiedziała matka Kvida.

– Ich w ogóle nie było na liście.

– Świństwo – powiedziała matka Kvida. – Świństwo, świństwo, świństwo.

– Masz rację. To rzeczywiście świństwo.

– A ty nic nie zamierzasz z tym zrobić?! Powiedz mi w takim razie, jak w ogóle mam cię potem szanować?

– Przeczytam panu – rzekł Kvido do redaktora – co twierdzi profesor Michaił Biedny: „Dziewczyna wychodząca za mąż powinna pamiętać o tym, że najkrótsza droga do wdowieństwa i sieroctwa jej dzieci prowadzi poprzez nieustanne naciski na męża: »Jesteś mężczyzną, musisz. Ja jestem słabą kobietą, nie muszę«. Psychologowie natomiast wiedzą, że te właśnie słabe kobiety są z reguły najbardziej wymagające”. I co pan na to?

– Że niepotrzebnie tracimy czas. Uzgodniliśmy, że będzie to powieść humorystyczna, a pan mi tymczasem szczegółowo opisuje, jak to panu było w dzieciństwie zimno, nie mówiąc już o tym, że, Bóg jeden wie dlaczego winą za to obarcza pan członków partii.

– Dobrze wiem dlaczego – powiedział Kvido. – Oboje z Bogiem dobrze o tym wiemy.

– No to niech mi pan tym nie zawraca głowy! – zdenerwował się redaktor. – Większość z tych rozdziałików, które mi pan do tej pory przyniósł, nigdy nie ukaże się drukiem, czy pan tego nie rozumie? Jeżeli rzeczywiście nie jest pan w stanie napisać dwóch akapitów, nie atakując przy tym z pięć razy komunistów, to niech mi pan to powie i damy sobie z tym spokój. Niech pan się na mnie wykicha i pisze sobie do szuflady albo z bożą pomocą wyśle to sobie do Sixty-Eight Publishers. Bo to naprawdę nie ma sensu.

3

Grudzień tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku nie był zbyt mroźny, lecz mimo to wszystkie weekendy i, rzecz jasna, święta Bożego Narodzenia matka Kvida spędzała u swych rodziców w Pradze. Ojciec Kvida, który ze względu na okoliczności początkowo obawiał się tych wizyt, z podziwem musiał potem w duchu skonstatować, że jego żona ani razu nawet słówkiem się nie poskarżyła, wręcz przeciwnie, tryskała dobrym humorem, często cytowała fragmenty sztuk teatralnych, wkrótce więc uwierzył, że tylko on jeden zauważa, jak często tuli się do dużego pieca kaflowego w gabinecie dziadka.

Wkrótce po Nowym Roku, kiedy już wrócili do Sázavy, spadł pierwszy śnieg. Nie było go dużo, a poza tym był stosunkowo mokry, ale na to, aby pojeździć na sankach, było go wystarczająco, toteż codziennie po południu, zaraz po lekcjach, na miejscowym pagórku nazywanym Skřivánkiem dosłownie roiło się od dzieci. Kvido i Jaruška też tu przychodzili. Kvido chciał, aby Jaruška siadała na sankach p r z e d nim, gdyż był mimo wszystko trochę od niej wyższy, ale Jaruška bała się patrzeć, jak drzewa u podnóża Skřivánka tak szybko się zbliżają, w związku z tym siadała z a nim. Potem zaś, podczas jazdy, ze śmiechem przytulała twarz do ramion Kvida i na dodatek zamykała oczy, ślepo ufając jego nienadzwyczajnym umiejętnościom kierującego.

– Gorzej – opowiadał Kvido po ślubie, z jakąś mieszaniną dumy i przerażenia w głosie – że dokładnie tak samo ze mną żyje.

Ilekroć Kvido wracał pamięcią do tamtych lat, widział Jaruškę ubraną w biały wełniany golf, czarne getry i czerwone kozaki po starszej siostrze, które były na nią jeszcze trochę za duże, toteż od czasu do czasu któryś z nich gubiła podczas jazdy. Podobało mu się także, że czuje na karku gorący oddech Jaruški, z drugiej zaś strony martwiło go, że Jaruška musi dotykać jego opasłego brzucha i od tej pory zawsze, zanim wyszedł na sanki, najpierw w domu mocno owijał się bandażem elastycznym. Teraz nic już nie dręczyło jego myśli i mógł aż do zmroku jeździć na sankach.

Jednakże następnej soboty Kvido wrócił ze Skřivánka niespodziewanie wcześniej. Był cały przemoczony i trząsał się z zimna. Matka położyła go do łóżka, zrobiła herbatę i zmierzyła temperaturę: miał dokładnie trzydzieści dziewięć stopni. Kvido zasnął, lecz kiedy się wieczorem przebudził, cały płonął. Termometr tym razem wskazywał niemal czterdzieści stopni, lecz chyba jeszcze bardziej niepokoił matkę ciężki, przerywany oddech. Ojciec Kvida ubrał się i poszedł zadzwonić do Uhlířskich Janovic na pogotowie.

– Dodzwoniłeś się? – dopytywała się pełna niepokoju, kiedy tylko wrócił.

– Będą za godzinę – uspokajał ją ojciec. Matka Kvida, którą dziewięć miesięcy ciąży w połączeniu z czterema swetrami, jakie miała na sobie, uczynił całkowicie nieruchawą, ociężała usiadła w fotelu koło łóżka Kvida i zdesperowana gryzła nadgarstek prawej ręki. Ojciec zarzucił jej na ramiona koc w kratę.

– Wszyscy tutaj pozdychamy – powiedziała. – Wciąż ci to powtarzałam.

Mniej więcej po czterdziestu minutach na zwirowej drodze przed Drábovką zachrząściły koła karetki. Ojciec Kvida wybiegł i przyprowadził lekarza – ku jego zdziwieniu – aż na oszkloną werandę.

– Niezły numer, nie ma co – rzucił lekarz, ogarniając jednym spojrzeniem całe pomieszczenie, po czym szybko schylił się nad leżącym chłopcem.

– Może mieć zapalenie płuc – powiedział w końcu. – W każdym razie lepiej będzie, jeżeli go – jeszcze raz rozejrzał się niedowierzająco wokół siebie – stąd zabierzemy.

– Gdyby wam to nie przeszkadzało – powiedziała matka Kvida – chętnie pojechałabym z wami do Hory. I tak mam się tam za parę dni zgłosić, mogłabym więc...

– Jak to? Już? – zdziwił się ojciec Kvida.

– Oczywiście – powiedział do niej lekarz i zadrżał z zima. – Może chciałby się pan zabrać z nami? – zwrócił się życzliwie do ojca Kvida. – Coś byśmy już dla pana wymyślili.

– To nie jest takie proste! – zaśmiał się ojciec, choć widać było, że przez chwilę się zawahał.

Matka Kvida przyniosła z szafy skórzaną torbę i zaczęła pakować niezbędne rzeczy. Tymczasem przyszedł kierowca karetki.

– Mamusia pojedzie z nami – poinformował go lekarz.

– Świetnie – powiedział kierowca uradowany. – Będą dwie pieczenie przy jednym ogniu!

– Niezłe porównanie – powiedziała matka Kvida, zamykając torbę.

Pawilony szpitalne, w których leżeli Kvido oraz jego matka, oddzielał od siebie mniej więcej trzydziestometrowy pas niewielkiego ośnieżonego parku. Ich pokoje zbiegiem okoliczności znajdowały się dokładnie naprzeciwko siebie, chociaż na innych piętrach (pokój Kvida na trzecim, zaś matki na pierwszym), jednakże jedyne skupisko iglaków, rosnących w parku, uniemożliwiało im, niestety, kontakt wzrokowy. Jedna z bardziej usługowych pielęgniarek postarała się przynajmniej, aby mogli codziennie wymieniać korespondencję. Kvido, chcąc także zobaczyć matkę, musiał podejść do okna w sąsiednim pokoju.

– Dzień dobry – mawiał zawsze do obecnych tam dorosłych. – Przepraszam, czy mógłbym z waszego okna przez chwilę pomachać mojej matce?

– Do machania – tłumaczył później Kvido – nasza rodzina od niepamiętnych czasów przywiązywała ogromne znaczenie.

– Oczywiście, młody człowieku, oczywiście! – mawiał chrapliwie pan Hlavatý, emeryt i astmatyk, który chętnie poddawał się urokliwej uprzejmości chłopca.

Kvido podziękował, po czym niezbyt zręcznie wspiął się na parapet. Bez uczynienia tego nic nie mógł zobaczyć, gdyż okna do połowy pomalowane były mlecznobiałą farbą. W tej niezbyt wygodnej pozycji musiał z początku czekać nieraz dość długo, zanim jego matka spojrzała we właściwym kierunku, wkrótce jednak w jednym z listów umówili się na godzinę dziesiątą przed południem i czwartą po południu i przez kilka dni wszystko świetnie grało.

Pewnego jednak przedpołudnia matka Kvida nie ukazała się w oknie – i nie pojawiła się nawet po południu. W dodatku pielęgniarka, która zawsze nosiła im listy, miała wolne, toteż Kvido na próżno się zastanawiał, co mogło być przyczyną nieobecności matki. Nie mógł uwierzyć, że tak nagle zapomniała o ich umowie.

Następnego dnia udał się do sąsiedniego pokoju już o godzinie wpół do dziesiątej i pod pretekstem konwersacji z panem Hlavatým wytrzymał na parapecie w pozycji stojącej aż do wpół do jedenastej, lecz matki nie dojrzał. Zawiedziony wrócił do łóżka i z roztargnieniem przeglądał ilustrowaną publikację Karla Plicki zatytułowaną *Zamek Praski*, którą mu przez ojca przesłał dziadek Jiří. Kiedy weszła pielęgniarka, zapytał, czy matka przypadkiem nie przekazała mu jakiejś wiadomości.

– Czyja matka? Jaka wiadomość? U kogo? – wyrzuciła pielęgniarka ze zniecierpliwieniem.

Kvido zrozumiał, że pielęgniarka się spieszy. Nie chciał ryzykować, by go traktowano byle jak, i dlatego w najwyższym stopniu skupił uwagę i wyjaśnił całą sytuację w jedy-
nym, logicznie i stylistycznie wprost nieprawdopodobnie przejrzystym zdaniu. Minę miał przy tym tak poważną, że pielęgniarce zrobiło się go żal. Nawet na chwilę usiadła koło niego na skraju łóżka.

– Jeśli twoja mamusia jest tam – wskazała na okna oddziału ginekologiczno-położniczego – to być może ma teraz inne zmartwienia niż korespondowanie z tobą. Rozumiesz?

Teraz dopiero Kvido zrozumiał.

Pielęgniarka się nie myliła: kiedy owego popołudnia krótko przed godziną czwartą matka ku nieopisanej radości Kvida pojawiła się w oknie, trzymała w ręku jakąś białą poduszkę.

– Dlaczego pokazuje mi tę poduszkę?! – krzyczał Kvido poirytowany tym, że nie pojmuje rozgrywającej się sceny.

– Jaką znowu poduszkę? – charczał pan Hlavatý, którego częsta obecność Kvida zaczynała już męczyć. Lekarz, który właśnie badał astmatyka, podszedł do Kvida i spojrział w kierunku wskazywanym przez chłopca.

– To nie jest poduszka, głuptasie – wyjaśnił. – To jest dziecko. Niedowidzisz?

I taka była prawda: Paco przyszedł na świat, zaś Kvido musiał zacząć nosić okulary.

4

W dwa dni później w niedużym parku przed pawilonem szpitala położniczego. Noc.

OJCIEC *(rzuca kamyczkami w okno)* Pssst! Pssst!

(Za oknem pojawiają się białawe cienie nocnych koszul i twarze roześmianych kobiet; potem cienie znikają, okno się otwiera i pojawia się matka Kvida).

MATKA Kim jesteś, że tak nocą osłonięty
Wdzierasz się w moją samotność?

OJCIEC Nie wygłupiaj się!

MATKA Jeśli zobaczą cię tutaj, zabiją.
Jakże tu wszedłeś, powiedz, i dlaczego?*

OJCIEC *(dumnie)* Nie przyszedłem. Przyjechałem.

MATKA *(zdziwiona)* Że co, w nocy? Ty? A gdzie masz samochód?

OJCIEC Zostawiłem go za miastem. Wiesz przecież, że nie znoszę wjazdów na parkingi.

MATKA Mam rozumieć, że jechałeś w nocy? Zawsze twierdziłeś, że cierpisz na kurzą ślepotę.

*Cytaty z *Romea i Julii* Williama Szekspira w przekładzie Macieja Słomczyńskiego.

OJCIEC Po prostu zdecydowałem się zaryzykować. Noc jest jasna.

(Nad skupiskiem iglaków pojawia się duży lśniący księżyc).

MATKA *(pochlebnie)* I to dla mnie?

OJCIEC Najbardziej obawiałem się leśnych zwierząt. Wyobraź sobie, że nagle z lasu, bez uprzedzenia, wyskoczy ci na maskę stukilogramowa sarna! Umiesz sobie wyobrazić tę masakrę? Koszmar! Na wszelki wypadek całą drogę trąbiłem.

MATKA *(ze zdziwieniem)* Ty jechałeś przez jakiś las? Którędy właściwie tutaj jechałeś?

OJCIEC Nie. Ale nigdzie nie jest napisane, że sarny nie mogą być na polu. Przynajmniej nie przypuszczam, że je gajowy w lesie przywiązuje.

MATKA I tu masz rację. Jesteś moim bohaterem. Mówię poważnie. Naprawdę.

OJCIEC Wydaje mi się, że na kursach prawa jazdy zbyt mało uwagi poświęca się jeździe nocą. A tymczasem nocna jazda ma mnóstwo absolutnie specyficznych...

MATKA *(wejdzie mu w słowo)* Kocham cię.

OJCIEC *(zaskoczony)* Chciałem...

MATKA Kochasz mnie? *(zadumana recytuje)*

Czy ty mnie kochasz? Wiem, że „Tak” odpowiesz,
A ja uwierzę twemu słowu, ale
Przysięga twoja może być fałszywa.
Mówią, że Jowisz zaśmiewa się z przysięg
Kochanków; jeśli mnie kochasz, mój miły
Romeo, powiedz to szczerze;

OJCIEC Nie wygłupiaj się! A co z twoim moczem?

MATKA *(zmieszana)* Nie krzycz. *(szepcem)* Nie teraz. Mogą podsłuchiwać.

OJCIEC Kto?

MATKA *(wskazuje na piętro wyżej)* Faceci z urologii.

OJCIEC I co z tego? Chyba mogę spytać, czy masz w porządku mocz?

MATKA *(czerwieni się)* Pst! *(szepce niemal niesłyszalnie)* Już wrócił do normy.

OJCIEC Słucham? Nie rozumiem, co mówisz!

MATKA (*czzerwieni się jeszcze bardziej, wciąż mówi szeptem*)
Mocz już wrócił do normy.

OJCIEC Co? Do cholery, nic nie słyszę!

MATKA (*wybuchowo*) No to nie pytaj mnie przy ludziach o takie rzeczy!

OJCIEC A krew? Mogę chyba zapytać o krew.

MATKA W normie.

OJCIEC Naprawdę?

MATKA Naprawdę. Wróciła do normy.

OJCIEC (*szeptem*) No a mocz?

MATKA (*wybuchowo*) Do cholery! Mówiłam ci, że...

OJCIEC (*uspokajająco*) Dobra, dobra, spokojnie... Co robi Paco?

MATKA Teraz? Śpi.

OJCIEC A Kvido?

MATKA Prawdopodobnie również śpi. (*ironicznie*) Czy to cię dziwi?

OJCIEC Wyczyścił wieczorem zęby?

MATKA (*ironicznie*) Niestety nie wiem, ale zapytam jutro ordynatora.

OJCIEC Miejmy nadzieję, że wyczyścił. Wiesz przecież, jaki on jest!

MATKA (*w dalszym ciągu ironicznie*) Miejmy nadzieję. (*Oboje milczą przez chwilę.*)

MATKA (*celowo bardzo głośno*) Czy mam myśleć, że przejechałeś nocą trzydzieści pięć kilometrów przez stada saren po to tylko, aby się dowiedzieć, czy twój starszy syn dba o uzębienie? Jeśli tak, szkolny dentysta powinien ci kupić bombonierkę. (*Z pokoju dochodzi salwa śmiechu.*)

OJCIEC (*uśmiechając się*) Nie dlatego. (*poważnie*) Przyjechałem, bo muszę ci powiedzieć coś ważnego.

MATKA Co się stało? (*przestraszona*) Zepsuł się piecyk elektryczny?!

OJCIEC Ależ skąd. Nie chcę za wszelką cenę dramatyzować, ale może byłoby lepiej, gdybyś usiadła.

MATKA (*przerażona*) Jezus Maria! (*siada i ojciec znika jej z pola widzenia*) Chyba nie wstąpiłeś do partii?! (*półgłosem do kobiet w pokoju*) Ten facet mi chyba zatrzyma laktację! (*głośno*) Jesteś tam?

OJCIEC (*głośno*) Tak.

MATKA (*zrywa się z krzesła*) Wstąpiłeś do partii?!

OJCIEC Nie, zwariowałaś? I o co ci chodzi z tą partią?

MATKA To co się, do cholery, dzieje??

OJCIEC (*uroczyście*) Zgłosiłem się do WUML-u*.

MATKA Zwariowałeś? Dlaczego do WUML-u?

OJCIEC (*z uśmiechem wyciąga plik kluczy*) Aby nam dali mieszkanie.

MATKA (*zdumiona*) Mieszkanie??

KOBIETY (*tak samo zdumione*) Mieszkanie!!

(*Kurtyna*).

– Wejdźcie, proszę, towarzyszu – rzekł Šperk, przyjmując ojca Kvida owego pamiętnego przedpołudnia w swym gabinecie. – Witam was w Sázavie!

Ojciec Kvida nieco zakłopotany przeszedł po czerwonym dywanie i uścisnął rękę, którą z uśmiechem wyciągał do niego Šperk.

– Mieszkam tu już ponad rok – przypomniał. – A raczej marznę.

– Nawet latem? – śmiał się Šperk.

– Latem nie – odpowiedział ojciec Kvida.

Wodził wzrokiem po ścianie, na której wisiały dyplomy i plakietki, i zatrzymał go na biblioteczce z polerowanego, ciemnego drewna. Na półkach, prócz kilkunastu broszurowych czerwonych książek, stały w większości tylko przeróżne próbki szkła żaroodpornego. Czekał. Šperk obserwował go.

– Postanowiłem – rzekł w końcu – że damy ci jeszcze jedną szansę. Dlatego cię wezwałem.

– Jeszcze jedną? Nie przypominam sobie, żebym już jakąś dostał? – zdziwił się ojciec Kvida.

– Nie dostałeś? Etabu w branży handlowej nie dostałeś? – uśmiechał się Šperk.

– Dostałem. Ale...

– Ale?

– Fakt, że dostałem etat referenta w dziale handlowym, wydaje mi się jedynie logiczny ze względu na to,

* Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu-Leninizmu.

że pięć lat studiowałem handel i trzy lata pracowałem w Akademii, a już na pewno bardziej logiczny, niż gdybym został referentem w rachunkowości.

– Nawet jeśli w tej Akademii pracował niejaki pan Šik? – uśmiechał się złośliwie Šperk.

– O Boże – westchnął ojciec Kvida. – Czy to moja wina?

– A czy to moja wina, że tu ma daczę ten Kohout? – śmiał się Šperk. – I że to widzi Praga? I za to też jestem odpowiedzialny. Znasz go?

– Ja? – rzekł ojciec Kvida nieco zaskoczony. – Nie. Osobiście nie. Z telewizji – skłamał.

– Przecież to prawicowiec jak diabli. Ale nie zawsze nim był, pamiętam, że dzieciaki w kółku mojej żony recytowały jego wiersze. A wiesz, co mówiła mi żona? Że twój chłopak pięknie recytuje. Widać go, chłopaka!

– Kvido? – rzekł ojciec Kvida zadowolony z pochlebstwa. – No tak, stara się.

– Ale ciebie nie widać!

– Mnie? Przez dziesięć godzin dziennie może mnie pan widzieć na jednym i tym samym krześle w biurze. Czasami nawet dwanaście. Proszę, może pan przyjść zobaczyć!

– Nie o to chodzi – Šperk nadal się uśmiechał. – Nie miałem na myśli biura, myślałem: wśród ludzi, w sensie politycznym.

– W sensie politycznym? – spytał ostrożnie ojciec Kvida.

– Nie zgłosiłeś się do WUML-u, nie chodzisz na zebrania, nie masz funkcji, nie angażujesz się, nic, po prostu nic! Ojciec Kvida wzruszył ramionami.

– Nie żądam od was, towarzyszu, jakichś cudów – rzekł Šperk. – Wystarczy, jeśli wstąpicie do Frontu Jedności Narodu. A chociażby straż pożarna?

– Straż pożarna?

– Tak, straż pożarna, chyba nie boisz się ognia?

– To zależy od wysokości płomieni – rzekł ojciec Kvida.

– Hm – mruknął Šperk. – A piłka nożna, grasz? Grupa B spadła, wiesz o tym?

– Tak, słyszałem – skłamał ponownie ojciec Kvida. – Ale w piłkę nie gram. Skądże! Szczerze mówiąc, jestem raczej niesportowym typem.

- No więc piłka nożna nie wchodzi w grę?
- Nie.
- Nie jesteś też członkiem Ligi Obrony Kraju?
- Nie.
- Słuchaj – rzekł nagle Šperk. – Zgłosisz mi się do tego WUML-u, a ja dam ci to mieszkanie!
- Ojciec Kvida poczuł delikatne ukłucie za mostkiem.
- Dobra – zgodził się ojciec Kvida. – Na tej werandzie naprawdę marzniemy.
- I wiesz kiedy? Od razu, teraz! – śmiał się Šperk i wyjął z szuflady pęk kluczy. – Łap, to przyzakładowa willa pod Skřivánkiem. Ale od razu idź tam napalić, w przeciwnym razie popękają rury! Od czasu kiedy wyeksmitowaliśmy Pitorę, nikt tam nie palił. A to już będzie co najmniej tydzień.
- Willa? – ojciec Kvida nie pojmował.
- Tak, willa! – śmiał się Šperk. – W dodatku z ogrodem. Ale tylko ci ją pożyczam!
- Tego się nie spodziewałem – przyznał ojciec Kvida. – Bardzo panu dziękuję.
- Mam nadzieję, że nas nie zawiedziesz. I niech cię Matka Boska chroni, jeśli nie będziesz wieształ chorągiewek; prowadzimy tamtędy pochód lampionowy!
- Chorągiewki? – spytał głupawo ojciec Kvida.
- Dopiero teraz zaczynała do niego docierać informacja Šperka. Odczuwał olbrzymią radość i olbrzymią ulgę i nie mógł się należycie skupić.
- Chorągiewki! – rżał Šperk. – Żebyś nie zapomniał wieszać!
- Dzisiaj?
- Zwariowałeś? Wiesz, jaka by to była prowokacja? Mówiłem, wieszać, a nie od razu!
- Będę wieszać – ocknął się ojciec Kvida. – Ostatecznie nie ma w tym nic złego.
- Pitora też tak mówił – Šperk rechotał ze śmiechu. – A jak skończył?!
- I coś jeszcze – zwrócił się na koniec do ojca Kvida. – Potrzebny ci jest pies, skoro masz już ogród.
- Pies? Ale ja...
- Sprzedam ci szczeniaka – rzekł Šperk tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Z rodowodem. Mam hodowlę, mówiłem ci?

- Tak, ale ja...
- Za trzy tysiące. Wstąp do mnie!
- Niestety, to nie wchodzi w grę – bronił się ojciec Kvida.
- Nie chodzi o pieniądze, ale moja żona zwariowałaby ze strachu! Panicznie boi się psów!
- Przyzwyczai się – odparł Šperk. – Moja też się przyzwyczaiła. Prawda, że wilczury wyglądają jak cielaki?
- Wilczury – przeraził się ojciec Kvida. – Jeszcze tego by brakowało! Żona umarłaby ze strachu. Właśnie z wilczurem przed paroma laty miała paskudną przygodę. Gdzież ona i pies!
- Jaki pies? – rzekł Šperk ze śmiechem. – Przecież ci mówię, że to szczeniak!

IV

1

Willa u podnóża Skřivánka, do której rodzina ostatecznie się przeniósła po powrocie matki ze szpitala, przypominała babci Líbie pewien mały, uroczy pensjonat dla dziewcząt w Lozannie, gdzie dawno temu kilkakrotnie przebywała. Taka sama podmurówka z czerwonego piaskowca, takie same okienne ramy w kolorze ochry, bardzo podobna weranda porośnięta dzikim winem i ponoć niemal identycznie rozmieszczone świerki i tuje w ogrodzie wywoływały w niej bardzo sentymentalne wspomnienia.

Wiosną tego roku wyjechała razem z dwiema przyjaciółkami na wycieczkę do Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Niespełna tydzień spędziły wśród precudnej, budzącej się do życia przyrody Harckiego Lasu – tym bardziej przygnębiała ją myśl zbliżającego się powrotu do brudnego, zadymionego miasta. Ostatnio bowiem miała pewne trudności z oddychaniem, które bez wyjątku składała na karb praskiego powietrza, choć podobnie jak obie jej przyjaciółki, bynajmniej nie wykluczała raka płuc.

W restauracji w Harckim Lesie
kelner nam kawę, torty niesie.
Kiedy tort już każdy zjadł,
głośno wołał: Noch einmal!

– rymowała wprawdzie tradycyjnie na czarno-białej widokówce, lecz poniżej widniał niezwykły i przedziwny, prozaiczny dopisek: *Tlenu wdychamy na zapas – może nam go w tej Pradze wystarczy!* – napisała.

– Co o tym myślisz? – pytała swego męża matka Kvida, trzymając widokówkę w jednej, a małego Paca w drugiej ręce.

Ojciec Kvida raz jeszcze przeczytał tekst.

– Że to jakaś bzdura – oświadczył.

– Oby tylko – powiedziała jego żona. Mimo wszystko uśmiechała się.

Kwietniowe słońce ogrzewało flizy na werandzie tak, że nie tylko można było na nich siedzieć, ba, było to nawet przyjemne. Wszędzie było słychać brzęczenie pszczoł, a w koronie najbliższej jabłoni, pod bladoróżowymi kwiatami, wyraźnie zarysowywały się jabłka nadchodzącego lata.

Z matki Kvida emanowało wielkie szczęście – i zarazem wielka czujność.

Była już w domu, niemniej w końcu i tak nie mogła wszystkiego opanować: babcia Líba pojawiła się już w połowie maja z dwiema walizkami i z niepodważalnym postanowieniem niesienia pomocy matce Kvida przy małym Pacu. Przyjechała zupełnie niespodziewanie pewnego piątkowego popołudnia, co bynajmniej nie przeszkadzało jej, aby zaatakować ojca Kvida, że nie wyszedł jej naprzeciw.

– Ty chcesz tatę zostawić samego w Pradze? – nie pojmowała matka Kvida.

– A co, może nie jest dorosły? – argumentowała babcia. – Przynajmniej będzie sobie mógł kupować mięso!

Twierdziła, że nie może w Pradze zostać już ani minuty dłużej, gdyż tamtejszy smog dosłownie ją dusi, i na dowód prawdziwości swych słów pokazała rodzinie wypełniony flegmą filtr podręcznego respiratora, który obecnie służył jej do oddychania na wszystkich bardziej uczęszczanych skrzyżowaniach.

– Smog – oświadczyła – jest kancerogeny!

Wyraz „kancerogeny” wysłowiła z jakimś nabożnym szacunkiem.

– No tak – zgodziła się matka Kvida z rezygnacją. – No tak.

Ojciec Kvida musiał więc wykorzystać swe umiejętności stolarskie i urządzić dla teściowej na niezamieszkanym do-
tąd strychu przytulne letnie mieszkanie.

– Wbrew rozpaczliwemu naciskowi, jaki ojciec kładł na wyraz „letni” – opowiadał Kvido – babcia mała że pozostała w Sázavie przez całą najbliższą zimę, ale pozostała tu aż do swej śmierci w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym.

– Zimą ten pokój jest praktycznie nieogrzewalny! – ojciec Kvida ostrzegął babcie.

– Tym razem powinnaś mu wierzyć, mamó – starała się ją przekonać matka Kvida. – Ma bogate doświadczenia z nieogrzewanymi pokojami.

Babcia jednak nie dała się zastraszyć i ku przerażeniu ojca Kvida przywłaszczyła sobie zarówno jeden, jak i drugi stary piecyk elektryczny z werandy w Drábovce, dając w ten sposób do zrozumienia, że żadna zima jej nie zaskoczy. Obydwa urządzenia, o czym ojciec doskonale wiedział, potrafiły rozkręcić licznik elektryczny jak płytę gramofonową – i na samą myśl, że oprócz drogiej nafty opałowej będzie musiał jeszcze płacić majątek za prąd, dostawał zawrotów głowy.

Nierzadko potem podczas mroźnych zimowych nocy wstawał i świecił sobie latarką na znajdujący się na schodach licznik elektryczny.

– Wyglądał jak oszczędny duch ojca Hamleta – określiła później matka Kvida, używając poniekąd zwariowanego porównania.

Babcine nagłe obawy, że może mieć raka, o dziwo, nie ustępowały nawet na zdrowym sázavskim powietrzu. Początkowo babcia odmawiała tylko gotowania w aluminiowych garnkach, spożywania rakotwórczych kurczaków, które ojciec Kvida wbrew jej ostrzeżeniom w dalszym ciągu kupował, oraz mycia naczyń przy użyciu detergentów, następstwem czego wkrótce wszystkie talerze i garnki były tak tłuste, że wyslizgiwały się z rąk; stopniowo jednak zakres ustanowionych przez babcie zakazów poszerzał się coraz bardziej.

Dwudziestego maja rodzina świętowała trzydzieste urodziny ojca Kvida. Na dworze żar lał się z nieba, lecz opleciona barwinkiem weranda dostarczała potrzebnego cienia, toteż Kvido postanowił tam właśnie nakryć do stołu. Miał

dla ojca komplet trzech dłuł rzeźbiarskich i wprost nie mógł się już doczekać, kiedy wreszcie po obiedzie będzie mógł mu je wręczyć.

– Proszę do stołu! – wołał niecierpliwie.

Jako pierwszy przyszedł sam ojciec i przyniósł butelkę szampana. Matka, która szła za nim, niosła duży garnek dymiącej zupy, zaś pod pachą ścisła egzemplarz wczorajszej gazety.

– Tego musisz posłuchać – śmiała się. – To ci przeczytam, tego to już chyba nie myślą poważnie!

Postawiła zupę na stole i rozłożyła gazetę.

– Może niekoniecznie – rzekł ojciec – skoro mam już te urodziny.

Babcia Věra wskazała na szklankę dziadka.

– Jemu nie nalewajcie! – rozkazywała.

– Słyszycie, co mówi? Słyszycie? – wykrzykiwał dziadek Josef. – Już mi nawet nie wolno wychylić toastu za własnego syna!!

– Przeczytam ci tylko kawałek – powiedziała matka – naprawdę warto.

– Teraz mi niczego nie czytaj – prosił ojciec.

– Spokojnie, tato. Spokojnie.

Zabrał się do usuwania drucianego koszyka z zakrętki.

– Do stołu! – wołał Kvido. – Dziadku!

– Już idę – wołał dziadek Jiří, który dokonywał oględzin jarzynowych grządek babci Líby i teraz, trochę zasapany, wracał. Kvido zauważył, że dziadek wyraźnie schudł.

– No i co powiesz? – wołała babcia Líba.

– Wspaniałe, muszę przyznać! – rzekł dziadek, ogarniając wzrokiem nawet lesisty masyw doliny rzeki, toteż tak do końca nie wiadomo było, czy jego zachwyt należał się tylko selerowi, kalafiorowi, dyniom i rabarbarom.

– Ma się rozumieć – powiedziała matka Kvida. – Sázava atnositsja k czisłu najboleje populjarnych turisticzeskich oblastiej.

– Też masz się czym popisywać – rzekł dziadek Josef z pogardą. – Rosyjskim...

– Daj spokój! – powiedziała babcia Věra. – Wiesz co, moja droga, to jest naprawdę wspaniała willa. Muszę przyznać...

– Tylko że ma niesamowicie wąski garaż – dodał ojciec. – Ten, kto go budował, musiał być skończonym idiotą! Naszą oktawią ledwo mogę tam cofnąć.

– Staramy się zamienić go na hangar – powiedziała matka Kvida. – Jeśli nam się to nie uda, będzie się musiał nauczyć cofania bez otwartych drzwi.

– Przesadza – rzekł ojciec. – Chodźmy wznieść toast.

– Tylko proszę cię, nie obudź Paca!

Rodzina zebrała się wokół stołu. Ojciec wystrzelił korek i zaczął nalewać szampana do kieliszków.

– A to co ma znaczyć? – wykrzyknęła babcia Líba. – Szkło kryształowe? Chcesz nas wszystkich otruć??

– Słowo daję, że nie – uśmiechał się ojciec Kvida. – I mogę was zapewnić, że jeśli tylko moja żona nie będzie nam czytała „Rudego Práva”, to spokojnie przeżyjemy ten toast.

– Ja rezygnuję z oblizywania tego ołowiu! – krzyczała babcia i z obrzydzeniem odsunęła puchar z kryształowego szkła.

Wszyscy pochylili się nieufnie nad swymi kieliszkami.

– Co to znowu za głupota? – dziwił się dziadek Jiří.

– Ołów – rzekł powoli, z wyższością, ojciec Kvida – wiąże się w ołowianym szkłe molekularnie. Dlatego prawdopodobieństwo, że mogłaby mama, jak to mama sama ujęła, obliżyć choćby tylko jeden mikrogram, uważam za absolutnie wykluczone.

– Wiecie, kogo wczoraj spotkałam? – matka starała się skierować rozmowę na inne tory. – Pavla Kohouta.

Babcia Líba owinęła szklanek papierową serwetką.

– Na zdrowie – powiedziała z przekorą.

– Na mamy – ojciec Kvida podniósł swój kielich. – Na zdrowie mamy.

– Ekologia, w dodatku w sposób oryginalny – rzekł redaktor. – Kupuję to. Rzecz jasna, bez tego Kohouta. No, widać pan, że pan potrafi, wystarczy tylko chcieć.

2

Jak już zostało powiedziane, Kvido czytał płynnie dużo wcześniej, zanim jeszcze w Sázavie zaczął uczęszczać do

pierwszej klasy. Zatem można się było spodziewać, że te prymitywne proste zdania z elementarza – co się dzieciom zdarza w podobnych sytuacjach – będą go nudzić, lecz jego problem był nieco inny. Ponieważ łączył sylaby zupełnie automatycznie, podświadomie, jak każdy doświadczony czytelnik, nie pojmował do końca wyboru i celu wyrazów, służących w podręczniku właśnie do ćwiczenia owych połączeń. Kvido nie chciał wprost wierzyć, że wszystkie te wyrazy zostały wydrukowane ot tak sobie, bez jakiegokolwiek zamysłu czy celu, i czytając, starał się dociec ich sensu. Wiedział już, że wyrazy w książkach czy sztukach teatralnych zdecydowanie nie zostały użyte przypadkowo – i odrzucał przypuszczenie, że w przypadku wyrazów z pierwszych stron elementarza mogłoby być inaczej. Dzięki temu wyrazy typu ELA, MISA otrzymywały w ustach Kvida jakiś przedziwnie uporczywy, dramatyczny akcent, co każdy słuchacz od razu zauważył, bynajmniej jednak nie umiał go sobie wytłumaczyć.

– Całkowicie banalne zdanie typu ALA TULI LALE – opowiadał później Kvido – brzmiało w mej interpretacji jak sugestywny, egzystencjalny przekaz ewentualnie jak krótki fragment nieznannej powieści gotyckiej. Wszyscy zamarli.

Powszechna sława Kvida dotarła niebawem aż do towarzyski Šperkovej, kierowniczkii szkolnego kółka recytatorskiego, która wnet przyszła go przesłuchać.

– Dzieci, proszę wstać – zawołała towarzyszka nauczycielka Jelínková, kiedy jej starsza koleżanka pojawiła się w drzwiach klasy.

– Usiądźcie, dzieci – uśmiechnęła się towarzyszka nauczycielka Šperková. – Chciałabym posłuchać, jak ładnie czytacie.

Kiedy jakoby przypadkiem przyszła kolej na Kvida, czekały na niego trzy krótkie zdania o kuleczce zielonego groszku. Przeczytał je w skupieniu, mimowolnie imitując Vladimíra Šmerala w roli Piusa XII.

Obydwie nauczycielki spojrzały na siebie.

– Chciałbyś może razem ze starszymi dziećmi recytować ładne wierszyki? – zapytała Kvida towarzyszka nauczycielka Šperková.

– Prawdę powiedziawszy, nie wiem – odparł Kvido. – W końcu jest to tylko sztuka reprodukcyjna. Chyba spróbowałbym raczej napisać coś własnego.

– Tak czy tak mógłbyś pisać, po występach – powiedziała zaskoczona towarzyszka nauczycielka Šperková. Słyszała już cośkolwiek o Kvidzie, lecz bezpośrednie spotkanie z nim to mimo wszystko było co innego.

– Nie wiem – odrzekł Kvido. – Muszę się nad tym głębiej zastanowić.

– No, dobrze – zgodziła się nauczycielka Šperková sztywno.

W tym momencie jej koleżanka mrugnęła na nią porozumiewawczo.

– Mógłbyś recytować razem z Jarušką – zaproponowała Kvidowi. – Jaruška też ładnie czyta.

Zainteresowanie Kvida recytacją – zgodnie z założeniami nauczycielki – zdecydowanie wzrosło.

– Może nie będzie chciała – rzekł.

– Dlaczego miałyby nie chcieć! – śmiała się nauczycielka, ucieszona ze swego sukcesu pedagogicznego. – Podejdź tu, Jaruško!

Jaruška posłusznie podbiegła i zatrzymała się przed nauczycielkami. Jej mysie ogonki kołysały się jeszcze przez chwilę. Kvido uśmiechnął się do niej, ale Jaruška nie patrzyła na niego.

– Chciałabyś recytować ładne wierszyki, Jaruško?

Jaruška trochę bojaźliwie przytaknęła i spuściła oczy.

– Aczkolwiek fakt zaangażowania dwójki pierwszoklasistów był w historii kółka precedensem, Šperková ani na chwilę się nie zawahała – opowiadał Kvido. – Jaruška i ja jeszcze tego samego dnia zostaliśmy przyjęci.

Kiedy Kvido z pewnym zakłopotaniem po raz pierwszy na werandzie Drábovki wbił się w niebieską koszulę z odznaką pionierskich Iskierok, jego matka nawet się nie uśmiechnęła; wręcz przeciwnie, miała raczej poważny wyraz twarzy.

– Gdzie to będzie, w szkole? – pytała.

– Na zebraniu – poinformował ją Kvido.

– No tak.

Ojciec Kvida wszedł z naręczem drewnianych listew, z których zamierzał zrobić szafeczkę na buty.

– Hołd czerwonemu sztandarowi – rzekł do Kvida, gdy go zauważył.

Jego żona rzuciła mu krótkie, znaczące spojrzenie.

– A co będziecie recytować, Kvido? – wypytywała go.

– Różne wiersze – niezbyt ochoczo odpowiedział Kvido.

– Naturalnie nie znałem jeszcze wtedy całej istoty tego problemu – opowiadał po latach – lecz już wtedy domyślałem się, że ta moja recytacja nie będzie taka niewinna.

– A ty? – pytała matka.

– Ja *I dumny bądź*.

– *I dumny bądź, że wytrwałeś, że nie splamiłeś piersi ani ust fałszywą mową?* – matka Kvida przypomniła sobie własne dzieciństwo, w połowie spędzone w radiowym zespole Dismana.

– Ty to znasz? – zdziwił się Kvido.

– Hm – odparła matka w zamyśleniu. – A kto mówi *Lenin – światłość, Lenin – dzwon?*

– Jaruška – rzekł Kvido i oblał się rumieńcem.

Dla uczestników zebrania – a zatem nie tylko dla komunistów – udział śpiewających i recytujących pionierów był tak oczywisty jak lemoniada na stołach, jednakże mały Kvido, który w rewolucyjnych wierszach Neumanna czy Skáli znajdował równie mało sensu co w prostych zdaniach elementarza i dlatego czytał je z jednakową pasją po-znawczą, przedstawiał coś, czego dotychczas nie znali.

– Kim jest ten mały postrzeleniec?

– To tej prawniczki i tego inżyniera.

– Gada jak nawiedzony!

– Mały fanatyk!

– Patrzcie tylko jaki smarkacz!

– Ale złapał byka za rogi, bachor jeden!

Jeśli nawet niektóre uwagi były jadowite, to co do jednego nie było wątpliwości: ludzie zauważyli zapalonego recytatora i zapamiętali go sobie.

– I co najważniejsze, zapamiętali mnie z z e b r a n i a – wyjaśniał Kvido Pacowi. – Czyli w sprzyjającym kontekście. Sprzyjającym dla ojca! Oboje mieli niesłychanie wyrozumiały

wyraz twarzy, jaki mają wspaniali rodzice, kiedy ich dziecko wybierze sobie jakąś nieestetyczną zabawkę, która wprawdzie im osobiście ani trochę się nie podoba, ale skoro już ono samo ją wybrało, nie chcą mu jej odmawiać. Z tym tylko że ojcu było to na rękę – toteż mi nie zabraniał. Tak, to jest właśnie ten odpowiedni wyraz, po prostu jedynie mi nie zabraniał. Ja za nich, braciszku, odwałam brudną robotę: Raz *I dumny bądź* dla komunistów z huty szkła, dwa razy *Pieśń pokoju* na komitecie ulicznym – i tatuś mógł polecieć do Londynu!

– Pan przesadza – redaktor zwrócił się do Kvida. – Pan jak zawsze przesadza. Nie jestem pewien, czy ma sens, abyśmy dalej prowadzili tę rozmowę – dodał.

– Oczywiście, że przesadzam – powiedział Kvido. – Ale chcę panu tylko pokazać, że wszystko mogło tu zadziać. Może panu będzie się to wydawać idiotyczne, ale ja wciąż jestem przekonany, że ta moja recytacja dla komunistów, to, że kupiliśmy od Šperka psa oraz to, że ojciec zaczął grać w piłkę, to były, że się tak wyrażę, trzy źródła i trzy warunki jego przyszłej krótkiej kariery.

3

– No i jak mieszkanie, towarzyszu – śmiał się Šperk, kiedy w zakładowej stołówce usiadł na chwilę koło ojca Kvida.

– Dziękuję, dobrze – odpowiedział ojciec Kvida. – Tego naprawdę nie da się porównać, tej wcześniejszej werandy i tego obecnie.

Był wprawdzie Šperkovi rzeczywiście bardzo wdzięczny, ale z drugiej strony nie było mu przyjemnie, że ludzie widzą, jak po przyjacielsku z nim rozmawia.

– Chorągiewki powiesiłeś, to widziałem – uśmiechał się Šperk.

– Powiesiłem – rzekł ojciec.

– Tylko że oprócz tego w ogóle cię nie widać! – upominał go Šperk. – Kopiesz? Potrzebny mi ktoś do beczki.

– Już panu mówiłem, że nigdy nie grałem – wzruszył ramionami ojciec Kvida. – Tylko w wojsku, ale o tym wolałbym zapomnieć.

– No tak – Šperk dalej się uśmiechał. – Więc piłka nożna nie wchodzi w grę?

– Nie. Broń Boże.

– No cóż – rzekł Šperk. – Trudno. Ale coś ci chciałem powiedzieć: Mam dla ciebie tego psa, jak żeśmy się umawiali!

– Pan zwariował! – ojciec Kvida przestraszył się. – Przecież panu mówiłem, jaki żona ma uraz na punkcie psów!

– Nie przesadzaj! – rechotał Šperk. – Za trzy tysiące takiego wilczura! Poczekam z płatnością, nie bój się!

– To nie o to chodzi, naprawdę. Ale żona po prostu boi się psów. Kiedyś pogryzł ją taki jeden, leżała potem w szpitalu, no, po prostu zgroza! – improwizował zdesperowany ojciec Kvida. – Gdzie tam pies!

– Mówię ci, że to nie jest pies! – rzekł Šperk nieco już rozdrażniony. – Przecież to szczeniak. Wstąp do mnie jutro!

– Pytam raz jeszcze – matka Kvida zwróciła się tego wieczoru do swego męża – sądzisz, że ja, która na widok nieprzywiązanego psa jakiegokolwiek rasy dostaję przedwcześnie okres, pragnę sprowadzić sobie do domu psa, ausgerechnet akurat wilczura?

– Nie – rzekł ojciec Kvida przygnębiony.

– Sądzisz zatem, że psa pragnie nasz Kvido? Ten Kvido, który gdy usłyszy niespodziewane szczekanie psa, nie utrzyma moczu ani stolca?

– Nie – rzekł ojciec Kvida i westchnął.

– Zatem pragnie może dorodnego wilczura mały Paco? Może dał ci to w jakiś sposób do zrozumienia?

– Nie!

– W takim razie w tej rodzinie tylko ty go chcesz!

– Ależ nie chcę – zbuntował się ojciec. – Chcę się tylko dostać do jakiejś porządnej pracy.

– Chwileczkę – zdumiała się jego żona – chcę, żebyś mi to wytłumaczył: ty tego psa nie chcesz? Ty też go nie chcesz?? A więc właściwie absolutnie nikt go nie chce, a mimo to będziemy go mieli?? I mimo to jutro po niego pójdziesz?? Dlaczego??

– Przecież cały czas ci to tłumaczę: abym mógł wykonywać swoją pracę.

– I żebyś mógł ją wykonywać, musisz sobie u Šperka za trzy tysiące kupić to kudłate zezwolenie!

– Jezus Maria – jęknął ojciec Kvida. – Czy to moja wina?

Już na pierwszy rzut oka widać było, że redaktorowi coś przyszło do głowy.

– Rany boskie! – wykrzyknął. – Dopiero teraz to do mnie dotarło!

Głośno uderzył się po udach i energicznie wstał z fotela.

– Ja stale panu wymyślam z powodu minimalnej autocenzury, że pan sobie wyznacza najmniejsze ograniczenia, a rzecz ma się zupełnie inaczej! – zaśmiał się gorzko. – Pan nie wyznacza sobie bowiem absolutnie *ż a d n y c h* ograniczeń! Pan się bowiem, jak na razie, *w o g ó l e* nie cenzuruje!

– No, tak – Kvido musiał mu przyznać rację – na razie rzeczywiście raczej nie, ale...

– Zatem – przerwał mu redaktor – zatem niech pan po prostu pisze od razu na czysto, jak się mówi, zgodnie z prawdą, niech pan z nikim i z niczym specjalnie się nie pieści i mniej lub bardziej pogodzi się z tym, bo przecież pan, mimo wszystko, nie jest kompletnie naiwny, że ja to *p o t e m* będę panu, jak jakiś zły jezuita, *w y ł ą c z n i e* skreślać, prawda? Zgadza się?

– Tak jakoś – rzekł Kvido zrezygnowany.

– Świetnie! – zawołał redaktor i dramatycznie ściszył głos. – Tylko że *p o t e m*, potem już nie można będzie skreślić!

– Nie? – pozornie przestraszył się Kvido. – Masz ci los! Co tu począć? Ja się tu męczę z prawdziwą historią, aby ktoś na koniec stwierdził, że nie można w niej skreślać!

– Czy panu wydaje się to zabawne? – spytał chłodno redaktor. – Myślałem, że pan chce *w y d a ć* tę powieść? A skoro tak, to będzie pan musiał z niej sporo usunąć. Ale to chyba nie będzie takie proste, bo na razie jest to tak budowane, że kiedy pan skreśli więcej fragmentów, wszystko to panu spadnie na głowę. Cała struktura się załamie.

Redaktor tryumfalnie podszedł do otwartego okna, zaębnił palcami o parapet i roztargniony wyjrzał na ulicę. Przez aleję Narodową przejechał tramwaj.

– No cóż – rzekł Kvido. – Więc niech się załamie.

Kiedy ojciec Kvida zapłacił Šperkovi trzy tysiące koron, otrzymał od niego półroczną suczkę o imieniu Tera. To imię od początku mu się nie podobało. Brzmiało jakoś tak szorstko i lodowato, a przede wszystkim przypominało mu film *Tora! Tora! Tora!*, znany dramat wojenny. Wracając do domu, całą drogę rozmyślał o tym, że powinien wybrać dla suczki jakieś zupełnie inne, bardziej miękkie i o wiele bardziej pieszczotliwe imię, które byłoby wyrazem jej – w co mocno wierzył – łagodności, niezawodności, przytulności i które natychmiast wywarłoby na jego żonie i na Kvidzie jednoznacznie uspokajające wrażenie. Wprawdzie uświadamiał sobie, że dodatkowe przemianowanie psa, który przez kilka miesięcy zdążył się już przyzwyczaić do swego pierwotnego imienia, jest z punktu widzenia kynologii poważnym przewinieniem, ale z drugiej strony rzeczywiście obawiał się rodzinnej reakcji na imię Tera – a także odrobinę podniecała go myśl, że skoro już nie mógł zdecydować o imionach swych synów, zadecyduje przynajmniej o tym, jak będzie się wabić pies. Przez chwilę miał nawet pokusę, aby nadać suczce żeński wariant swego imienia i zaczął na nią wołać Josefino, lecz na szczęście szybko odrzucił ten pyszałkowaty pomysł. Niemniej myśl o zmianie imienia psa nie opuszczała go.

– Mila. Nimfa. Wanilia – sprawdzał półgłosem brzmienie. – Milka? A może Milka? – mówił do siebie, lecz to imię wkrótce wywołało w nim wizję psiej kopulacji i również je odrzucił.

Idąc, rozmyślał, toteż droga szybko minęła i zanim zdążył się zorientować, razem z psem, który wciąż jeszcze nazywał się Tera, stanął przy bramie ogrodu. Mobilizując całą inteligencję, pomysłowość i spryt, udał się w kierunku domu. W ciągu tych dziesięciu, może dwudziestu sekund przemknęło mu przez głowę co najmniej pięćdziesiąt rzeczowników rodzaju żeńskiego, czuł jednak, że żaden z nich nie jest tym właściwym. Skręciwszy za róg, zobaczył na werandzie swą żonę, jak zamiata liście barwinka. Spod śmietankowego swetra wystawał jej biały kołnierzyk. I wpadł na pomysł.

Żona nie zauważyła go.

– Już ją niosę! – zawołał radośnie. – Wabi się Urocza!

Ogólnie rzecz biorąc, najlepiej z całej rodziny, o dziwo, przyjął Uroczą właśnie Kvido. Aczkolwiek z jego ruchów nie zniknęła pewna ostrożność, to nosił ją, głaskał, bawił się z nią i w ogóle na wszelkie sposoby kręcił się koło niej. Babcia Líba przywitała ją wyłącznie jako kolejnego stołownika, który będzie się domagał mięsa – a Paco był jeszcze zbyt mały, by psiak mógł mu sprawić prawdziwą radość. Matka Kvida postanowiła, że będzie szczeniaka ignorować, toteż groziło poważne niebezpieczeństwo, że przy najbliższej okazji, podczas szybkiego, pełnego gniewu przechodzenia z pomieszczenia do pomieszczenia, zdepta go. Kiedy trwało to już ponad dwie godziny, ojciec Kvida nie wytrzymał.

– Kiepsko grasz – zatrzymał żonę. – Mało przekonująco. Spójrz na Kvida! Nie wydaje ci się śmieszne udawanie, że się boisz tego szczeniaka?

– Nie boję się go. Na razie – powiedziała. – Ale byłam temu przeciwna i ty o tym wiedziałeś.

Ojcu Kvida, na początek, zupełnie wystarczył fakt, że się nie boi.

– Ależ kochanie! – rzekł z ulgą. – To taka przytulna, ufną kuleczka! Jak myślisz, dlaczego dali jej na imię Urocza?

– Dla mnie – zawołała matka Kvida – to zawsze będzie tylko i wyłącznie czarny, zły, zębaty, przerażający, cuchnący pies! Nawet gdyby wabił się Mirosława!

– Nie przesadzaj! – śmiał się ojciec Kvida. – Lepiej chodź ją pogłaskać, przekonaj się, jaka jest przyjemnie mięciutka.

– W żadnym wypadku! I masz ją natychmiast gdzieś przywiązać!

– Oszalałaś? Myślisz, że szczeniaki się przywiązują? – ojciec Kvida niedowierzająco pokręcił głową, po czym schylił się po Uroczą. Suczka podniosła nos i zapatrzyła się na niego ciemnymi, lśniącymi oczyma. – Pogłaszcz ją. Proszę.

Matka Kvida zawahała się.

Potem wyciągnęła rękę i położyła dłoń na głowie Uroczej.

Urocza obejrzała się na nią.

Matka Kvida cofnęła rękę.

– No widzisz! – ojciec Kvida śmiał się zadowolony.

– No i jakie wrażenia? – Matka Kvida dopiero teraz otworzyła oczy.

– Zupełnie jak gdybym głaskała martwego szczura – powiedziała.

– Dopóki Uroczka była szczeniakiem, nie było z nią zbyt dużo kłopotów. Obgryzała naturalnie jakąś tam nogę od stołu, rozszarpała parę książek i sikala na dywany, ale nie sprawiała prawdziwych kłopotów – opowiadał Kvido. Jednak w miarę jak rosła, kłopotów przybywało. Ojciec Kvida, który próbował ją tresować według książki klasyka niemieckiej kynologii Hegendorfa, pełen niepokoju stwierdzał, że aczkolwiek jako suczka powinna być „spokojniejsza, bardziej ochocza i łatwiejsza do opanowania aniżeli pies”, w rzeczywistości jest niemal zupełnie na odwrót: Uroczka była dzika, uparta i bardzo nieposłuszna. W innym podręczniku przeczytał później, że chodzi prawdopodobnie o ostrego psa z przeważającym instynktem wodzowskim, który w sforcie pies – człowiek tylko bardzo niechętnie odstępuje wodzostwo człowiekowi.

– A niech cię! – ojciec był coraz bardziej przerażony.

Następnie dowiedział się, że niezawodnym kryterium pozwalającym rozpoznać ostrego i łagodnego psa jest jego reakcja na kolczatkę: ostry pies podobno dobrze ją znosi. Mógł zatem stosunkowo łatwo stwierdzić, o jakiego psa chodzi w przypadku Uroczej, lecz on dawał pierwszeństwo błogiej nieświadomości przed straszliwą prawdą i wciąż odkładał kupno obroży. Więcej uwagi poświęcał natomiast tresurze.

Początkowo długo się wahał, czy powinien zastosować metody przymusu, co w wypadku ostrych psów zalecał Hegendorf – czy raczej metody przykładu, co o wiele bardziej odpowiadało jego własnemu charakterowi.

– Metoda przykładu? – zdziwiła się jego żona. – Czy ja dobrze słyszę? Czy ty masz jakąś cechę, zdolność albo umiejętność, z której ten pies mógłby brać przykład?

Jednakże ojciec Kvida od dawna był już odporny na przytyki swej żony, toteż dalej cierpliwie ćwiczył Urocza, łącząc obydwie wspomniane metody. Wprawdzie dawno już zrezygnował z myśli, że mógłby ją skłonić do czołgania się, nie mówiąc już o aportowaniu; byłby natomiast maksymalnie

malnie zadowolony, gdyby Uroczą na jego polecenia siadała i kładła się, i gdyby, będąc na smyczy, tak bardzo nim nie powłóczyła, a zwłaszcza gdyby po spuszczeniu ze smyczy przybiegała na zawołanie. Mimo to od czasu do czasu odnosił wrażenie, że są to cele zbyt wygórowane, i wszelki zapal wychowawczy powoli go opuszczał.

Tym gorzej także znosił, gdy ktokolwiek – choćby nawet nieświadomie – udaremniał jego sporadyczne osiągnięcia.

– Możesz mi wytłumaczyć, co to za dziwne komendy?! – wydarł się pewnego razu na swą żonę, usłyszawszy wcześniej cały szereg jej „rozkazów”. – „Masz się położyć!”, a nawet „Walnij tu sobą!”. Co to, do cholery, ma znaczyć? Tysiąc razy już ci przypominałem, że masz mówić „Down!”.

– W takim razie bądź łaskaw powiedzieć tej swojej bestii, żeby nie obgryzała mi twarzy! – jęczała matka Kvida.

– Nigdy cię nie ugryzła! Tylko cię oblizuje! – klócił się ojciec z zapalem. – Powinnaś się z tego cieszyć, gdyż w ten sposób okazuje ci posłuszeństwo! Gdybyś wreszcie przeczytała sobie tego Hegendorfa, wiedziałabyś o tym! „Oblizaniem mordy wodza sfory jej członkowie okazują swe podporządkowanie!” – cytował.

– Mojej mordy oblizywać nie będzie! – krzyczała matka. – Mam gdzieś takie posłuszeństwo! Dla mnie jest posłuszny taki pies, który mnie nie oblizuje!

– O Boże – westchnął ojciec.

Chętnie oduczyłby Uroczą oblizywania twarzy małżonki – tak samo jak całego szeregu jej złych nawyków – lecz nie był pewien, czy rzeczywiście mu się to uda. Jego treserska pewność siebie z każdym dniem malała.

Wreszcie po kilku miesiącach zrobił to, czego wcześniej tak bardzo się obawiał: jadąc służbowo do Pragi, kupił kolczatkę. Kiedy pod wieczór zakładał ją na kark Uroczej, sprawdzając opuszką palca ostrość kolców, wierzył, że tym razem nie poczuje na smyczy jej szarpania. Jak tylko zeszli z werandy na pierwsze kamienie ogrodowej drogi, Uroczą wyrwała się naprzód, całkowicie obojętna zarówno wobec jego wiary, jak również wobec kolców, i przez cały spacer włóczyła nim dokładnie tak samo jak wcześniej.

– Niestety, taka jest prawda – zwrócił się wieczorem do żony zmachany. – Jest to tak zwany ostry pies.

– I co z tego wynika?

– Trudno powiedzieć. Chyba nie zawsze nas usłucha. Prawdopodobnie często będzie stawiać na swoim.

– Nie zawsze – powtórzyła jego żona. – Skąd ty czerpiesz wszystkie te eufemizmy? O tym, że ten pies n i g d y nie będzie nas słuchać, wiedziałam od samego początku, i to nawet bez Hegendorfa!

– Oczywiście nadal będę ją tresować – zapewniał ją ojciec Kvida.

– Że niby co? Ty? – dziwiła się matka Kvida. – Ty ze swym instynktem subordynacji chcesz tresować psa o typie wodzowskim? Nie wydaje ci się to absurdalne?

– Wydaje – ojciec Kvida uznał swą porażkę.

4

Ojciec Kvida ponownie popadał w pesymizm, jednakże niepowodzenia w tresurze Uroczej nie były, rzecz jasna, jedyną tego przyczyną; przeciwnie, wydawało mu się, że tych przyczyn jest coraz więcej.

Zastępcą kierownika działu handlowego huty został jego przyjaciel, inżynier Zvára, czego się wprawdzie ojciec Kvida spodziewał, niemniej nie potrafił tego zrozumieć. Na pozór współpracowali bardzo dobrze, obaj jednak unikali wspomnień o przeszłości, a szczególnie o tym, który z nich ma egzaminy państwowe z dwóch języków, który z nich skończył studia z wyróżnieniem i kto komu napisał pracę magisterską. Jedyną – w dodatku niebezpośrednią – aluzję do tych okoliczności wyraził inżynier Zvára jakoś tak w październiku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku, kiedy po raz pierwszy wysłano go służbowo na Zachód – na targi przemysłowe do Frankfurtu.

Już na tydzień przed odlotem Zvára nie robił nic innego, jak tylko przeliczał przydzielone, a także innym sposobem uzyskane marki, oglądał bilet lotniczy, wciąż na nowo rozkładał i składał plan miasta i na próżno starał sobie przypomnieć zapomniane słówka niemieckie.

– Wiesz, jak się mówi: czy pani jest mężatką? – dopytywał się, nie odrywając oczu od podręcznika do konwersacji.

– Sind Sie verheiratet – rzekł ojciec Kvida.

– A: proszę się rozebrać? – Zvára mrugnął na sekretarkę.

– Ziehen Sie sich aus.

– A: proszę otworzyć usta? – pytał Zvára z lubieżnym uśmiechem.

– Offen Sie den Mund – westchnął ojciec Kvida. – A wiesz, co znaczy: Ich habe einen Ausschlag, Herr Doktor. Es juckt?

– Nie, co?

– Mam wysypkę, panie doktorze. Swędzi mnie. Sekretarka zarechotała.

– O mnie się nie martw – śmiał się Zvára. – Poradzę sobie!

– Daran zweifle ich nicht.

– Co to znaczy?

– W to nie wątpię – przetłumaczył ojciec Kvida trochę zdenerwowany.

Nie zazdrościł mu, przynajmniej nie w potocznym tego słowa znaczeniu, i nie chciał, aby Zvára tak myślał, ale dzielenie z nim radości z podróży było coraz trudniejsze. Zdradzała to jego twarz. Dlatego też odwrócił się do swego biurka i udawał, że zavalony jest bardzo ważną pracą, która musi być niezwłocznie wykonana. Oczywiście Zvára go rozszyfrował.

– Ja wiem, że jesteś lepszy ode mnie – rzekł niespodziewanie.

Ojciec Kvida udawał, że nie dosłyszał: – Słucham?

– Wiesz, dlaczego nie jedziesz ty, chociaż jesteś lepszy?

Ojciec Kvida poczuł znane ukłucie za mostkiem.

– Daj spokój – rzekł możliwie obojętnym tonem.

– Mówię poważnie – rzekł Zvára. – Wiesz, dlaczego?

– Nie wiem, szefie. Czy pan mógłby mi to wytłumaczyć?

– ojciec Kvida silił się na lżejszy ton, lecz nie zmniejszyło to nagłego napięcia, jakie powstało w biurze.

– Bo jesteś idiotą!

– Widzisz – rzekł ojciec Kvida troszkę przytłumionym głosem – a ja, głupek, cały czas myślałem, że nie jadę dlatego, że nie jestem członkiem partii komunistycznej.

– To dobrze myślałeś. I właśnie dlatego jesteś idiotą.

Sekretarka obserwowała ich przerażona.

Przez ułamek sekundy ojciec Kvida miał ochotę uderzyć przyjaciela, potem jednak wziął kilka głębokich oddechów i jakaś fala, płynąca gdzieś z zewnątrz, porwała jego złość.

– Wie pan co, szefie? – rzekł pojednawczo. Jego oczy znów były czyste. – Wysrajmy się na to, dobra?

– No wie pan, panie inżynierze! – sekretarka udawała, że jest zgorziona.

– Mnie tam... – powiedział równocześnie z nią Zvára.

– Plutonowy Zvára! – zawołał ojciec Kvida jakiś kwadrans później.

– Jestem! – zawołał przepisowo Zvára. Zdawało się, że dawno już zapomniał o poprzednim incydencie.

– Niech pana Bóg broni, żeby na tym Zachodzie zrobił pan co złego!

– Tak jest! – przepisowo salutował Zvára.

Wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.

– I tak było zawsze – opowiadał Kvido. – Wstręt ojca do konfliktów, jego fizyczna niemożność ich znoszenia w większości wypadków zwyciężały. Wizja, że miałby czterdzieści godzin tygodniowo spędzać w jednym pomieszczeniu z kimś, z kim jest skłócony, była dla ojca na tyle nie do zniesienia, że nigdy nie pokłócił się ze Zvárou. Kiedykolwiek zorientował się, że ich pogładowa sprzeczka powoli zmierza ku prawdziwej kłótni, ustępował. Rzadko która prawda warta była tego, żeby z jej powodu niszczyć sobie nerwy.

– I ty nigdy w życiu nie powiesz mu, co o nim myślisz?! – spierała się z nim żona.

– A po co? Tylko się pożremy. Myślisz może, że mu otworzę oczy i że się zmieni? – bronił się ojciec. – Nie umiem wychować psa, a co dopiero ludzi.

– To prawda – matka wyjątkowo przyznała mu rację. – A więc ani trochę ci nie przeszkadza świadomość, w jakim to kłamstwie żyjesz? – ciągnęła.

– Przeszkadza – odpowiedział jej ojciec. – Ale faktem jest, że przeszkadza mi to trochę mniej, niż gdy w biurze ktoś obrażony przez osiem godzin dziennie trza-

ska czym popadnie. Tak się składa, że mnie to stresuje. Do-
staję z tego opryszczi.

– A więc tak naprawdę żyjesz w kłamstwie z powodu
opryszczi.

– A ty w nim nie żyjesz?

– Oczywiście, że żyję! Wszyscy w nim żyjemy. Tylko
że ja walczę z nim! Po swojemu, na pozór dyskretnie, ale
walczę.

– Drogą prawną – zauważył ojciec Kvida.

– Zgadza się, drogą prawną. Jestem prawnikiem,
więc drogą prawną.

– W państwie bez prawa – uzupełnił ojciec. – Przecież to
jest kwadratura koła, nie wydaje ci się?

Dotknął zapewne jakiegoś czułego miejsca, gdyż matka
Kvida zareagowała bardzo rozdrażniona:

– Tymczasem ty walczysz za prawdę w warsztacie sto-
larskim!

– Nie walczę – odparł ojciec, wzdychając. – Czegoś takie-
go nigdy nie mówiłem. Ja tam sobie lecę nerwy. Nawet so-
bie nie wyobrażasz, jak to wspaniale uspokaja! Zanim zro-
bię jedną półeczkę, zdążę zapomnieć o świecie.

– Półeczkę! – zawołała z pogardą matka Kvida. – Załatw
sobie LSD. O wiele szybciej zapomnisz o świecie, a przy-
najmniej będzie to miało jakiś styl.

– Co tam LSD, ale postaraj się skombinować jakieś drewno!

Ojciec Kvida wiedział, o czym mówi. Już wcześniej uda-
ło mu się do piwnicznego warsztatu zakupić stary draksel,
tokarkę napędzaną pedałem, nie mógł jednak – w momen-
cie gdy już w ten sposób poszerzył swe twórcze możliwo-
ści – zdobyć odpowiedniego materiału i na wiele długich
tygodni był skazany na ścinki, jakie mu pozostały. Z nich
potem sporządzał spławiki, chociaż nie łowił ryb, albo róż-
ne wisioriki, których nikt nie nosił, a to wszystko tylko
po to, by móc w dalszym ciągu pracować w warsztacie.

– Kiedy nie miał już ani kawałka drewna, które moż-
na by umocować w tokarce, zabierał się do ręcznego rzeź-
bienia przeróżnych miniatur o wyraźnym znaczeniu sym-
bolicznym – opowiadał Kvido. – Najbardziej znanym

dziełkiem ojca z tego okresu jest miniatura szlabanu drogowego z przejścia granicznego w Rozvadovie.

– Człowieku, pan chyba stroi sobie ze mnie żarty! – rzekł redaktor. – Życie w kłamstwie, państwo bez prawa... Ustaliśmy coś, czy nie...?!

– Kiedy to prawda – rzekł Kvido nieustępliwie. – Jaki to będzie miało sens, jeśli to nie będzie prawda?

– Sens? – zapytał redaktor. – Pan naprawdę jest jeszcze dzieckiem! Od kiedy, proszę pana, możemy w Czechach pytać, czy nasza literatura ma sens?! Na taki luksus nasz kraj nigdy nie mógł sobie pozwolić. Tutaj zawsze tylko i wyłącznie pytamy, czy w ogóle istnieje. Czy jest! Czy pan tego nie rozumie?

– Nie – odparł Kvido. – Nie rozumiem.

Kiedy tylko ojciec Kvida skombinował skądś materiał i na paletach w warsztacie leżały wzorowo ułożone sosnowe i świerkowe deski, kilka jasnych, dębowych belek, sklejka, krótsze i dłuższe listwy i czerwieniejące klocki z drewna dzikich śliw, z zapalem, który tak długo musiał tłumić, zabierał się do pracy. Na rozgrzewkę wystrugał kilka misek i świeczników oraz nową ramę do lustra, po czym zabrał się do karniszy, których domagała się matka Kvida, wykonał obiecane osłony na grzejnik centralnego ogrzewania do pokoju dziecięcego, sporządził dla Kvida prościutką, ale praktyczną biblioteczkę, a także oszlifował i polakierował ławkę na werandzie. Wciąż jednak miał wrażenie, że jego majsterkowaniu czegoś brakuje. Wszystko, co tylko wyniósł z warsztatu na światło dzienne, zawsze posiadało jeden czy dwa drobne szczegółiki, które wprawdzie najczęściej widział tylko on sam, ale które w jego oczach dawały wyrobom jakieś piętno amatorszczyzny: w łączeniach pojawiała się wąska szczelina, na lakierowanej powierzchni zauważał kilka pęcherzyków, kąty troszeczkę się rozchodziły. Innym razem z rzemieślniczego punktu widzenia produkt spełniał oczekiwania, natomiast od strony estetycznej wyglądał niezbyt przekonująco.

– Tak było między innymi w przypadku stojaka na czasopisma – opowiadał Kvido. – Ojciec stosunkowo długo nad

nim pracował, ale zrobił taki olbrzymi i masywny, że goście zaraz w pierwszym zdaniu pytali, dlaczego w pokoju gościnnym trzymamy paśnik.

Ojciec Kvida nie cierpiał amatorszczyzny. Całe swe dzieciństwo spędził pośród poluzowanych, chwiejących się, odklejonych czy też wylatujących rzeczy, które amatorsko, czy też raczej całkowicie dyletancko naprawiał jego ojciec, dziadek Josef. Jeszcze teraz, kiedy przypominał sobie wszystkie te drzwi od szaf utykane złożonymi papierkami, kable elektryczne owinięte leukoplastem i poluzowane klepki uszczelniane gumą do żucia, ogarniała go przedziwna, czasami wręcz histeryczna nerwowość. Był przekonany, że skoro jego często pozbawiona sensu praca w branży handlowej nie może być profesjonalna, to przynajmniej jego praca z drewnem mogłaby mieć fachowy poziom – i chociaż pracował w skupieniu i miał dobry materiał i ostre dłuta, wciąż nie był zadowolony ze swych dokonań. Wiedział, że do tego, aby pracować z drewnem, brakuje mu wrodzonego wyczucia, którego nie można się nauczyć, z drugiej jednak strony sądził, że ten swój brak może zrekompensować przez zwiększenie ilości godzin spędzonych w warsztacie.

– Mój ojciec – opowiadał Kvido – starał się przewyciężyć własne geny.

Duże, aczkolwiek swoiste zamówienie stolarskie złożyła wówczas u niego babcia Liba, którą konsekwentna profilaktyka w zakresie substancji rakotwórczych doprowadziła poprzez różnego rodzaju zielarstwo aż na samą granicę mistyki. Jakiś różdżkarz, którego zaprosiła, potwierdził odplatnie jej domysł, że wszechobecne prądy elektromagnetyczne przechodzą przez jej pokój na poddaszu p o p r z e k ą t n e j, i stosunkowo łatwo przekonał ją, że jej łóżko zdecydowanie powinno respektować ten kierunek. Wobec tego klasyczna prostokątna komódka na białą pościelową stała się nagle bezużyteczna – pojawiła się natomiast aktualna potrzeba posiadania komódki o kształcie zupełnie innym, t r ó j k ą t n y m.

– N a r o ż n e komplety wypoczynkowe znam – przyznał ojciec Kvida, kiedy po raz pierwszy zapoznał się z życzeniem

babci – ale narożna skrzynia na pościel będzie niewątpliwie jedyna w kraju. – Któregoś dnia doczekamy się, że będę dla niej zbijać fakirskie łoże – przepowiadał posępnie swej żonie, równocześnie jednak w głębi duszy był zadowolony, że dostarczono mu absolutnie legalnego powodu, dla którego musi do późnych godzin nocnych przesiadywać w warsztacie.

O wiele jednak silniejsze niż wiara w elektromagnetyczne prądy było niespodziewane urojone przekonanie babci, że jeżeli na wycieczkach turystycznych z przyjaciółkami kroczy na wschód, czyli w kierunku przeciwnym do obrotów kuli ziemskiej, fizycznie się odmładza. Ojciec Kvida już nieskończoną ilość razy próbował jej udowodnić, ostatnio za pomocą lampy kuchennej, kolorowych pisaków i nocnej lampki, że jej teoria jest, delikatnie mówiąc, irracjonalna, za każdym jednak razem bezskutecznie, na domiar złego wyrwał lampę z haka w suficie. Babcia, z nieustępliwością wprost Galileuszową, obstawała przy swoim, twierdząc, że kiedykolwiek ulica czy też leśna dróżka skręci prosto na wschód, podobno j e d n o z n a c z n i e czuje, jak swymi stopami dosłownie rozkręca ziemię, podobnie jak niedźwiedź w cyrku potrafi rozkręcić duży walec czy kulę.

– A więc w rzeczywistości podążam przeciw czasowi – tłumaczyła.

Matka Kvida nie wierzyła babci. Sądziła, że gra z nimi w jakąś głupią grę, której celem jest pogłębienie współczucia dla jej wieku. Zita jednak pewnego razu potwierdziła, że babcia swe wypowiedzi traktowała poważnie.

– Idzie parę kroków przed nami, kompas w ręku, i nagle ni z tego, ni z owego prze naprzód jak szalona – relacjonowała ze smutkiem.

– Dokąd pędzisz, Libuško? – wołają na babcię jej towarzyski, lecz ona ich nie słyszy. Własnymi nogami rozkręca planetę i czas ją porywa. Z jej tydek znikają żyłaki, zwiotczałe mięśnie prężnieją, a każdy kolejny krok jest lżejszy i bardziej sprężysty od poprzedniego. Zgarbione ramiona wyprostowują się i jędrne, pełne piersi napinają kraciany materiał koszuli. Siwe włosy znów nabierają koloru i połysku, stają się gęste, wyslizgują się z koka i przy każdym stąpięciu wybuchają wokół gładkiej, młodej twarzy.

Powietrze jest krystaliczne i świeże, a oddychać nim to czy-
sta rozkosz. Drzewa wokół tylko migają, a tam w przodzie,
na końcu lasu, czeka być może jakiś przystojny, mądry
chłopak, zdecydowanie bardziej sympatyczny niż te nie-
znajome staruchy, które na nią z tyłu coś pokrzykują. Czu-
je spokojne, regularne bicie swego serca i uśmiecha się
do świata śnieżnobiałymi ząbkami. Jest rok tysiąc dziewięć-
set trzydziesty i babcia ma osiemnaście lat.

– I tak dogonimy ją za następnym zakrętem – Zita pocie-
sza zasapane koleżanki.

I rzeczywiście. Kiedy droga ponownie skręci na północ,
babcia Líba już na nie czeka. Z trudem opiera się o drzewo,
nie może złapać oddechu, a w jej oczach odbija się jakieś
pozaziemskie zmęczenie.

– Zaraz będzie dobrze, dziewczyno. – Zita mówi do niej
nie bez wzruszenia i daje jej do popicia odpowiednie lekar-
stwo. – Znów jesteśmy przy tobie.

5

Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Dziadek Jiří musiał
się poddać jakiejś operacji, nie mógł więc przyjechać. Z te-
go względu dzień wcześniej Kvido, jego matka i babcia
Líba przywieźli mu prezenty do szpitala. Dziadek był tro-
chę blady, ale uśmiechał się. Kvido dostrzegł na nocnej
szafce koło jego łóżka małą, stosunkowo grubą książkę; nie
miała obwoluty, a więc nie mógł odczytać ani tytułu, ani
nazwiska autora.

– Co czytasz? – Kvido zapytał dziadka, gdyż książki
wzbudzały w nim coraz większe zainteresowanie.

– Lepiej nie pytaj! *Sonety* Szekspira! – śmiał się dziadek.
– Po prostu zaczynam wariować. Wiesz, co to oznacza, kie-
dy prawnik zacznie czytać Szekspira? – zwrócił się wesoło
do matki Kvida.

– Nie wiem – odparła.

– Udaje, że nie wie! – rzekł dziadek. – A jak się ma Paco?

W wigilię Bożego Narodzenia od rana panowała spokoj-
na atmosfera; nie zepsuła jej ani Uroczka, która jeszcze

przed południem zeżarła połowę indyka, przygotowywanego na wieczerzę, ani matka Kvida, która z reszty przyrządziła sznycle i usmażyła je na rakotwórczej, teflonowej patelni, ostatecznie nie zepsuła jej nawet babcia Líba, która potem sznycle z obrzydzeniem wyrzuciła do sedesu; bowiem niezwykła nieobecność dziadka czyniła wszystkich wyjątkowo tolerancyjnymi. Częściowo zepsuł ją dopiero Kvido.

– Co to za durnota? – spytał bez ogródek, kiedy w ostatnim pudle na stercie swoich prezentów nie znalazł wymarzonego czarnego kapelusza z szerokim rondem, a zamiast tego czarno-białą piłkę do kopania. Bynajmniej nie starał się ukryć swego rozczarowania, ani tym bardziej symulować jakąkolwiek radość.

Rodzice uśmiechali się tajemniczo, mały Paco spokojnie zajmował się swoimi prezentami.

– Naprawdę kupiliście to dla mnie? – pytał Kvido, w którego głosie można było słyszeć chrypkę mutacyjną. – Czy to ma być dowcip? Jeżeli tak, to jest kiepski.

– Zaczekaj – odchrząknęła matka, lecz Kvido nie dopuścił jej do głosu.

– Skoro już nie odmówiłem swego udziału w tej żalösnej farsie z pisaniem listu do pana Jezuska i wyraziłem się absolutnie nie d w u z n a c z n i e, że jest mi pilnie potrzebny czarny kapelusz z szerokim rondem, spodziewałbym się, że będziecie respektować moje życzenia! – ciągnął rozdrażniony.

– Kvido – rzekł ojciec z wyrzutem.

– Zrozumiałbym – Kvido podniósł głos – gdybym nie dostał żadnego prezentu – Bóg mi świadkiem, że zawsze staram się uwzględnić waszą sytuację ekonomiczną, i naturalnie bym wam wybaczył, jeśli dostałbym kapelusz granatowy, ba, nawet brązowy, chociaż w takich kolorach nigdy trzeźwy nie pokazałbym się na ulicy, bowiem widziałbym w tym przynajmniej chęć zadośćuczynienia mojemu życzeniu, ale tej piły do nogi wam nie wybaczę!

Paco ze strachem spojrział na brata.

– Na ulicy Celetnej widziałam m o r z e czarnych kapeluszy – powiedziała babcia Líba. – I to tanich!

– O Boże, mamó! – powiedziała matka Kvida.

– Zaczekaj, Kvido – rzekł ojciec.

– Nie będę czekał! – zaszlochał Kvido. – Ja wiem, słyszycie?, ja wiem, że jestem niesportowym typem, niezgrabnym, grubym i introwertycznym okularnikiem, toteż jest absolutnie, naprawdę absolutnie niepotrzebne, abyście pod moim adresem robili takie kosztowne aluzje!

Zapadła cisza, przerywana tylko głośnym chlipaniem Kvida. Ojciec Kvida skierował wzrok na drewniany sufit i z pudła za plecami wyjął czarny kapelusz z szerokim rondem. Niepewnie wzruszył ramionami.

– To naprawdę miał być żart – rzekł.

– Nie masz poczucia humoru? – spytała matka Kvida. – Babcia też się śmiała, kiedy dostała tę busolę.

– Taka głupia busola – powiedziała babcia Liba.

– Podobała ci się! – protestowała matka.

– Już mi się nie podoba – oświadczyła babcia rezolutnie. Matka wzruszyła ramionami.

– Więc dla kogo jest ta piłka? – spytał podejrzliwie Kvido. Ojciec Kvida schylił się i wziął piłkę do rąk.

– Dla mnie – wyjaśnił. Wyciągnął ręce przed siebie i zapatrzył się w piłkę bardzo osobliwym spojrzeniem.

– Że niby co? – zdziwił się Kvido.

– To prawda – potwierdziła matka – mówi prawdę. Chyba już zapomniał, że właśnie z powodu piłki nożnej musiał w wojsku w Opatovicach biegać nocą w piżamie po oślej dróżce!

Wprawdzie o tym, że ojciec Kvida faktycznie kupił piłkę dla siebie, dowiedziała się już wczoraj, wciąż jednak nie rozumiała tego dość dobrze.

– B e z piżamy – uściślił ojciec i jego oczy zapatrzyły się gdzieś w ciemną przeszłość.

– Bez? Biedactwo – śmiała się matka Kvida. – Tego mi nie mówiłeś!

– Za co? – Kvido spytał nieśmiało. Wstydził się swej wcześniejszej sceny.

– Gra ręką – wyjaśnił ojciec wyjątkowo zwięźle.

– Opowiedz jeszcze – matka Kvida świetnie się bawiła – jak żołnierze z twojego plutonu zabrali ci okulary i po za-

kończeniu strzelania drutem przymocowali je na strzelnicy do jednego z tych blaszanych manekinów...

Ojciec Kvida z trudem przełknął.

– P r z e d strzelaniem – rzekł jakoby niechętnie. – Ale na szczęście nikt w nie nie trafił. Musieli je potem przejechać kuchnią polową.

– Tego mi też nie powiedziałaś! – matka śmiała się do rozpuku. – Oczywiście zataiłeś przede mną całą masę faktów!

– Gra ręką? – spytał Kvido z zainteresowaniem.

– To też. I własna bramka.

– A więc – matka Kvida płakała ze śmiechu – a więc teraz kupiłeś piłkę, żeby sobie, że tak powiem, troszeczkę wspominać! Obawiam się, że ze względu na charakter tych przeżyć będzie to raczej psychoanaliza.

– Kompas jest zdecydowanie lepszy – powiedziała babcia Líba, która na moment ocknęła się z pólśnu.

Ojciec Kvida uniósł piłkę na wysokość twarzy.

– To chyba nawet nie jest piłka – rzekł tajemniczo.

– Ma się rozumieć! – wołała matka. – Przecież to klucz do twej osobowości!

– Bynajmniej. Wiesz, co to jest? To jest moja ostatnia ofiara bogom kariery.

– Słucham?

– Rzeczywistość to szyfr. Pozory mylą. Nie możesz ufać rozmiarom – rzekł poważnie ojciec Kvida. – Być może jest to ta właściwa kulka do Golema.

– Być może! – śmiała się matka. – Oczywiście o ile nie jest to duch komendanta oddziału.

Ojciec Kvida uniósł piłkę jeszcze wyżej. Płomienie świeczek na choince pochyliły się pod wpływem zawirowania powietrza.

– Przyjmijcie, o bogowie, mój napój ofiarny – rzekł ojciec Kvido i matka wymienili spojrzenia. Babcia spała.

– Dość już – powiedziała matka Kvida. – Że babcia zaciągnęła do rodziny siły nadprzyrodzone, o tym wiemy. Nie spodziewałabym się jednak, że jako pierwszy będzie w tym szukać inspiracji największy racjonalista rodzinny.

– Nic innego mu nie pozostaje – rzekł ojciec Kvida. – Pracuje tu od pięciu lat, wykonuje robotę absolwenta szkoły średniej i zarabia dziewiętnaście stówek.

Paco wstał od swych zabawek.

– Daj piłkę! – poprosił.

Ojciec rzucił mu ją.

– Mam czerwony dyplom, egzamin państwowy z angielskiego i niemieckiego, rekomendacje z Akademii, pięć lat praktyki, WUML, psa i syna, który recytuje – rzekł. – Jeszcze nauczę się tej oto kolektywnej gry w piłkę i na tym koniec.

– On chyba faktycznie postarał się o to LSD! – zawołała matka Kvida.

Ojciec Kvida nie zwracał uwagi na jej przytyki.

– Może znasz przynajmniej reguły? – zwrócił się do starszego syna. – Parę spraw muszę sobie wyjaśnić: gra ręką, spalone i tak dalej.

– Reguły znam całkiem dobrze – rzekł Kvido. Miał zdumioną minę, jednakże rozumiał, że jego ojciec, Bóg wie dlaczego, mówi poważnie, i chciał mu pomóc. – Obserwowałem w szkole chłopaków.

– To świetnie. Jak sądzisz, znalazłbyś dla mnie jutro trochę czasu?

Kvido przytaknął gorliwie. – Oczywiście – odpowiedział.

– W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia po południu po raz pierwszy poszliśmy trenować – opowiadał Kvido. – I od razu pojawił się problem, gdyż ojciec nie posiadał, zresztą jak nigdy w życiu, nie licząc okresu obowiązkowej nauki szkolnej oraz służby wojskowej, ani dresu, ani jakiegokolwiek obuwia sportowego, musiał więc założyć sweter, sztruksowe spodnie i stare półbuty, których obcasy później nieustannie grzęzły w miękkim trawniku.

Kolejny problem pojawił się podczas poszukiwania odpowiedniego terenu do treningów: ojciec Kvida, ze zrozumiałych względów, chciał trenować w miejscu jak najbardziej odległym, przy czym było to właśnie miejsce, gdzie kiedyś bezskutecznie próbował tresować Uroczą, i dokąd, z powodu jakiegoś przesądu, nie chciał już powracać. W końcu jednak znaleźli inny taki zakątek, niedaleko ogrodu, u samego podnóża Skřivánka.

Na początek ojciec Kvida chciał sobie powtórzyć elementarne podania na małą odległość. Jednak choć stawali

coraz bliżej siebie, większość czasu i tak spędzali na poszukiwaniach piłki w pobliskich krzakach leszczyzny.

– Tu jest bardzo dużo kretowisk – oświadczał ojciec Kvida, jak gdyby usprawiedliwiał się osobie trzeciej. – Na boisku oczywiście ich nie będzie. – Przyniósł piłkę i długo ją ustawiał na fikcyjnym znaku.

– Łap! – krzyknął wreszcie.

Starał się ostro wystrzelić, lecz piłka zatrzymała się w powalonej trawie, zanim w ogóle doleciała do Kvida.

– Tu jest wysoka trawa! – wyjaśniał.

– Tam jej nie będzie! – wołał Kvido, chcąc ojcu dodać otuchy.

Obaj jednak zdawali sobie sprawę z tego, że nawet na idealnie równym, wykoszonym trawniku nie wyglądałoby to dużo lepiej.

W trakcie tego i wszystkich następnych treningów ojciec Kvida po raz kolejny uświadamiał sobie powszechnie znaną prawdę, że ruchy graczy, które na ekranie telewizyjnym wyglądają tak lekko, płynnie i naturalnie, w praktyce bynajmniej nie należą do łatwych. Jego własne ruchy, przeciwnie, były konwulsyjne, gwałtowne i tylko w minimalnym stopniu skoordynowane. Jego bieg wyglądał nienaturalnie i ociężale, a po przebyciu dystansu dłuższego niż dwieście metrów, niestety, zdradzał także wyczerpanie. Podczas biegu z piłką ojciec Kvida bądź wykopywał ją zbyt daleko przed siebie, bądź potykał się o nią. Okrążenie z piłką przeciwnika, którego ofiarnie grał jego syn, udawało mu się wyłącznie wtedy, gdy Kvido stał nieruchomo; lecz kiedy tylko ruszył się w tym samym kierunku, jaki dla swego ataku wybrał ojciec, kończyło się to niebezpiecznie wyglądającą stłuczka. Podania płaskie ojciec Kvida rozpracowywał sposobem, którego z powodzeniem używa się do zduszenia palącej się zapalniczki lub do zdeptania osy, niezbyt jednak nadawał się do zatrzymania piłki. Toteż najczęściej przelatywała mu pod wystawioną nogą; czasami wprowadził ją trafiał, lecz tak gwałtownie, że się haniebnie ześlizgiwała. W końcu ojciec Kvida zrezygnował również z odbierania wysokich piłek (podobnie jak tresując Uroczą, zrezygnował z treningu aportowania), bowiem ze względu

na okulary nie mógł główkować, rękami nie mógł grać ze względu na reguły, a próby zahamowania piłki na klatce piersiowej oznaczały ryzyko realnego niebezpieczeństwa zaparcia tchu. Natomiast jego strzałom brakowało zarówno siły, jak i niestety precyzji, a zatem najczęściej przypominały nieudane podania. Lecz w ogóle najgorsze chyba było to, że za każdym razem, kiedy tylko piłka zbliżyła się do niego, ojciec Kvida zupełnie mimowolnie zaczynał wysuwać język, co nadawało mu wyraz bezmyślnego idioty.

– Niezły strzał! – Kvido mimo wszystko chwalił ojca.

– Człowiekowi nie pasują jego ruchy a priori – zauważył Kvido. – Żeby ten czy inny ruch pasował do niego, człowiek musi go najpierw dokładnie przetrwać i wchłonąć. Na przykład mojemu ojcu, który dziesiątki tysięcy godzin spędził przy swym biurku, absolutnie wyjątkowo pasowało, kiedy lewą ręką sięgał do biblioteczki po jakąś potrzebną pozycję, podczas gdy jego prawa ręka z imponującą samodzielnością kontynuowała robienie notatek czy też obliczeń na kalkulatorze. Poza tym – jak każdy inny człowiek – wykonywał oczywiście cały szereg innych, mniej lub bardziej układnych, pospolitych ruchów – i co za tym idzie, również ruchy absolutnie żenujące: na przykład kiedy się pośliznął na mokrych schodach lub kiedy podczas związkowych wczasów w Karkonoszach musiał naśladować niedźwiedzia polarnego – no i kiedy grał w Sázavie w piłkę nożną.

Nie bacząc na to, że jego sporadyczne postępy polegały wyłącznie na niezpełnym usuwaniu najbardziej rażących braków, ojciec Kvida trenował przez całą zimę, i to kilka razy w tygodniu. Kupił sobie zwykły dres czarnego koloru i żółto-czarne płócienne buty do gry w piłkę nożną, dzięki czemu mógł nareszcie wyjść z ukrycia pośród krzaków leszczyny na mały bieg kondycyjny po najbliższej okolicy, nie wzbudzając powszechnego zdziwienia swym strojem.

Prawie zupełnie zaniechał przesiadywania w piwnicznym warsztacie, rano brał zimny prysznic i zaczął czytać sportową stronę gazety. Przeczytał też wspomnienia Bicana *Pięć tysięcy goli* oraz książkę Oty Pavla *Dukla wśród drapa-*

czy *chmur*. Nic z tego jednak nie odbiło się zbyt na jego wynikach i Kvido, który najczęściej wiernie towarzyszył ojcu, wszystkie swe myśli koncentrował na jedynym pytaniu, czy aby na pewno nie widzi ich żaden z sąsiadów.

– Było to straszne, lecz na coś jednak mi się przydało – opowiadał później. – Po pierwsze zrzuciłem parę kilo, a po drugie raz na zawsze uświadomiłem sobie, że o ile w przyszłości będę Jarušce czymś imponował, to z całą pewnością nie swą pełną poświęcenia pracą nad obmyślaniem szybkich kontrataków.

Z początkiem marca ojciec Kvida niby przypadkiem pojawił się na pierwszym treningu sázavskiej B-drużyny. Towarzysz Šperk, który jak zawsze obecny był na rozpoczęciu wiosennego sezonu, przywitał go z autentyczną radością – w przeciwieństwie do graczy, którzy do nowicjusza, mówiącego bez przerwy o Josefie Bicanie, podeszli z pewną nieufnością.

Niestety, w ciągu najbliższych dwóch godzin taka postawa znalazła swoje uzasadnienie: ojciec Kvida nie dorównywał im ani technicznie, ani kondycyjnie. Kiedy tylko otrzymał piłkę, wnet ją tracił, i w ogóle powtarzał większość swych poprzednich błędów. Także tym razem chyba dwukrotnie upadł, przy czym najbliższy przeciwnik był od niego zbyt oddalony, żeby można było dyskutować o cudzej winie. Dwa jego strzały, które o dziwo zmierzały między słupki, bramkarz z jawną pogardą odbił pięścią.

– Gdzie by nie spojrzeć, sami inżynierowie. I gówno! – komentował wystarczająco głośno.

– No i sam pan widział – rzekł ojciec Kvida po treningu.

– O co ci chodzi? – śmiał się Šperk. – Dałeś się zauważyć!

Dwudziestego maja chwilę po południu ojciec Kvida kończył jeść wołowinę z ryżem w stołówce zakładowej. Już chciał odejść, kiedy do jego stolika aluminiową tackę przyniósł sobie także Šperk.

– Cześć – śmiał się. – Nie lubisz klusek?

– Wolę ryż – rzekł ojciec Kvida. – Dzień dobry.

Šperk zabrał się do jedzenia.

– Jak się ma Tera? – spytał z pełnymi ustami.

– Tera? – ojciec z początku nie rozumiał, o co chodzi. – Ach tak... Ma się dobrze.

Tak czy inaczej Šperk nie sprawiał wrażenia, że odpowiedź zbytnio go interesuje.

– Wyjeżdżają do tej Anglii, wiesz o tym? – spytał.

Cośkolwiek, pomyślał ojciec Kvida.

– Tak, wiem – rzekł.

– Tak się zastanawiam, czy aby z tymi naszymi ludźmi od czasu do czasu nie powinien jeździć ktoś, kto się zna na rzeczy i zna języki – śmiał się nad swym talerzem Šperk.

Cynizm takiego otwartego oświadczenia w pierwszej chwili w jakiś perwersyjny sposób nawet ucieszył ojca Kvida i już chciał się zaśmiać, gdy nagle zwątpił, czy aby przypadkiem Šperk nie mówi poważnie.

– Myślę, że z pewnością powinien – rzekł ostrożnie.

– Ma się rozumieć – Šperk szczerzył zęby w uśmiechu. – Myślałem już nawet o odpowiednich kandydatach.

Ojciec Kvida poczuł ukłucie za mostkiem.

– Tak? – rzekł na pozór rozbawiony.

– Prawdopodobnie pojedziesz ty – Šperk oznajmił mu wesoło. – Młodzi przodem, no nie? Oczywiście musiałem za ciebie poręczyć.

V

1

Ojciec Kvida miał lecieć do Anglii na początku lipca. Babcia Líba, która dzięki temu, że w tygodniowym jadłospisie rodzinnym konsekwentnie przeplatała zapiekankę z bułek z owocami i twarogiem, placki z dyni, kotlety mielone z jarmużu, kotlety z marchwi, kluski kładzione, fasolkę z ryżem oraz zapiekaną czarną rzepę, zaoszczędziła w końcu na wymarzoną objazdową wycieczkę po Włoszech, odlatywała już pod koniec maja.

Fakt, że wyjeżdża wcześniej niż ojciec Kvida, był dla babci źródłem wręcz dziecinnej radości. I wcale nie mniejszą radość sprawiało jej także to, gdy mogła obydwą kraje przekornie porównywać; naturalnie kraj Półwyspu Apenińskiego wychodził z tego porównania absolutnie zwycięsko. Babcia z przyjemnością opowiadała o wilgotnych londyńskich mgłach, zimnym morzu i brytyjskiej zarozumiałości – a jej oczy wesoło się jarzyły. Ojciec, któremu entuzjazm babci chcąc nie chcąc się udzielał, aczkolwiek początkowo starał się opanowywać, mówił natomiast o dusznych upałach, o złodziejach kieszonkowych i o kuchni włoskiej, w której podobno większość pokarmów przygotowuje się na aluminium i teflonie. Babcia, która aż do tej pory nieustannie się z nim spierała, odbierała prowokacje ojca z ogromną wspaniałomyślnością i wybaczyła mu nawet absolutnie głupią uwagę na temat, jak po włosku mówi się „nowotwór złośliwy”. Matka Kvida, która podobnie jak Kvido, nigdy nie była dalej niż w Wysokich Tatrach, wysłuchiwała ich wzajemnych dobrodusznych potyczek z rosnącą niechęcią, aczkolwiek każdemu z nich szczerze życzyła wyjazdu. Często nie zdążyła nawet posprzątać ze

stołu po kolacji, gdyż oboje podróżnicy niecierpliwie rozkładali mapy i prospekty wprost na brudnych talerzach.

– Idźcie już z tym do licha! – złościła się. – Kto was ma bez przerwy wysłuchiwać.

Dwudziestego maja babcia pojechała do Pragi, a dziadek Jiří odprowadził ją na lotnisko. Po dziewięciu dniach dotarła do Sázavy czarno-biała widokówka z wnętrzem kościoła ST. MARIA GLORIOSA DEI FRARI w Wenecji.

Jeździmy tu autokarem,
same baby, prawie harem;
Na nogach tu też chodzimy
pod chmurami niebieskimi.
Gdy zmęczone kuśtykamy,
to gondolę przywołamy!

– widniało na niej, a i tym razem następował prozaiczny dopisek: *nadspodziewanie poprawiłam swój włoski i angielski!* *Wszystkich całuje, bo was miłuje – wasza Líba*, pisała babcia.

– To możliwe – komentował ojciec Kvida. – Za to wierszowanie jakoś jej już nie wychodzi. Że niby: „Chodzimy na nogach”! Widocznie od czasu do czasu chodzi także na rękach!

– Na poczcie znów odkleili znaczek! – wkurzył się Kvido.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedziała matka Kvida. – Nadspodziewanie poprawiła swój włoski i angielski. Ciekawa jestem, jak mamy to rozumieć.

Kiedy zbliżał się termin powrotu babci, napięcie w rodzinie cokolwiek wzrastało. Od lat bowiem coraz bardziej oszczędnej babci nawet te najtańsze pamiątki wydawały się zbyt drogie, toteż owe niezbędne drobne upominki dla najbliższych nierzadko zdobywała po swojemu, czyli zdumiewającym sposobem. Dzięki temu jej przyjazdy stawały się coraz to większymi faux pas. Rodzice Kvida z czasem nauczyli się przyjmować wszystkie te piękne wazony i obrusy z nazwami hoteli, w których babcia była zakwaterowana, z jakimś litościwym humorem, natomiast Kvido w podobnych sytuacjach bardzo cierpiał. Zazwyczaj – jak w przypadku powrotu babci z NRD, kiedy to otrzymał

nóż łowiecki z wygrawerowaną niezbyt trafną dedykacją Helgi P. Gunterowi K. – stać go było tylko na to, by jąkając się, podziękować. Potem zarumienił się i na kilka godzin zamknął się w swym pokoju.

– Ciekawe, co nam tym razem przywiezie? – rzucił ironicznie ojciec Kvida przy ostatniej kolacji podczas babcinej nieobecności. – Bardzo jestem ciekaw.

Kvido się zaśmiał.

Matka upomniała ich raczej mechanicznie, w rzeczywistości jednak cieszyła się, ponieważ w sarkastycznym śmiechu Kvida dopatrywała się gwarancji tego, że tym razem o wiele lepiej poradzi sobie z powrotem babci.

No i miała rację: nazajutrz, kiedy babcia otworzyła swą słynną szarą walizkę i z pełnym skruchy wyrazem niepoprawnie rozrzutnej kobiety obdarowała małego Paca roztopioną czekoladą, zaś jego brata martwym krabem, Kvidowi nawet nie drgnęła powieka.

– *Grazie* – rzekł poważnie. – Dokładnie taki był mi potrzebny.

No i mamy to z głowy, matka w duchu odetchnęła z ulgą. Lecz w tym wypadku, dla odmiany, myliła się: najgorsze dopiero ją czekało.

– Uwaga – rzekł Kvido do redaktora – to jest kluczowy moment. Zacząłem z dorosłymi zawierać pierwsze kompromisy – zamiast im solidnie *w y g a r n ą ć*.

– Pierwsze i bynajmniej nie ostatnie – rzekł redaktor znacząco. – A więc, proszę czytać.

No tak, tradycyjne kłopoty babci z powrotem do życia powszedniego tym razem przerodziły się w coś poważniejszego. Zaczęła – jak dziecko, które już zjadło swe cukierki, a teraz z zazdrością patrzy na innych, którzy jeszcze je mają – zazdrościć ojcu Kvida jego wyjazdu.

Wprawdzie w pierwszych dniach próbowała jeszcze kilka razy zażartować na temat londyńskiej mgły, lecz nikt się z tego nie śmiał i ona sama czuła, że to już nie to; zresztą nawet ewentualna mgła w Londynie jest mimo wszystko lepsza niż słońce w jakiejś tam Sázavie. Kiedy jednak nie od-

niosła sukcesu nawet z rzekomymi karaluchami we wszystkich hotelach na lewym brzegu Tamizy, obrazila się na dobre i zamknęła na swym poddaszu, które następnie opuszczała tylko w nocy, aby wykraść z lodówki jakieś artykuły spożywcze, kiedy bowiem matka Kvida wołała ją na obiad czy kolację, przekornie odmawiała.

– On sobie wyjeżdża, a ja nie! – dodawała płacząco.

– Mamo! – wołała z wyrzutem matka Kvida. – Zachowujesz się jak mała dziewczynka!

I było to zgodne z prawdą: babcia Liba powracała do swego dzieciństwa. Wszystko wskazywało na to, że właśnie przeżywa nawrót okresu pierwszej przekory.

– To nie jest sprawiedliwe! – od czasu do czasu dało się słyszeć z jej pokoju. – Nie, nie, i jeszcze raz nie!

Bez względu na to, czym pozostali członkowie rodziny byli zajęci, zawsze w takich chwilach zamierali i skonsternowani spoglądali na sufit. Sądząc z tego, że od czasu do czasu drżał, Kvido mógł iść o zakład, że babcia równocześnie wściekle tupie.

– Jezus Maria – szeptem mówił ojciec Kvida – ja chyba dla świętego spokoju nigdzie nie pojedę.

Kiedy babcia już trzeci dzień z kolei pozostawała w swym pokoju, matka Kvida zebrała się na odwagę i podjęła ostatnią desperacką próbę, aby „wszystko sobie rozsądnie wyjaśnić”. Przed obiadem zapaliła papierosa, zaparzyła kawę i zaniósła ją sobie do matki na poddasze. Ojciec Kvida, chcąc oszczędzić dzieciom ewentualnej kłótni, pod pretekstem krótkiego treningu futbolowego zabrał je do ogrodu, lecz jego troska w końcu i tak była nadaremna, bowiem przez otwarte okno pokoju babci wbrew swej woli słyszeli każde słowo:

– Nie, to nie jest sprawiedliwe, nie i jeszcze raz nie!

– Mamo! Przecież ty już tam byłaś!

– No to co z tego?! No to co, to co, co!

– Podaj! – zawołał ojciec Kvida na starszego syna.

– No to zamknij tego psa! – krzyczał Kvido. – Z powodu twojego futbolu nie dam sobie przegryźć nogi!

– Co ty wiesz na temat zawierania kontraktów?! Mamo, opamiętaj się!

- Podaj!
- Jak zamkniesz tego psa, do cholery!
- Ale ja wiem, do diabła, że władasz językami germańskimi!
- Piłkę, piłkę! – płakał Paco.
- Ja też pojedę! – krzyczała babcia.
- Podaj!!! – ryknął ojciec Kvida głosem najprawdziwszego wariata.
- Proszę cię, chodź tu – wychyliła się z okna zrezygnowana matka Kvida. – Chodź jej wytłumaczyć, że nie możesz jej zabrać ze sobą.
- Ze sobą? – zdziwił się ojciec, kiedy rozżłoszczony przybiegł na poddasze. – Słyszałem wprawdzie, że żony prezydentów czasami towarzyszą swym mężom w podróżach. Ale – podniósł głos – nie słyszałem jeszcze, aby prezydent, a cóż dopiero nic nieznaczący czeski urzędnik mógł, jadąc za granicę, zabrać ze sobą swą starą teściową!
- Nie klóćcie się! – wołał z ogrodu Kvido. – Nie mam ochoty wyrastać w takim środowisku!
- Słyszałaś, co on mówił? – jęczała babcia. – Więc dobrze: ta stara teściowa nie pozostanie tu już ani minuty dłużej!
- Ojciec Kvida nie był już w stanie się opanować:
- Mama nie powinna wzbudzać w ludziach płonnych nadziei!
- Wyjeżdżam! Nie będę żyć pod jednym dachem z takim samolubem!
- Więc mama spokojnie sobie wyjedzie? – krzyczał ojciec. – Najpierw mama hoduje w nas głębokie przyzwyczajenie do placków z dyni, a potem sobie spokojnie wyjedzie? To podłe! Przypuszczam, że przepisu też nam mama nie zostawi?
- Mamo! – płakał Paco, którego w ogrodzie powaliła Uroczka.
- Wyjeżdżam! W tej chwili wyjeżdżam!
- Z pewnością nie muszę mamie mówić, jak bardzo nam będzie mamy brakowało – rzekł ojciec i spojrzał na cały zestaw babci grzejników, do którego oprócz centralnego ogrzewania, elektrycznego piecyka i dmuchawy tej zimy przybyła jeszcze elektryczna ocieplająca narzuta oraz elek-

tryczny futrzany worek na nogi. – Nie mówiąc już o tym, jak bardzo nieobecnością mamy będzie dotknięta nasza elektrownia. Czy mama uświadamia sobie, że z jej powodu ludzie najprawdopodobniej stracą pracę?

– Taki cham! – wołała nienawistnie babcia. – Taki nędzny cham!

Ojciec Kvida odparł pokusę ściśnięcia na kilka minut jej opalonego karku.

– Mamo! – wrzeszczał histerycznie Paco.

– Niech mama idzie jeść! – powiedziała błagalnie matka Kvida. – Już idę, koteczku! – zawołała.

– Pójdę do niego – rzekł ojciec Kvida. Pokręcił głową, westchnął i uśmiechnął się.

Matka Kvida dogoniła go na schodach.

– Ona nie jest zła – powiedziała. – Po prostu jest już stara.

W jej głosie zabrzmiało coś, co skłoniło ojca Kvida do spojrzenia w górę: jego żona miała łzy w oczach.

– Gdybym tylko mogła, zafundowałabym jej nawet podróż dookoła świata! – powiedziała.

2

Podobnie jak wielu przed nim i po nim, ojciec Kvida był zaszokowany Zachodem.

– Nieco przypominał matkę ze *Skarbu Erbena* – rzekł później Kvido do Pavla Kohouta. Chociaż to żartobliwe porównanie odniosło sukces, w rzeczywistości nie było zbyt trafne: jego ojciec był oczywiście oszołomiony barwnością i czystością ulic, okazałością starej i nowoczesnej architektury, bogactwem wystaw i wieloma innymi zjawiskami – jednak ani na chwilę nie uległ oczarowaniu, tak jak to było w przypadku wspomnianej nieszczęsnicy Erbena. Poza tym to porównanie nie wyrażało tego, co ojca Kvida na Zachodzie fascynowało absolutnie najbardziej: mianowicie owego wcale nie przesadnego, ale wszechobecnego i jakby oczywistego respektu wobec jego wykształcenia, pracy i wiedzy.

Odczuwał go w trakcie wszystkich obrad, którym przewodniczył, choć o wiele bardziej uświadamiał go sobie, kie-

dy przysłano po niego samochód firmowy i kiedy w jego pokoju hotelowym kazano zainstalować telefon, również kiedy został zaproszony na zwiedzanie Londynu i na kolację, mimo że kontrakt został już wstępnie zawarty. W końcu spytano go, czy ma może jakieś specjalne życzenie.

– Tak – odpowiedział ojciec Kvida po angielsku. – Proszę jeszcze raz tak samo zadać to pytanie.

Drzwi niejednokrotnie otwierały się przed nim automatycznie. O ile nie były do tego przystosowane, czasami ktoś je otwierał: portier, windziarz lub inny pracownik w tym celu zatrudniony. Aparaty telefoniczne działały. Kiedy pewnego popołudnia jego angielski kolega podniósł rękę na Kensington Road, taksówka od razu podjechała. Policjanci uśmiechali się. Kierowcy luksusowych samochodów dawali mu pierwszeństwo na przejściach dla pieszych. W toaletach pachniało. Z pióra, którego na poczcie nikt nie ukradł, nie wyciekał atrament. Ludzie z uśmiechem na twarzy proponowali mu czasopisma, bilety na wyścigi konne, wstąpienie do kościoła i do armii, pięciokolorowe lody, domy na sprzedaż, masaże, buty i podróż na Filipiny. Życzliwie nastawione kobiety w Soho proponowały mu swą miłość. Sprzęty, na których stał, siedział, pisał i leżał, lśniły czystością i nie chwiały się (tym bardziej nie były pobrudzone przez papużki). Kupiony szampon nie wylał mu się do teczki. Kiedy dwukrotnie umył nim włosy, pozbył się łupieżu, który sypał mu się z głowy przez całe trzydzieści lat. Po raz pierwszy w życiu mógł bez skrępowania pójść do fryzjera, a ten po raz pierwszy w życiu ostrzygł go tak, że fryzura pasowała do kształtu jego twarzy. Od razu zdało mu się, że jest przystojniejszy.

Zdało mu się, że odnosi większe sukcesy.

Sprzedawca w sklepie z artykułami dla psów, którego spytał o obrozę przeciwko pchłom i kleszczom, nie wyśmiał go; zaoferował od razu cztery rodzaje. Dania w restauracjach nie były ani wysuszone, ani zimne. Kelnerzy byli niezmiernie uczynni.

– Bez jarzyn! – prosił ojciec.

Jego pokorna służalczość wobec kelnerów, dzięki której w ojczyźnie potrafił skonsumować ciastko ze skwaśniąłą bi-

tą śmietaną i robić do tego wdzięczną minę, zniknęła bezpowrotnie. Zachowywał się bardziej energicznie i z większą pewnością siebie. Kiedy zebrakowi na Park Lane rzucił pięć pensów, zapominał, że podczas meczu z ZS Błokozy zasiadł na ławce rezerwowych już po ośmiu minutach.

Jednakże owo zadowolenie, które odczuwał, kiedy tra-garz hotelowy odnosił mu bagaże albo kiedy po raz pierwszy stanął przed gmachem parlamentu, to nie była próżność: była to radość pacjenta ze skutecznie gojącej się rany.

– Podobnie jak babcia wędrowała na wschód, chcąc poczuć się młodziej, mój ojciec, aby mógł czuć się jak człowiek, musiał jeździć na Zachód – rzekł Kvido do redaktora. – Nieźle to sobie podzielili.

Ze względu na to, że samolot British Airways przylatywał późnym wieczorem, ustalono, że lepiej będzie, jeśli rodzina poczeka na ojca w domu, w Sázavie, toteż na lotnisku w Pradze-Ruzyni czekał tylko kierowca zakładowego samochodu.

Kiedy mniej więcej godzinę później wysadził ojca Kvida przy murku z czerwonego piaskowca, było już prawie ciemno. Ojciec Kvida cicho otworzył bramę, nie chcąc przedwcześnie zwrócić na siebie uwagi, przemknął pogrążonym w ciemnościach ogrodem, wspiał się na mocną kratę piwnicznego okienka i trzymając się parapetu kuchennego okna, podciągnął się na rękach; lekko przy tym trącił czołem poczerniały sznurek, na którym jego żona przywiązywała zimą łój dla sikorek. Pierwsze, co zobaczył, to była jakaś arabska staruszka z twarzą aż po oczy przesłoniętą czarną chustką, która rozwiązywała krzyżówkę. W kolejnym ułamku sekundy uświadomił sobie, że to jego teściowa. W kuchni poza nią nie było nikogo.

– Well – zaśmiał się cicho ojciec Kvida. – Let's go.

Kiedy tylko otworzył drzwi do przedpokoju, natychmiast wyleciała Urocza, aby się z nim przywitać. Podskakiwała, skamlała i oblizywała mu twarz. Ojciec Kvida był tym mile zaskoczony. Kilkakrotnie po przyjacielsku poklepał Uroczą i pogłaskał ją, a potem surowo spojrzął jej prosto w oczy.

– Down! – rozkazał próbnie.

Uroczą posłusznie przywarła do podłogi, głowę położyła między przednimi łapami, zaś ogonem radośnie zamiatła kafelki.

A jednak – pomyślał ojciec i wspaniałomyślnie wypuścił ją do ogrodu. Klamka w drzwiach do pokoju gościnnego poruszyła się i drzwi uchyliły niepewnie. Ojciec Kvida z uśmiechem zapatrzył się w powstającą szczelinę, w której dolnej części po chwili pojawił się mały Paco.

– A kuku! – powiedział do niego.

– Tata! – krzyknął Paco.

Ojciec schylił się i rozpostarł ramiona. Chłopiec wpadł w jego objęcia. Z głębi pokoju gościnnego słychać było szybkie kroki.

– Cześć ojcze – rzekł Kvido zachrypniętym głosem. Ze zdziwieniem spojrział na ojca: – Wyglądasz jak Josef Abrhám.

– Cześć – powiedziała matka Kvida nieco zaskoczona. – Gdzie jest pies?

– Hallo, boys. Hallo everybody. – Ojciec Kvida śmiał się szeroko. – Pies jest w ogrodzie. Niczego wam, chłopcy nie przywiozłem, I'm sorry. Po prostu nie miałem serca zabić tego kraba, nie umiecie sobie wyobrazić, z jakim wyrzutem na mnie patrzył. Dobry wieczór! – głośno zawołał do babci. – Witam mamę.

Nie doczekał się odpowiedzi. Postawił Paca na podłodze i przytulił żonę. Pocałowała go.

– Cześć – przywitała się. – Do twarzy ci w tym.

– Czy ta islamska separatystka wciąż stroi fochy? – szepetem spytał ojciec.

– Nie przejmuj się nią. – Matka zamknęła drzwi do kuchni. – Nie zamierza wdychać niebezpiecznych wyziewów z tego bezbarwnego lakieru, którym pomalowałaś boazerię – tłumaczyła z udawaną powagą. Ponownie spojrzała na męża. Nowe, jasne mokasyny, które przed wyjazdem kupił w Pradze, miały niezdeptane obcasy, co powodowało, że ojciec stał niezwykle prosto. Chociaż znała jego marynarkę, wydawało jej się, że dziś jakoś lepiej na nim leży.

– Przecież to było przed dwoma laty! Więc co to za bzdury? – ojciec nie ukrywał zdumienia.

Wzruszyła ramionami. W jej oczach błyszcząły wesołe iskierki i mimo pierwszych zmarszczek, które teraz, po trzydziestce zaczynały się pojawiać wokół oczu i na czole, wciąż wyglądała trochę jak dziewczynka.

– No tak – powiedziała. – Ale ona zna człowieka, który również pomalował boazerię bezbarwnym lakierem. A kiedy go potem otworzyli, miał w brzuchu nowotwór wielkości orzecha kokosowego.

– Kiedy mnie otworzą, będę tam miał nowotwór wielkości placka z dyni!

– Przestań! – powiedziała matka pozornie zgorszona. – Masz nowy zegarek! – zauważyła.

– Pokaż! Pokaż! – wołał Paco.

– To prezent od firmy – ojciec wytłumaczył żonie. – Potem ci pokażę, jak świeci.

Opuścił rękę, aby synowie mogli go sobie obejrzeć. Paco zasłonił go swą małą dłońią.

– Nie świeci! – krzyczał rozczarowany.

Ojciec Kvida spojrzał na żonę i uśmiechnął się tajemniczo:

– Świeci tylko pod kołdrą.

– Rany boskie! – zawołała matka. – Od kiedy to niby robisz erotyczne aluzje? Uwiodłeś może stewardesę?

– Zostawcie to sobie na później, dobrze? – zażądał Kvido znudzony. – Jeżeli uszło to waszej uwagi, to przypominam, że tu jest dziecko.

– Never mind, boy! O tych sprawach należy rozmawiać absolutnie otwarcie!

– Ale nie w mojej obecności! – prosiła matka Kvida. – Nie byłeś w Soho? Widzę, że nabrałeś pewności siebie. Pamiętaj, że to pierwszy krok do wypadku samochodowego!

– Take it easy! – śmiał się ojciec. – Nie siądziemy do stołu? Jestem głodny jak wilk. Ostatni raz jadłem chyba gdzieś nad Kanałem. Oczywiście mam na myśli kanał La Manche – wyprzedził pytanie Paca. – Kvido pokaże ci to na mapie. Co będzie na kolację?

– Zupa z czarnej rzepy i omlety z rzeżuchą – bojaźliwie odpowiedziała matka.

– Czy to ma być żart?

– Niestety nie.

- Czy wy chcecie mnie zmusić do emigracji?
- Nie – śmiała się matka. – To oczywiście był żart. Zrobiłam ci sznycle i sałatkę.
- Ani przez chwilę w ciebie nie wątpiłem – rzekł spokojnie ojciec Kvida. – Ale co będziemy robić z tym suszonym mięsem, które w samolocie, na wszelki wypadek, kupiłem od Lapończyków?
- Zostanie dla psa – powiedziała wesoło. – Chodźcie jeść. Z niebывałym wprost oddaniem przytuliła się do męża.
- Bardzo się cieszę, że jesteś już w domu – dodała. – Potwornie bałam się tej suki.

3

Ojciec Kvida po powrocie z Londynu rzeczywiście trochę się zmienił. Kvido i jego matka nie byli jedynymi, którzy to zauważyli. Nawet w pracy niektórzy koledzy, którzy wcześniej mieli okazję bliżej go poznać, odnosili wrażenie, że jest teraz jakiś energiczniejszy i bardziej zdecydowany. Robił wrażenie bardziej wymownego, a z wieloma osobami nawet żartował. Także jego tradycyjne wystąpienia na naradach były teraz o wiele bardziej krytyczne, bardziej ironiczne, a zarazem bardziej merytoryczne. Najczęściej jednak nie odnosił sukcesu i w dalszym ciągu po takich porażkach zamykał się w jakimś przekornym milczeniu, teraz jednak nie miało to już takiego charakteru klęski. Raz czy dwa razy ze zdziwieniem zauważono, że potrafi też krzyknąć. Jego głos, jego sposób chodzenia i gestykulacja nabrały pewnego, trudnego do zdefiniowania opanowania.

- Take it easy! – często powtarzał z uśmiechem.

Do pewnych drobnych zmian, rzecz jasna, doszło również w domu. Branża handlowa, skrępowana całą masą przepisów, nie dostarczała ojcu Kvida, tryskającemu nowym zapalem, odpowiednio szerokiego pola do popisu, toteż starał się niektóre pomysły, a ściślej ich niewielki przydatny ułamek, urzeczywistnić w kręgu własnej rodziny.

- Czyżby tu obowiązywały inne prawa? – pytał. – Czym niby jest dobra rodzina, jeśli nie dobrze funkcjonują-

cym zespołem roboczym? Czyż dobra rodzina nie jest przede wszystkim dobrą paczką zgranych profesjonalistów?

– Przestał być ojcem – stwierdził Kvido. – Stał się rodzinnym menedżerem.

Pewnego dnia ojciec Kvida przyniósł do domu duży kalendarz na biurko firmy IBM; na każdej stronie było siedem kolumn, odpowiadających poszczególnym dniom tygodnia; w każdej zaś kolumnie po cztery prostokątne okienka, różniące się stopniem nasycenia zieleni – i właśnie liczba tych okienek podsunęła ojcu Kvida pewien pomysł. W niedzielę wieczorem nad okienkami poniedziałkowymi umieścił imiona członków rodziny (naturalnie bez babci Líby) i wpisał w nie aktualne zadania: posprzątać zabawki i podlać kwiaty (Paco), pozmywać naczynia, wyrzucić śmieci i rozwiązać kilkanaście przykładów ze zbioru zadań matematycznych (Kvido) oraz powyrywać chwasty ze skalniaka pod werandą (matka). Sobie zlecił zadanie zjedzenia kolacji z grupą Belgów, przybyłych do huty szkła z wizytą handlową, podając także numer telefonu, pod którym można go zastać w nagłych wypadkach.

– Może wygląda to pedantycznie, ale z czasem z pewnością przekonacie się, że to bardzo pożyteczna pomoc – przekonywał zaraz wtorkowego ranka swą żonę, mozolnie wycierając gumką jej późniejszy dopisek „pozbawić życia Uroczą (ojciec)” – więc, z łaski swojej, nie strójdzie sobie z tego żartów.

– Zajeżdża od ciebie jakąś belgijską gorzałką – odpowiedziała mu żona. – Chyba że to są belgijskie perfumy.

– Nie – odparł ojciec Kvida. – To zwyczajna ruska wódka.

– No tak – powiedziała matka Kvida. – Teraz rozumiem. To wszystko tłumaczy. Przez całą noc nie mogłam dojść istoty rzeczy.

– Jakiej rzeczy?

– Dlaczego nocą zachowywałeś się wobec mnie jak Aleksander Wasiljewicz Suworow.

– Niemożliwe! – dziwił się ojciec Kvida. – Naprawdę? W takim razie bardzo cię przepraszam. Wybacz. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy. Wyobraź sobie, że ci Belgowie piją jak Duńczycy!

– Nieźle porównanie – powiedziała matka Kvida.

Kolejną innowacją była gazetka ścienna, zawieszona w przedpokoju. Ojciec umieścił na niej wszelkie informacje, które z rodzinnego punktu widzenia uważał za niezbędne: numery telefonów pogotowia ratunkowego, straży pożarnej i milicji, telefon do szkoły i do przedszkola, godziny przyjęć lekarza w ośrodku zdrowia, godziny otwarcia sklepów i punktów usługowych, plan lekcji Kvida oraz rozkład jazdy pociągów i autobusów na trasie Praga – Sázava i z powrotem. Następnie dodał bardzo ważny dział Finanse, gdzie, na wszelki wypadek od razu przypinał szpilkami niezapłacone rachunki i czeki, dalej rubrykę Zgubiono – Znaleziono oraz dział Różne, gdzie na razie wisiał tylko wykaz rodzinnych urodzin i imienin, no i wreszcie dział Zadania Długoterminowe, gdzie – w przeciwieństwie do kalendarza IBM – zapisywał zadania o poważniejszym charakterze: opanowanie *Języka angielskiego dla szkół językowych I* (Kvido), przygotowanie do egzaminu adwokackiego (matka) czy też pokrycie sufitu w kuchni drewnianą boazerią (ojciec).

Rzecz jasna, także ta innowacja prowokowała matkę i Kvida do najróżniejszych parodii. Poszerzyli wyżej wymienione dane o pory otwarcia placu ćwiczeń dla psów, do rozkładu jazdy dołączyli plan lotów Czechosłowackich Linii Lotniczych, zaś do spisu zadań długoterminowych dopisali: oduczyć się grać w piłkę nożną (ojciec).

Innym razem, przeczytawszy jakiś artykuł, matka Kvida dodała do tej samej kolumny jeszcze jeden obowiązek: nadal uczestniczyć w pomyślnej normalizacji (wszyscy).

– Czy to aluzja pod moim adresem? – spytał ojciec Kvida. Jako autor gazetki zaczął zbyt osobiście traktować wszystkie te drobne sabotáže.

– Pod naszym – wyjaśniła matka Kvida. – Nie umiesz czytać? Napisano tam przecież „wszyscy”.

– Pytam, gdyż ja nie biorę udziału w żadnej normalizacji – ciągnął ojciec zaczepnie.

Matka Kvida westchnęła:

– Nie?

– Nie. Mam czyste ręce. Nigdy w życiu nie zrobiłem ani jednej lewizny!

Matka Kvida zasępiła się. Żałowała już, że uległa przelotnej pokusie dopisania owych słów; był to wyraz jej chwilowej depresji, będącej konsekwencją życia w tym kraju, i w żaden sposób nie chciała pogłębiać tego stanu jakąś dłuższą debatą – zbyt dobrze знаła uczucia, jakich doznaje człowiek przy końcu takich dyskusji. Tylko że pozorna pewność ojca Kvida zbyt ją drażniła.

– I nigdy w życiu żadnej nie przeciwdziałalem. Nie podjąłem nawet najmniejszej próby – powiedziała.

– O czymś takim nic mi nie wiadomo!

– A więc właściwie nie ma sprawy – powiedziała matka Kvida powoli. – Skoro nic ci o tym nie wiadomo. Wszystko jest w porządku. Nikomu nic złego się nie dzieje. Ojca nie wyrzucili. Prawnicy nie pracują jako ogrodnicy. Pani ordynator nie pracuje w kinie jako bileterka. Historia normalnie toczy się dalej. Rolnicy normalnie zbierają plony, koła w fabrykach się kręcą, a przez tak zwaną żelazną kurtynę spokojnie latają nasi uzdolnieni inżynierowie, by za pośrednictwem świetnych kontraktów zapewnić nam świetlaną przyszłość.

– Przestań mnie wkurzać! Naturalnie miałem na myśli to, że nie jestem świadom niczego, czemu mógłbym przeciwdziałać, a czemu się nie przeciwstawiłem. Jeśli natomiast chodzi o rozważania na temat, czy nasza historia stanęła w miejscu, czy nie, to pozostawiam je twoim praskim intelektualistom. Boję się, że moje poglądy mogłyby być zniekształcone przez okoliczność, że idąc do pracy, przechodzę przez zegar kontrolny, a ten, niestety, się nie zatrzymuje!

– Dajmy temu spokój – domagała się matka.

– Czego ty właściwie ode mnie chcesz? Powiedz mi, co konkretnie mogłem czy też mogę zrobić?! Pisać po ścianach? Sfotografować ministerstwo spraw wewnętrznych? Napisać do ONZ? Czy może mam pojechać do Milovic i zastrzelić z łuku ich oficera? Jeżeli kogoś nie znoszę, to abstrakcyjnych moralistów!

– Dajmy temu spokój! – krzyczała matka Kvida. – Okłamujesz samego siebie!

– Do ciężkiej cholery! – wrzasnął ojciec Kvida. – Może jeszcze z ich powodu będziemy się kłócić!

Pod koniec roku długoletni kierownik działu handlowego z powodów zdrowotnych przeszedł na emeryturę; z dniem pierwszego stycznia na jego miejsce mianowano inżyniera Zvářę, zaś ojciec Kvida został jego zastępcą.

– My dwaj pokażemy tym wieśniakom! – pokrzykiwał Zvářa, kiedy wspólnie to oblewali.

W kwietniu tego samego roku wysłano ich do huty szkła w jugosłowiańskiej Puli. Kiedy ojciec Kvida po raz pierwszy usłyszał, że do Puli nie polecą, lecz pojedą służbowym samochodem, za którego kierownicą będą się zmieniać, poczuł się zakłopotany, choć tego nie okazywał.

– Pojedziemy autostradami? – dopytywał się.

– A masz jakiś inny pomysł? – zdziwił się Zvářa. – Co za głupie pytanie.

– Drogami lokalnymi byłoby bardziej romantycznie – próbował go przekonać ojciec Kvida.

– Opanuj się! – upomniał go Zvářa.

W końcu ojciec Kvida niezawodnie pokonał zarówno jazdę autostradą, jak również górskimi drogami w Alpach, gdzie już metr za barierką zionęła skalista przepaść. Wprawdzie dwukrotnie zatrzymywali się niezgodnie z planem, ale kiedy zaczął zapadać zmierzch, ojciec Kvida nie bez obaw przypomniał sobie o swej domniemanej kurzej ślepotce.

– Uprzedzam cię, że w ciemnościach nie widzę! – ostrzegł Zvářę, kiedy przejmował od niego kierownicę na ostatnie sto kilometrów.

– Ja też, to normalne – odrzekł Zvářa. – Musisz włączyć światła.

Ściszył radio i niebawem zasnął.

Kiedy po niespełna dwóch godzinach ojciec Kvida go obudził, stali na skraju jakiegoś szerokiego betonowego mola, a pod nimi szumiało morze.

– Jesteśmy w Puli! – krzyczał ojciec Kvida, potrząsając kolegą. – Jesteśmy w Puli!

– A gdzie niby mielibyśmy być? – stwierdził ospale Zvářa i, mrużąc oczy, rozglądał się wokół; po prawej stronie w blasku latarni stojących wzdłuż przybrzeżnej autostrady kołysało się na morzu kilkadziesiąt łodzi motorowych i jachtów.

– Gdzieżeś to zajechał? Czy tu, durniu, wolno w ogóle stać?

– Wiesz, ile kilometrów zrobiłem w ten tydzień? Tysiąc sto! – chwalił się ojciec Kvidowi. – To już coś, no nie?

– To już coś, no nie? – mawiał także, kiedy podniesiono mu pensję.

– To już coś, no nie? – mawiał, kiedy będąc już w domu, opisywał wyposażenie pokoju hotelowego.

– Rozumie pan – rzekł później Kvido do redaktora – upewniał się w ten sposób, że ze świata zanieczyszczonego przez papużki n a p r a w d ę przedostał się do świata, który był już coś wart. Gdzie po człowieka wysyła się samochód i gdzie w samolocie można jeść befsztyki. Krótko mówiąc, upewniał się o nieodwołalności swej transformacji.

W tym momencie można było praktycznie wykluczyć to, że któraś z ironicznych uwag, dopisanych przez Kvida czy jego matkę do działu zadań długoterminowych, mogłaby ojca choćby minimalnie urazić. Uśmiechając się wspaniałomyślnie, pomijał je milczeniem.

Sukces drugiej podróży służbowej oznaczał dla niego tyle samo, co dla początkującego pisarza oznacza sukces drugiej książki – czyli potwierdzenie samego siebie. Buchał dowcipem i tryskał entuzjazmem. Życie było długim zadaniem matematycznym, które, jak stwierdził ojciec, da się rozwiązać w sposób bardzo elegancki. We wszystkim, czego dotyczył, odnosił sukcesy. Nie czytał żadnych instrukcji obsługi, a cóż dopiero jakichś podręczników. Wierzył samemu sobie oraz swojej intuicji.

– Człowiek ryzykuje niewiele więcej, niż że sobie wy-
czyści zęby kremem do golenia – mawiał.

Teraz było już nie do pomyślenia, żeby podczas wjeżdżania do garażu wysiadł z samochodu, by za pomocą składanego metra sprawdzić, ile centymetrów wolnego miejsca pozostaje mu z każdej strony. Większość problemów rozwiązywał przez telefon. Mniej prosił, a więcej żądał. I to działało.

– Take it easy! – powtarzał nieustannie.

Potrafił być twardy i nieustępliwy. Przestał obserwować samego siebie, przestał mierzyć sobie tętno i smarować namiętnie framykoinem. Matka Kvida po raz pierwszy dozna-

ła orgazmu. Ojciec po raz pierwszy zrozumiał, że książki, które czytała, były niejednokrotnie oparte na oszustwie, zatem udowadniał ich autorom nieprzejrzystość, sentymentalizm i absolutne oderwanie od rzeczywistości.

– To głupota – mawiał teraz bez zbędnego respektu.

Również na boisku piłkarskim osiągnął kilka sukcesów. Wprawdzie w dalszym ciągu brakowało mu kondycji i techniki, zyskał natomiast coś, co było nie mniej istotne: dystans. Na jego twarzy na stałe osiadł sympatyczny, ironiczny uśmiezek, który każde jego niedociągnięcie, jak również całą piłkę nożną z góry sprowadzał do właściwych rozmiarów.

– Ktoś, kto mył ręce w fontannie na Piccadilly Circus i opierał się plecami o Westminster Abbey, nie będzie się przejmować meczem przeciwko B-drużynie Slavoja Čerčany – opowiadał Kvido.

4

Olśniewające sukcesy ojca Kvida domagały się stałych wielbicieli. Lecz tu był problem: bowiem ani Kvido, ani jego matka nie chcieli już wysłuchiwać opowiadań ojca, Paco był zbyt mały, babcia Líba z wiadomych powodów w ogóle nie wchodziła w grę, a nawet dziadek Jiří, który od czasu do czasu odwiedzał rodzinę, a którego uznania ojciec Kvida niezwykle chętnie by dostąpił, zbyt było już zmęczony życiem, by móc stać się odpowiednim słuchaczem historyjek z Zachodu. Pozostawał natomiast dziadek Josef, którego bezkrytyczny podziw wobec tej części świata był powszechnie znany, no i babcia Věra.

Najczęściej przyjeżdżali do Sázavy na jedną sobotę w miesiącu, bezpośrednim pociągiem odchodzącym z dworca wrszowickiego. Dziadkowi w pociągu nie wolno było czytać gazet, żeby się niepotrzebnie nie denerwował, lecz ze względu na to, że nie mógł też palić, i tak spokojny nie był i na wszystko, co mówiła do niego babcia, reagował z dużym rozdrażnieniem.

– Słyszycie ją? Słyszycie ją??! – domagał się reakcji przerażonych towarzyszy podróży, miażdżąc w ustach cybuch

niezapalanej fajki, tak jak epileptyk miażdży swą drewnianą szpatułkę.

– Przestań! – krzyczała babcia nieszczęśliwie.

Prędzej czy później wygłaszała jednak tę czy inną fatalną uwagę, która ostatecznie i nieodwołalnie podnosiła dziadka z zielonego skóropodobnego siedzenia i pędziła przez tuneliki łączące wagony jak najdalej od niej, jak prawdziwego wygnańca. Jego chwiejny pęd przez plecaki zgorszonych obywateli był w stanie zatrzymać tylko samiotki koniec zespołu trakcyjnego, gdzie – ze wzrokiem dziko utkwionym w zderzaki lokomotywy albo, w przeciwnym wypadku, w uciekające podkłady kolejowe – gwałtownie oddychał, odganiając od siebie „powiew skrzydeł szaleństwa”, tak jak się odgania natrętną muchę.

Zdarzało się więc często, że przyjechawszy na dworzec w Sázavie, każde z nich wysiadało z innego wagonu. To oczywiście wprowadzało w błąd Urocza, która w towarzystwie ojca Kvida przychodziła ich przywitać, a która następnie swą kolczastą obrozą targała to w tę, to w drugą stronę i pełna niezdecydowania wyla.

– Tato – mawiał z wyrzutem ojciec Kvida – cóż wy znowu, na Boga, wyprawiacie?

Kvido, który ich przyjazd, a raczej jego część, wolał oglądać zza firanki swego okna, dostrzegał potem na zakręcie drogi najpierw dziadka, który z wściekłością maszerował gniewnie pochylony, wypowiadając przy tym niezrozumiałe przekleństwa; dopiero jakieś trzydzieści metrów za nim szła babcia, ojciec i Urocza. Ojciec niósł babci torbę i uśmiechał się jak uprzejmy, dobrze wychowany syn.

– Już idą – mówił Kvido, co było dla matki niebezpośrednim poleceniem, że powinna zgasić papierosa.

– Dobra! – powiedziała zdecydowanie.

Dziadek był już wówczas na emeryturze i pracował jako portier w jednym z dużych praskich przedsiębiorstw handlu zagranicznego. Sporą część swego dnia pracy spędzał na porównywaniu pensji i stanowisk tamtejszych komunistów ze stanowiskami i pensjami bezpartyjnych.

– Wynik tego porównania – jak się zdawało – wciąż bardzo niemile zaskakiwał dziadka, chociaż informacje, jakie

przynosił, w latach siedemdziesiątych nie należały już do zbyt odkrywczych – opowiadał Kvido.

Nie przeszkadzało to jednak dziadkowi, aby nieprawości popełniane na bezpartyjnych wywlekać z odpowiednim rozgoryczeniem tak często, jak tylko zechciał.

– Kiedy to już wreszcie runie, wszystkich ich powiesimy! – oświadczał zawzięcie podczas obiadu.

– Kogo? – dopytywał się Paco, który jako jedyny nie znał jeszcze właściwej odpowiedzi.

– Jedz – powiedziała matka Kvida. – Dziadek żartuje.

– Słyszycie go? – wołała babcia. – Słyszycie go?

– Nie denerwuj się, tato – uspokajał go z uśmiechem ojciec Kvida. – Coś ci pokażę! – dodał tajemniczo, był bowiem przyzwyczajony, iż swe dzieci uspokajał w ten sposób, że kierował ich uwagę na coś innego, i z górnej kieszonki koszuli wyjął srebrny długopis z elektronicznym zegarkiem.

Sztuczka mu się udała. Dziadek, którego jeszcze przed chwilą widok plastikowych sztuczków z czerwono-niebieskim napisem British Airways mógł doprowadzić do stanu niemal religijnej ekstazy, oderwał fajkę od ust:

– Angielski?

– Włoski – rzucił niedbale ojciec.

– No – dziadek wyraził swe uznanie. – Nie powiem, to już coś.

Odłożył fajkę na stół i ostrożnie, aby go jakimś nieostrożnym ruchem nie uszkodzić, wziął długopis w poźółkłe palce i powoli go oglądał. Ojciec Kvida spojrzał na twarze współbiesiadników: zdawało się jednak, że są całkowicie pochłonięci mieszaniem kawy i dlatego nie zauważyli jego sukcesu pedagogicznego.

– Piękna rzecz! – rzekł dziadek autorytatywnie. – Nie ma co, to naprawdę piękna rzecz!

– Eeee, to tylko takie głupstwo – rzucił ojciec zadowolony.

– Mówisz, głupstwo? – spytał dziadek i podniósł głos. – Mówisz, głupstwo? W takim razie powiedz mi, dlaczego te komunistyczne skurwysyny nie sprowadzą tutaj takiego pięknego głupstwa!

Na początku września z huty szkła w Puli przyleciała do Sázavy trzyosobowa delegacja – dwóch mężczyzn i jedna młoda kobieta – aby kontynuować rozmowy, których pierwszą fazę pomyślnie rozpoczęto na wiosnę.

Ojciec Kvida znał naturalnie wszystkich troje ekonomistów i skoro już nie mógł zapewnić im warunków porównywalnych z pobytem w Puli, starał się usilnie, aby te warunki były przynajmniej dobre. Osobiście obejrzał oba pokoje, które przygotowano dla gości w przykładowym domu noclegowym, i rozpaczał nad ich opłakanym stanem.

– Przede wszystkim ten pokój jednoosobowy jest absolutnie koszmarny – relacjonował następnie swej żonie. – Ta szafa i ten dywan! Szkoda, że tego nie widziałaś, po prostu straszne!

– A karaluchy? – powiedziała z uśmiechem matka Kvida, która zaczynała się już domyślać, do czego mąż zmierza tymi wszystkimi pytaniami. – Nie ma tam karaluchów?

– Karaluchy? – ojciec Kvida zawahał się przez chwilę, czy mógłby wspomnieć też o karaluchach. – Trudno powiedzieć. Ale jedna ściana jest całkowicie spleśniała.

– Pleśń! Oczywiście. A pluskwy? Jak wypada ten jeden o s o b o w y pokój jeśli chodzi o pluskwy?

Ojciec Kvida zrozumiał, że został zdemaskowany.

– Bądźmy poważni – rzekł. – To by była międzynarodowa kompromitacja, gdyby ta biedaczka Mirjana musiała tam mieszkać.

Następnie, odwołując się do tradycyjnej słowiańskiej gościnności, wobec której czuł się zobowiązany, wypowiedział owo oczekiwane pytanie, czy aby nie powinni na te kilka dni zaproponować młodej pani inżynier przytulnie urządzonego poddasza babci.

– A babcia co? – dopytywała się matka. – Chociaż, już wiem, może przecież iść do dzieci.

– Ona sama przecież wielokrotnie mieszkała prywatnie – argumentował ojciec – kiedy była za granicą... Jestem przekonany, że zrozumie naszą sytuację.

– Dzisiaj jest to pokój dziecięcy – oświadczyła babcia, dowiedziawszy się o przygotowywanej zmianie – a już jutro będzie to obóz koncentracyjny dla przestarzałych!

Obrażona zgodziła się na przemieszczenie i Mirjana mogła się wprowadzić.

Zaraz pierwszego wieczoru ugotowała dla całej rodziny (naturalnie z wyjątkiem babci, która w ogóle nie opuszczała pokoju dziecięcego) jakieś danie narodowe, coś na kształt naszego leczo. Smak był trochę niezwykły i mały Paco od razu wymiotował całą kolację, lecz ojciec Kvida, na przekór swemu chłodnemu stosunkowi do jarzyn, dołożył sobie po raz kolejny i szczegółowo wypytywał Mirjanę o przepis. Rozmawiali po angielsku, co Kvidowi i jego matce, którzy niewiele mogli zrozumieć, przypomniało owe czasy, kiedy to ojciec często rozmawiał z babcią na temat geografii Wysp Brytyjskich.

Po kolacji początkowo rozmawiano o pracy.

– Mirjana mówi, że w handlu zagranicznym przede wszystkim pociąga ją możliwość nieustannego poznawania interesujących ludzi – tłumaczył żonie ojciec.

– No tak – powiedziała matka Kvida, uśmiechając się ładnie do Mirjany.

– I co dalej? Co jej na to odpowiesz? – ojciec uśmiechał się nerwowo. – Muszę jej coś przetłumaczyć.

– Nie mówię na to nic.

– Jak to nic?

– Po prostu nic. Nothing.

Mirjana odstłoniła śnieżnobiałe zęby i pytająco uniosła brwi.

Ojciec Kvida zaklął w duchu i powiedział coś po angielsku. Kvidowi zdawało się, że dosłyszał wyraz interesting.

– Plecie głupstwa – bąknął w kierunku matki.

– Dziwiłabym się raczej, gdyby było na odwrót – powiedziała matka.

– Mirjana chciałaby, abyś powiedziała jej coś o sobie – rzekł ponownie ojciec. – Odniosła wrażenie, że masz w sobie jakąś zadziwiającą mądrość i zrównoważenie.

– Powiedz jej, że to starość i otępienie.

Ojciec przeszył ją wzrokiem.

– I co dalej? Czym się zajmujesz, co robiłaś w przeszłości... Po prostu mów! – nalegał.

– Nie mogę wyjść z podziwu, oto, co robię – odpowiedziała matka, uśmiechając się szeroko. – A co robiłam?

Co tylko mogłam. Najczęściej coś, co pozwoliłoby mi nie zmarznąć. No i dzieci robiłam. Nie uczyłam się języków obcych. Ojciec mówił mi, że powinnam się uczyć języków, ale ja go nie posłuchałam. Chodziłam do kółka baletowego, do teatru, popływać na łódkach i do kina, ale żeby się uczyć języków, to nie! Gdybym ja go wtedy posłuchała...

– Mogłabyś dać sobie z tym spokój? – przerwał jej ojciec i coś Mirjanie przetłumaczył.

– ...nie czułabym się teraz jak krowa – dokończyła matka.

– Niech się nauczy czeskiego – rzekł Kvido do matki. – Jeśli chce nas zrozumieć.

– A co lubisz? – ojciec dopytywał się w imieniu Mirjany.

– Odczep się – odpowiedziała matka.

– Nie możesz powiedzieć Mirjanie, co w życiu lubisz najbardziej?

– Rany boskie! Dżem z wiśni. Teatr. Ciepły wiatr. Prywatność. Most Karola. Adamaszkową pościel. Rodzinę. Jakuba Schikanedera. Gust, inteligencję i tolerancję. Amerykańską pastę do zębów dla palaczy. I ciebie. Czasami. Przetłumacz jej to, ty tchórze!

– Niech Kvido też coś powie! – ojciec uśmiechał się do Mirjany. – Już dwa lata się uczy.

– Ja nie będę nic mówić – rzekł Kvido.

– Jeśli nie będziesz znać języków obcych, Europa – tu wskazał na Mirjanę – nigdy się przed tobą nie otworzy!

– To jest piękna metafora – powiedziała matka Kvida i z uśmiechem ziewnęła. – Idę spać – zwróciła się do ojca Kvida. – Bardzo bym się cieszyła, gdyby się w tym tygodniu Europa nie otwierała także dla tych, którzy znają języki obce. Good night, everybody!

Pół godziny później Kvido przyszedł za matką do sypialni. Matka pogrążona była w lekturze.

– I ty tak po prostu zostawisz ich tam samych? – nie mógł zrozumieć Kvido. – Czy tobie to w ogóle nie przeszkadza?

Matka odgarnęła mu włosy z czoła.

– Kochać – powiedziała – nie znaczy przecież mieć na własność. Nie bądź taki staroświecki, Kvido! Przecież masz już czternaście lat!

Lecz żadnemu z nich nie wydawało się to zbyt przekonujące.

– To, co w domu, to nie dla mnie... – inżynier Zvára ostrzegał ojca Kvida, a w jego głosie można było usłyszeć nutę zazdrości. – To jest, durniu, odwieczna mądrość.

– O mnie się nie martw! – śmiał się ojciec. – Ja nie zginę!

– Ależ panie inżynierze... – dziwiła się sekretarka. – Pan mnie naprawdę zdumiewa!

Faktu, że są z Mirjaną dobrymi przyjaciółmi, ojciec Kvida bynajmniej nie starał się ukrywać; czasami здаowało się nawet, że wręcz przeciwnie, cieszy się, jeśli może się tą przyjaźnią pochwalić. Podobnie jak w kwietniu w Puli, teraz też nie pozwolił sobie na nic więcej jak tylko kilkakrotnie, w nagłym odurzeniu, pocałować Mirjanę, chociaż bardziej chyba niż ona sama wzruszała go zapewne wizja, że jego współpracownicy uważają ową piękną i niezamężną Jugosłowiankę za jego potajemną kochankę. Na wszelkie pytania reagował tylko ostentacyjnie zgorzonymi uśmieszkami, a szeptane uwagi, jakie od czasu do czasu zasłyszał, mogły go tylko i wyłącznie cieszyć. Rósł jego autorytet, a sekretarki zaczęły się za nim oglądać.

– Take it easy! – śmiał się ojciec Kvida.

Po dwóch stosunkowo ciepłych, ale deszczowych dniach zaczęło się cudowne babie lato. Ojciec, który wyraźnie cierpiał na samą myśl, że Posázavie nie może dać Mirjanie tyle, ile jemu dała Pula, spojrzał radośnie w kierunku bezchmurnego nieba i zaproponował jej wycieczkę rodzinną kanadyjką.

– Wezmę z sobą Paca – zaproponował żonie.

– Co to, to nie – odpowiedziała rezolutnie matka Kvida.

– On nie umie pływać. Mógłby wypaść, a śmiem wątpić, że w ogóle byś to zauważył.

Ich spojrzenia spotkały się. Ojciec pierwszy odwrócił wzrok.

– W takim razie niech idzie Kvido! – rzekł.

– Czy ty już kompletnie zwariowałeś? – rzekł Kvido. – Co to ja niby jestem? Jack London? Ten futbol z tobą zupełnie mi wystarcza.

– To tak samo by ci się spodobało... Ostatecznie sam mówiłeś, że kiedyś spróbujesz.

– Tak, ale nie z wnuczką Josipa Tity!

– Nie pleć głupstw! Idziesz czy nie?

W przedpokoju zapanowało pewne napięcie.

– Idź, idź, Kvido – powiedziała matka.

Kvido zrozumiał nagle, że ten obojętny ton głosu kosztuje ją zapewne sporo wysiłku.

– Chociaż, może bym się nawet wybrał?

Matka uśmiechnęła się do niego.

– Prawdę mówiąc, uwielbiam sporty wodne – rzekł Kvido. – Let's go.

– Tylko żebyście mi byli w domu przed zmrokiem – powiedziała matka do ojca na odchodnym. – Nie zapomnij, że cierpisz na kurzą ślepotę!

– Jeżeli matka sądziła, że moja obecność będzie dostateczną gwarancją cnotliwości tej wyprawy, to się myliła – opowiadał później Kvido. Kiedy tylko zniknęli matce z pola widzenia, ojciec począł coraz częściej obejmować Mirjanę ramieniem, mrugając przy tym porozumiewawczo do Kvida. Kvido oblał się rumieńcem.

– No coś ty! – śmiał się ojciec. – Jesteśmy przecież mężczyznomi, no nie?

Mirjana spojrzała na nich wesoło, po czym wbiegła na sam środek łąki, aby zerwać parę polnych kwiatów.

Kiedy już dotarli do drewnianego hangaru, w którym przechowywano łodzie, ojciec Kvida, z wysiłkiem, od którego żyły na karku nabrzmiały mu tak, że mogły popękać, sam zaniósł łódkę na wodę. Kvido zastanawiał się, czy oprócz kamizelki ratunkowej nie powinien wypożyczyć także kasku, w końcu jednak doszedł do wniosku, że w miejscu gdzie nie ma nawet jednej jedynej fali czy kamienia, byłoby to przesadą. Mirjana zdjęła płócienną spódnicę, ściągnęła pantofle i na palcach, tylko w prążkowanych majteczkach i podkoszulku, udała się na brzeg za ojcem. Ojciec, którego ruchy na jej widok nabrały wdzięku godnego mistrza baletu, pomógł jej usiąść w łódce, przy czym dwukrotnie, niechcący, dotknął jej piersi. Następnie sam wskoczył do łódki, solidnie ją przy tym rozhuśtując.

– Oh, my God! – śmiała się Mirjana.

Kvido obserwował ich zaszępiiony i przeklinał swą słabość, z powodu której nie odmówił udziału w wycieczce.

Ojciec wychylił się nieprawdopodobnie daleko i ujął wiosło tak, jak gdyby chciał nim pogłębić dno rzeki.

– Come on, boy! – polecił Kvidowi. – Wsiadaj!

– Schowaj ten język, wyglądasz jak idiota – rzekł Kvido i zanim usiadł, zastanawiał się, czy lepiej zniesie widok tokującego ojca, czy jego potencjalnej jugosłowiańskiej kochanki; w końcu zdecydował się na Mirjanę, choć najchętniej usiadłby tyłem do obojga.

– Trzymajcie kapelusze, wypływamy! – krzyknął ojciec.

Nim jednak zaczął wiosłować, zademonstrował koleżance technikę trzech podstawowych zamachów, poprawne trzymanie wiosła, a także pokazał parkę kaczek na powalonym pniu olchy.

– What a nice day! – krzyczał radośnie i kilka razy mocno pociągnął wiosłami.

– Jaki piękny dzień – rzekł wściekle Kvido, trochę także po to, aby zwrócić ojcu uwagę, że niektóre słowa mimo wszystko rozumie.

Pogoda rzeczywiście dopisała: wiał rześki wietrzyk, trzcina szeleściła cicho, a słońce piekło ostatkiem swych sił. Kiedy pokonali pierwsze zakole rzeki, Mirjana, widocznie chcąc sobie pozwolić na to, na co w Puli pozwalają sobie tylko zagraniczne turystki, ściągnęła podkoszulek. Odłożyła wiosło, ostrożnie odwróciła się i usiadła na dziobie, twarzą do słońca i obu członków załogi. Zmrużyła oczy i zaczęła nucić jakąś piosenkę, której słowa – ze względu na okoliczności – Kvido na zawsze zapamiętał.

Procvale su ruže i vijole,
procvala je trava i murava,
procvala je lika i zelenika,
procvale su višnje i čerešnje...

– śpiewała Mirjana cicho.

O ile Kvido, widząc jej duże, obnażone piersi, odczuł tylko gwałtowne zmieszanie, które niebawem przekształciło

się w nieprzewyciężoną ochotę przyciśnięcia twarzy jak najbliżej drewnianej podłogi łódki, jego ojca ten sam widok stracił na samo dno historycznej przepaści.

– To już coś, no nie?! – wołał na Kvida, jakby stracił zmysły, bez przerwy trącał go znacząco i wskazywał na Mirjanę, śmiał się dziko, mówił dwujęzycznie i kręcił łódką w kółko.

– Are you crazy? – śmiała się Mirjana i pokrzykiwała zachwycona.

– Yes, I'm! – śmiał się ojciec, któremu do pełni szczęścia brakowało już tylko tego, aby w pobliżu płynął wycieczkowy parostatek, wypełniony po brzegi pracownikami państwowego zakładu Kavalier Sázava.

– Przewrócisz nas! – jęczał Kvido. – Opamiętaj się!

– Take it easy! – krzyczał ojciec Kvida.

Chwilę później jego wiosło dostało się głęboko pod łódkę, która chwilę potem jednym płynnym ruchem odwróciła się do góry dnem. Tuż przed tym, zanim Kvido przebił swym ciałem wzburzoną powierzchnię wody, zdążył pomyśleć, że ojciec chyba zrobił to naumyślnie.

– Help me! – Mirjana równocześnie śmiała się i krztusiła wodą, upewniwszy się wcześniej, że nogami całkiem spokojnie może dosięgnąć kamienistego dna. Ojciec, który tymczasem odwrócił łódkę, dzięki czemu osiągnął tylko to, że zaczęła tonąć, natychmiast rzucił się ku niej.

Kvido, którego unosiła kamizelka ratunkowa, patrzył z rezygnacją, jak rodzinna kanadyjka szybko napęlnia się wodą. Niezauważone przez nikogo, nieopodal płynęły wiosła.

Pomoc ojca łaskotała Mirjanę.

Łódka na dobre zatonąła.

Kvido zauważył jeszcze, jak prąd w zielonkawej wodzie lekko ją obrócił, po czym całkowicie zniknęła mu z oczu.

Oparł głowę o wysoki kołnierz kamizelki ratunkowej, przymknął oczy i pozwolił, by prąd wody powoli go unosił.

Ojciec krzyczał coś za nim, lecz on go nie rozumiał.

– Procvale su ruže i vijole – powtarzał. – Procvala je trava i murava...

Natychmiast zdusić skłonności do poligamii (ojciec) – pojawiło się nazajutrz w kalendarzu IBM we właściwym zielonym prostokątku.

– I kupić łódkę – Kvido zwracał matce uwagę.

6

Kvido rozpoczynał ósmą klasę i czekał go niełatwy okres. Jaruška była od niego co najmniej o trzy centymetry wyższa i w czasie przerw rozmawiała – jak się Kvidowi wydawało – tylko z przedwcześnie dojrzałymi kolegami, którzy wszyscy byli wyżsi od niego o głowę. Wprawdzie praktycznie zupełnie już pozbył się dawnej otyłości (jednakże odrobina zbędnego tłuszczu na biodrach pozostała mu na zawsze) i matka zamiast dawnych rogowych okularów kupiła mu twarzowe oprawki z cienkiego złotego metalu, lecz mimo to uważał, że jest mały i brzydki. Długie chwile spędzał przed lustrem, a take it easy! ojca niewiele mu pomagało. Rozmowa z Jarušką zaczynała mu sprawiać kłopoty, dotąd całkiem obce.

– Pójdziemy znów na sanki? – zdecydował się pewnego razu na zachrypnięte pytanie.

– Zwariowałeś? – pokręciła głową Jaruška. – Nie za wcześnie na takie pytanie? Jest wrzesień!

– Myślałem, kiedy spadnie.

– Co? – spytała Jaruška.

Kvido odniósł wrażenie, że się z niego śmieje. Był załamany.

Śnieg – chciał powiedzieć, ale głos zamarł mu w gardle.

Poza tym rodzice Kvida życzyli sobie, aby zdawał do gimnazjum beneszowskiego już w przyszłym roku.

– Chyba nie chcesz stracić roku! – przekonywał go ojciec, który w głębi duszy był przekonany, że całe szkolnictwo podstawowe jest tylko absurdalną przeszkodą na drodze Kvida do kariery. – Kiedy będziesz miał dwadzieścia dwa lata, możesz zrobić dyplom, a mając dwadzieścia trzy, wyprzedzisz wszystkich o rok!

Tymczasem Kvida martwiło tylko to, że obok Jaruški, która, przeciwnie, chciała kontynuować naukę w klasie

dziewiątej, po wakacjach mógłby siedzieć któryś z jej ro-
słych, atletycznych kolegów. Rozwijał tę wizję i uzupełniał
ją domysłami, co wkrótce stało się dla niego źródłem nie-
przewycięzalnej udręki. Z góry nienawidził wszystkich
tych silnych, chępliwych, wągrowatych chłopców z kieł-
kującymi wąsami. Równocześnie za każdym razem kiedy
porównywał swe sporadyczne, a na wzorzystej piźamie ła-
twe do przeoczenia polucje, z codziennymi objawami po-
wodziowymi, jakie oni rzekomo przeżywali, ze złością
przypominał sobie bezmięsną, a zatem – jak sądził – n i e -
p e ł n o w a r t o ś c i o w ą kuchnię babci.

Wszystkich całuje, bo was miłuje, wasza bieda! – wście-
kał się po kryjomu.

– Ciesz się, że Jaruška w ogóle pójdzie do gimnazjum –
pocieszała go matka. – Za rok się tam spotkacie... Powiedz
mi, co byś zrobił, gdyby chciała iść do liceum medycznego?

– Tego nie wiem – przyznał ze smutkiem Kvido.

Kiedy zbliżał się termin złożenia podania do szkoły
średniej, ojciec Kvida starał się wzmocnić swój wpływ wy-
chowawczy. Sądził, że jego niewątpliwe i wzbudzające
podziw sukcesy zawodowe, uwieńczył niedawnym wy-
jazdem służbowym do egzotycznej Japonii, dają mu pod-
stawy do wdrożenia metody n a ś l a d o w c z e j – tylko
że Kvido, w ramach krytycyzmu okresu dojrzewania, nie
przyjmował do wiadomości prawd nawet tak oczywistych
i sprawdzonych przez życie, jak ta, że szczęście człowieka
jest wprost proporcjonalne do długości jego podróży służ-
bowych, wyrażanej w kilometrach. Ojciec zatem, aczkol-
wiek niechętnie, musiał uciec się od czasu do czasu do nie-
popularnej metody p r z y m u s z a j ą c e j.

– Hau! Hau! – prowokacyjnie szczełał Kvido za każdym
razem, kiedy ojciec przychodził, aby się z nim uczyć, a kie-
dy pewnego dnia przyniósł wypełnione podanie, na znak
protestu założył na szyję kolczatkę.

Ojciec Kvida bez wątpienia chciał dla syna jak najlepiej,
ba, chciał najlepiej, jak tylko potrafił. W gruncie rzeczy nie
chodziło mu o to, czy Kvido rozpocznie naukę w szkole
średniej o rok wcześniej, a już bynajmniej nie o korepety-

cje z matematyki czy chemii; chodziło mu o znacznie więcej. Chciał zaoszczędzić synowi chociaż części tej wyczerpującej, krętej drogi, wiodącej do Życiowego Poznania. Pragnął mu je opisać z dokładnością, która dla Kvida była dotąd nieosiągalna, i z jakiegoś z trudem wyobraźnego miejsca gdzieś w dalekiej perspektywie, skąd jest już dobrze widoczne, i dokąd on, ojciec, po latach wreszcie dotarł. Ze względu na to, że owo Poznanie zamierzał mu opisać absolutnie bezinteresownie, li tylko z dobrej woli ojcowskiej, nie mógł zrozumieć, dlaczego Kvido przeciwstawia się takiemu d o b r u.

– Jeszcze wiele razy buntował się przeciwko takiej ignorancji – opowiadał po latach Kvido. – Skoro nie osiągnął celu na lądzie, wziął nas latem do Bułgarii i gadał do mnie w powietrzu w samolocie i w wodzie morskiej, jak gdyby szukał idealnych warunków fizycznych, w których, mimo wszystko, możliwe jest przekazywanie doświadczeń.

Mniej więcej w tym czasie Kvido napisał swe pierwsze opowiadanie. Nazwał je *Supersam Okrucieństwo*.

Akcja rozgrywała się w jakimś fikcyjnym sklepie, gdzie na niziutkich, ale przestronnych regałach leżał tylko jeden rodzaj towaru: prawdziwi, żywi chłopcy, zapakowani w przezroczyste, częściowo otwarte pudła. Do prawych rąk przywiązane mieli metki z imieniem, ceną i wymiarami. Nie mogli mówić.

Natomiast kupującymi były dziewczyny; wśród nich była też Jaruška. Miały olbrzymie wózki, które z trudem pchały wzdłuż regałów, i pieczołowicie wybierały: zwracały uwagę nie tylko na ubrania chłopców, ale także na ich oczy, usta i zęby, analizowały kolor włosów i czystość cery, warstwę podskórnego tłuszczu i wielkość mięśni, ich wzrost i kształt nóg, w końcu przyglądały się też narządom płciowym chłopców i sprawdzały, czy już są czy nie są pokryte owłosieniem. Naturalnie porównywały jakość wystawionych chłopców i głośno wymieniały uwagi na ich temat. Od czasu do czasu w wyborze pomagały im sprzedawczy-

nie, którymi były starsze, mocno umalowane kobiety z olbrzymimi biustami.

– Czarnowłosych, wysokich, opalonych już nie ma? – spytała Jaruška jedną z nich.

– Zostali tylko bladzi. Opalonych mieliśmy rano – nawet uprzejmie odpowiedziała sprzedawczyni. – Od razu zniknęli z półek.

Naturalnie w jednym z pudeł stał Kvido. Dziewczyny, z Jarušką włącznie, przechodziły obok niego raczej obojętnie. Czasami rzuciły jakąś uwagę.

– Kup sobie tego malutkiego okularniczka! – przekomarały się.

– Dziękuję, nie! Sama go sobie kup!

Kvido kaligraficznie przepisał opowiadanie i pewnego dnia przyniósł je Jarušce.

– Jest dziwne – powiedziała, kiedy skończyła czytać. – Dziwne i wulgarne.

Kvido oblał się rumieńcem i krzywo się uśmiechnął.

– W ten sposób ich sobie wybieracie – rzekł z przekorą.

– Ja nie! – powiedziała Jaruška. – A tak w ogóle, nie życzę sobie, abyś o mnie pisał!

VI

1

Kariera ojca Kvida zakończyła się u schyłku lata roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego, i to tak nagle, jak nagle się zaczęła.

Już poprzedniej jesieni miało miejsce pozornie nic nieznaczące wydarzenie, w którym ktoś, kto zwraca uwagę na podobne zjawiska, mógłby upatrywać jakąś zapowiedź, jakiś pierwszy symptom nadchodzącego kryzysu. Mały Paco – podobnie jak kiedyś jego brat – podczas gry w kręgle w przedszkolu strącił oszklony portret prezydenta, tym razem jednak już nie Ludvíka Svobody, ale Gustáva Husáka.

Rama, spadająca wraz z długimi, ostrymi odłamkami szkła, na szczęście także tym razem nikogo nie zraniła. Niemniej nie można było absolutnie jednoznacznie stwierdzić, że spadający obraz nikomu nie wyrządził krzywdy, bowiem jedna ze starszych nauczycielek natychmiast przypomniała sobie identyczny incydent z Kvidem i wszystkim, kogo tylko spotkała, opowiadała o tym jako o niesłychanym zbiegu okoliczności. Ow epizod stał się niebawem powszechnie znany i nie wszystkim wydawał się wyłącznie zabawny.

– Miej się lepiej na baczności – powiedział Šperk do ojca Kvida. – W takich sprawach ludzie mogą dopatrywać się związku!

– Przecież to dziecko... – ojciec rozpaczliwie usprawiedliwiał Paca.

– Zresztą słusznie! – rzekł Šperk. – Nie lekceważ tego.

– Stawiam dolara przeciwko zapałce, że ten cymbał zrobił to naumyślnie, aby dorównać bratu! – krzyczał w domu ojciec Kvida, w którego frazeologii przejawiała się wów-

czas podświadoma tęsknota, aby odwiedzić służbowo jeszcze Stany Zjednoczone.

– To dlaczego krzyczysz na mnie? – zupełnie słusznie spytała matka Kvida.

– Przecież normalne dzieci podczas kulania nie rzucają obrazów, w dodatku wiszących dwa metry nad podłogą! – krzyczał ojciec dalej, na nic nie zważając. – Normalne dzieci nie!

– Zatem oskarżasz mnie o to, że urodziłam ci dwóch niewiarygodnie kiepskich kręglarzy? – spytała matka spokojnie.

– Nie oskarżam! – wrzeszczał ojciec i w przypiływie ślepej wściekłości wymierzył Pacowi policzek. – To вина tego durnia!

Paco rozplakał się.

Kvido wysunął się przed brata, aby osłonić go własnym ciałem.

– Zwariowałaś? – zawołała rozgoryczona matka. – Dlaczego go bijesz? Zachowujesz się jak kretyn.

Z trudem wzięła Paca na ręce.

Ojciec zapewne sam wyczuł, że powinien przynajmniej spróbować jakoś wytłumaczyć swą porywczosć.

– To ma za mamę i tatę, że przez niego teraz się kłócą – rzekł niepewnie.

Matka Kvida otarła Pacowi łzy i poleciła mu iść do pokoju.

– Powinieneś wymierzyć mu jeszcze jeden – powiedziała ironicznie. – Za Husáka.

– Był to pierwszy policzek p o l i t y c z n y, jaki trafił się Pacowi – opowiadał Kvido.

2

Ojciec Kvida starał się więc mieć na baczności. Co nie było wcale takie proste, między innymi także dlatego, że Pavel Kohout, będący od stycznia sygnatariuszem Karty, po wyeksmitowaniu go z Pragi przeprowadził się na stałe do swej willi w Sázavie. O ile już wcześniej, kiedy przyjeżdżał tu tylko od czasu do czasu, można było go zobaczyć w towarzystwie matki Kvida, to teraz było co najmniej nieprawdopodobne, że mogliby go nie spotkać.

A miało to miejsce pewnego sobotniego przedpołudnia, kiedy robili zakupy w miejscowym domu towarowym. Później, kiedy raz jeszcze rekapitulowali przebieg owego spotkania, nie mogli dojść do porozumienia, które z nich prześladowanego dramaturga zauważyło wcześniej, a zatem miało czas, by dać sygnał do odwrotu: matka Kvida twierdziła, że dostrzegła go dopiero w momencie, kiedy – odwrócony twarzą do niej – pochylał się właśnie nad niebieskimi skrzynkami z mlekiem, jako że ona zmierziała właśnie, o czym ojciec z pewnością pamięta, do lady chłodniczej po frytki i masło i wówczas nie można już było – nie wykonując przy tym jakichś niezręcznych manewrów – uniknąć spotkania. Wprawdzie ojciec zgadzał się z tym, że być może zobaczyła go dopiero koło skrzynek z mlekiem, niemniej obstawał przy tym, że Pavel Kohout stał przodem do skrzynek – co w sumie jest logiczne – a zatem tyłem do niej, więc miała wystarczająco dużo czasu, aby się z wózkiem całkiem spokojnie odwrócić, po prostu jak ktoś, kto sobie nagle uświadomił, że z wcześniejszego regału zapomniał wziąć, powiedzmy, płatki owsiane.

– A zatem twoje twierdzenie, że nie mogłaś zapobiec spotkaniu, niejako budzi pewne wątpliwości – skwitował ojciec.

– Co najmniej takie same, jak twoje twierdzenie, że w inkryminowanym czasie sprawdzałeś datę ważności na konserwie z mieloną, aczkolwiek nigdy tego nie robisz, ponieważ znasz swe niewiarygodne możliwości jedzenia bez jakichkolwiek następstw nawet całkowicie zgniętego mięsa, co mi już wiele razy, a po raz ostatni przed dwoma laty w Lużnicy, udowodniłeś!

– To demagogia! – bronił się ojciec. – Jeżeli w Lużnicy zjadłem kiełbasę, która w ponurym rannym świetle z jakiegoś powodu wydawała się wam pozieleniała, to nie dlatego, że niby byłem pewien swej rzekomej odporności na botulotoksynę, bo to są kompletne brednie, lecz po prostu dlatego, że z pewnych powodów dają pierwszeństwo nawet starszemu mięsu przed świeżymi jarzynami!

– Z wyjątkiem jugosłowiańskiego leczy – napomknęła matka Kvida.

– Ale skoro już wspomniałaś o naszej wodniackiej przeszłości – nawiązał ojciec, pomijając jej uwagę – muszę ci przypomnieć, aczkolwiek grzebanie się w takich szczegółach jest dla mnie żenujące, że każdy choć trochę doświadczony wodniak odgaduje kierunek ruchu łódki według ruchu dzioba, ten zaś, jeśli mówimy o twoim wózku na zakupy, nie zmierzał do lady chłodniczej, ale wprost ku skrzynkom z mlekiem!

– Czy ktoś może mi wyjaśnić, o co tu na Boga chodzi? – domagał się Kvido.

– O nic – zbyła go matka. – Nieważne.

– Wręcz przeciwnie – rzekł proroczo ojciec. – O wszystko.

– W pewnym sensie nie mylił się – opowiadał później Kvido.

– Cześć Pavle – matka Kvida z promiennym uśmiechem zwróciła się wówczas do Pavla Kohouta, udowadniając w ten sposób sprzedawcom, kupującym, jak również sama sobie, że nie boi się w tak uczęszczanym miejscu zagadnąć dysydenta, o którym w tym roku tak często dyskutowano.

Ojciec Kvida, który nieznacznie pobladał, w ostatniej chwili postanowił zrobić wrażenie rozbawionego.

Pavel Kohout oczywiście swą Janinę z *Dobrej pieśni* i późniejszą koleżankę z teatru od razu poznał – ostatecznie nie minęły nawet dwa lata, odkąd po raz ostatni widzieli się w Sázavie – i w jego oczach pojawił się błysk autentycznej radości.

– Cześć!

Jednak niemal natychmiast jakby się zakłopotał i powrócił do owego powściągliwie uprzejmego tonu, który dawno już zarezerwował dla tego typu spotkań, a który nie miał nic innego na celu, jak tylko pewien specyficzny wzgląd na tych, z którymi rozmawia. Promienny uśmiech na twarzy matki Kvida nie ustępował jednak nawet po kilku minutach rozmowy, toteż w końcu zdecydował się na wypowiedzenie owego jakże powszechnego zwrotu towarzyskiego, którego jednakowoż ostatnio używał niezwykle rzadko, mając świadomość, że w jego ustach od razu zmienia się w brutalną, psychologiczną presję.

– Wpadnijcie kiedyś, jak będziecie mieli czas – rzekł ostrożnie.

Nie chciał być nieuprzejmy i w ogóle nie zaprosić przyjaciół – równocześnie jednak, jak widać, starał się pozostawić im wystarczająco dużo miejsca dla wymijającego manewru (który byłby dla niego zrozumiały).

– No i stało się. Moment krytyczny – rzekł Kvido do redaktora.

Oczywiście, nikt nie zdawał sobie z tego sprawy. Ani ojciec Kvida, ani matka Kvida, ani przechodzący współobywatele, ba, nawet muchy polatujące nad cuchnącymi serami. Rodzice Kvida – podobnie jak większość par małżeńskich, które często bywają w towarzystwie – z biegiem lat wytworzyli cały system pozawerbalnej komunikacji, od znanych, przypadkowych gestów, spojrzeń czy ruchów głową, aż po tak subtelne środki wyrazu, jak prędkość nabierania powietrza, ledwo słyszalne mlaśnięcie lub praktycznie niedostrzegalne przestępowanie w miejscu – lecz nawet ten zwykle świetnie działający system tym razem zawiódł, i to absolutnie nieoczekiwanie, gdyż w przeszłości z powodzeniem stawiali czoło (i to nawet z pewną elegancją) zaproszeniom wręcz agresywnym.

– Gdyby chodziło o zaproszenie pisemne, jestem przekonany w stu procentach, że odmówiliby – twierdził Kvido. – Znaleźliby do tego nieskończoną ilość bardzo rozsądnych argumentów. Ale tak, twarzą w twarz... To, mimo wszystko, przekraczało ich możliwości. Byli zbyt dobrze wychowani.

– No to może dziś wieczorem? – tym razem z zapalem zaproponowała matka Kvida i spojrzała na swego męża niewidzącymi oczyma.

– Ja jestem za! – wykrzyknął radośnie ojciec Kvida i poczuł gwałtowne ukłucie za mostkiem.

– Dzisiaj? – Pavel Kohout był mile zaskoczony tak spontaniczną odpowiedzią. – Świetnie!

– Może byśmy upiekli kurczaka? – spytał dzielnie ojciec Kvida, pokonując ból, i wskazał głową w kierunku lady chłodniczej. – Pytam, bo bym od razu kupił dwa.

Matka Kvida obdarzyła go spojrzeniem pełnym podziwu.
– Jednego – rzekł z radością Pavel Kohout. – Ja kupię drugiego.

3

Byle pokonać burze, trudy, biedy,
by życie było gotowe do lotów,
miłość się stanie dobrą pieśnią wtedy,
z którą do nieba każdy lecieć gotów.

– recytowała matka Kvida z domieszką ironii i sentymentu, kiedy owego popołudnia ubierała się do wyjścia na umówione ognisko.

– Gdybym chciał się przyjaźnić z oponentami reżimu, mogłem spokojnie zostać w Pradze – narzekał na niby ojciec Kvida, lekko oczarowany własną obywatelską odwagą. – Nie uciekałem na wieś po to, aby sobie z nimi na grillu piec kurczaki!

– Z tymi kurczakami to był twój pomysł – zaznaczyła matka Kvida z uśmiechem, nie odwracając wzroku od lustra.

– Z kurczaków spokojnie się wytłumaczę, ale ciekaw jestem, jak ty będziesz się tłumaczyć z tych oponentów!

– Kurczak czy Kohout, żadna różnica: to drób i tamto drób – zażartowała dziecinnie matka Kvida. – Wciąż jeszcze nie musimy tam iść...

– Właśnie że musimy – biadolili ojciec. – Z powodu twoich frytek i masła musimy iść!

– Z powodu twojej mielonki! – matka Kvida po raz ostatni spojrzała w lustro. – Jak wyglądam?

– Rany boskie! Ona mnie spokojnie pyta, jak wyglądam!

– Czy dzieci nie mogłyby iść z nami? – spytała nagle matka Kvida. – Kvido mógłby Pawłowi przeczytać to opowiadanie.

W jej propozycji – jak słusznie zauważył ojciec Kvida – mieszała się zdrowa macierzyńska duma z trochę mniej zdrowym asekuranctwem: o ile oprócz kurczaków będą tam także dzieci, spotkanie w żaden sposób nie będzie wyglądać na konspiracyjne.

– Ostatecznie, czemu nie? – rzekł ojciec Kvida.

Dopiero gdy Pavel Kohout i jego żona Jelena wtajemniczyli swych gości w ostatnie wydarzenia wewnątrzpolityczne, a także, między innymi, zaznajomili ich z faktem, że bardzo często są śledzeni przez Służbę Bezpieczeństwa, ojciec Kvida uświadomił sobie, w jak istotnym przedstawieniu – choćby nawet w charakterze widza – się znalazł. Aby jakoś zająć ręce, wziął się do obracania różną, lecz nawet mina wytrawnego smakosza, jaką przybrał, nie była w stanie całkiem zamaskować zdenerwowania. Jego kulinarne sentencje na temat złocistej, chrupiącej skórki niktogo nie obalamuciły, tym bardziej że nieustannie spoglądał na zegarek i na niebo, jakby nie mogąc się już doczekać nadejścia zmroku, oraz że jedyny kawałek piersi kurczaka, jaki zjadł, w chwilę później, z mało przekonującymi wyjaśnieniami, zwymiotował w żywopłot.

Również matka Kvida zrozumiała, że ewentualne ryzyko związane z tą wizytą jest o niebo większe, aniżeli jeszcze przed godziną dopuszczała do świadomości. Ostatecznie jednak o wiele większy od obaw z powodu możliwych następstw tej wizyty był jej strach przed jamnikiem Kohouta. Ilekroć bowiem otarł się w ciemnościach o jej nogi, ku przerażeniu gospodarzy straszliwie piszczła.

– Nie przeszkadza mi, jeśli kobieta boi się psów, pajaków czy też myszy – rzekł pół żartem, pół serio Pavel Kohout, któremu zaczynało to już działać na nerwy, jako że nie miał pojęcia o głębi jej fobii – ale nie znoszę, jeśli uważa to za swą zaletę...

Sytuację ratowali Paco i Kvido: nie bali się małego jamnika i nie bali się też tajnej policji, zatem zachowywali się absolutnie naturalnie. Wprawdzie Pavel Kohout początkowo nie był pewien, czy aby Kvido nie będzie jednym z tych młokosów, którzy po wypiciu dwóch szklanek domowego wina odrzucają jego wczesną, związkową twórczość, lecz kilkuletni, głośny recytatorski okres Kvida, którego teraz już się nieco wstydział, a który nie był tak całkiem niepodobny do kohoutowskiego „intelektualnego zawodu”, zapowiedział dostateczną gwarancję, że tym razem nie dojdzie do ośmieszającej recytacji wierszy o Stalinie. Obaj chłopcy podobali mu się i chętnie się z nimi wygłupiał.

Kiedy przyszło do czytania opowiadania Kvida, dramaturg trochę się przestraszył i zaczął przygotowywać coś w rodzaju delikatnego odrzucenia z odpowiednią dozą zachęty. Ale opowiadanie – aczkolwiek debiutanckie – całkiem przyjemnie go zaskoczyło, chociaż nie zgadzał się z jego pesymistycznym wydźwiękiem, a przyczynę tego słusznie upatrywał w fakcie, że sprzedawani chłopcy nie mogli mówić.

– My przecież możemy mówić, i to jest oczywiście nasze jedyne szczęście! – rzekł do Kvida i śmiejąc się, pokazał mu warstwę s w e g o podskórnego tłuszczu.

– Zobaczysz, że każdą kobietę, na szczęście, można zbajerować.

– Tak pan uważa? – rzekł z zaciekawieniem Kvido.

Chwilę po dziesiątej usłyszeli, jak na drodze dojazdowej zatrzymuje się samochód.

– No tak – rzekł cicho Pavel Kohout. – Nasza obstawa! – Okrążył garaż i zaglądał przez furtkę.

Ojciec Kvida poczuł gwałtowne ukłucie za mostkiem.

– Miejscowi – rzekł Pavel Kohout. – Musicie iść od tyłu, przez tory. Mogliby was rozpoznać.

Wizyta dobiegła końca.

Kvido i Paco dostali rozkaz milczenia.

Rodzina szybko się pożegnała.

Przeszli przez ogród aż na jego przeciwległy koniec. Ostrożnie omijali gałęzie jabłoni. Trawa była mokra. Przeciśnęli się przez dziurę w płocie.

– Trzymajcie się! – szepnęła matka Kvida.

– Do zobaczenia – szepnął ojciec Kvida. Ciemność litościwie zakrywała jego bladość.

Zeszli na wąską dróżkę nad torami kolejowymi. Przeszli zaledwie parę metrów, kiedy nagle w ciemnościach błysnęły oczy psa.

Matka Kvida po raz ostatni przenikliwie jęknęła.

– Dobry wieczór! – rzekł ktoś. – Dowody osobiste, proszę!

– Co się stało? – wołał przestraszony Pavel Kohout, który przybiegł z powrotem pod płot.

Nikt mu nie odpowiedział.

– Z wizytą? – rzekł Šperk, śmiejąc się nieprzyjemnie. –

W porządku – powiedział do dwóch mężczyzn, stojących u jego boku.

Ojciec Kvida nie był w stanie odpowiedzieć.

Matka Kvida złapała swych synów za ręce.

– Idźcie stąd – rzekł Šperk. – No idźcie, idźcie.

VII

1

Prawie zawsze kiedy Kvido zastanawiał się, co mogło jego ojca tak załamać, że zmieniając pracę, z pięciu propozycji, wśród których były również trzy etaty urzędnicze, wybrał właśnie stanowisko członka straży zakładowej, nie myślał ani o owym tajemniczym przesłuchaniu w gmachu Służby Bezpieczeństwa, na temat którego ojciec odmawiał powiedzenia czegokolwiek bliższego, ani owej audycji radiowej zatytułowanej „Sprawa Kohouta”, w której na temat zorganizowanego skupiania się wrogów ustroju socjalistycznego w miejscu aktualnego zamieszkania dramaturga wypowiadał się między innymi także towarzysz Šperk; myślał o inżynierze Zvárze.

– Ale chryja, człowieku! – rzekł ojciec Kvida do Zváry nazajutrz po incydencie ze Šperkiem.

– Ale chryja, człowieku, ale chryja! – rzekł do niego także wtedy, gdy powrócił z przesłuchania na ulicy Bartolomiejskiej.

Wypowiadając te słowa ze słyszalnym pytaniem w głosie, miał nadzieję, że jego kolega ofuknie go, żeby nie przesadzał, nie wyolbrzymiał, że to przecież nie jest żadna chryja, że nie zrobił nic złego i że nic mu nie grozi. Lecz, niestety, Zvára go nie strofował.

I nie strofował go nawet wtedy, kiedy pewnego dnia ojciec Kvida wszedł do biura z listą owych pięciu etatów i rzekł troszkę przyduszonym głosem, z tym samym słyszalnym pytaniem:

– Ja chyba, do cholery, będę w końcu robił za portiera!

– Za portiera? – Zvára przeraził się nie na żarty.

– Tak, to mi tutaj proponują, czarno na białym... – śmiał się ojciec Kvida, lecz jego bladość ostro kontrastowała z uda-

wanym nastrojem. Cieszył się, że jego przyjaciel był tym równie zaskoczony i być może właśnie dlatego miał nadzieję, że tym razem Zvára uderzy w stół, wstanie i pobiegnie do zastępcy kierownika kadr, aby spytać, co to za głupota, od kiedy to inżynierowie, władający biegle dwoma światowymi językami, mający poza tym cenne kontakty handlowe w Londynie, Puli, Düsseldorfie i Tokio – robią w przedsiębiorstwach za portierów?! Tylko że Zvára nie uderzył w stół, nie wstał i powiedział tylko, że coś takiego naprawdę może się zdarzyć tylko u nas.

– No i to zadecydowało – twierdził Kvido.

Doktor Liehr później rzeczywiście nie odrzucił hipotezy Kvida, równocześnie jednak był przekonany, że jego ojciec, dobrowolnie wybierając najniższy etat w hierarchii owych pięciu, starał się – świadomie lub nie – przypodobać mocy karzącej albo wręcz bał się rozdrażnić ową moc spadkiem, powiedzmy, tylko o dwa szczeble niżej, na przykład na stanowisko referenta do spraw cen. W związku z tym wyborem zwracał uwagę na wyraźnie wertykalną symbolikę całego zdarzenia: ze względu na to, że ojciec Kvida wcześniej pracował w biurze mieszczącym się na d z i e w i ą t y m piętrze, zaś portiernia, rzecz jasna, znajdowała się na parterze, chodziło tu o upadek s p o ł e c z n y, by tak rzec, absolutny pod każdym względem, co ponoć odpowiadało jego cierpięciznym skłonnościom.

Matka Kvida – wbrew podobnym teoriom – nigdy nie zrozumiała decyzji swego męża, a raczej nie chciała jej zrozumieć.

– Dlaczego, na rany boskie, od razu portier?! – darła się na ojca owego historycznego, poniedziałkowego poranka.
– Dlaczego nie zgodziłeś się na tego referenta? – Mam rozumieć, że spędzisz dzisiaj osiem godzin w tej zawszonej klitce?!

– Portierzy – westchnął ojciec – spędzają swój czas pracy na portierni. Czy jest ona zawszona, tego wprawdzie nie wiem, niemniej śmiem w to wątpić.

– Więc ty, ot tak, po prostu zdejmiesz tę tweedową marynarkę i tę kremową koszulę i założysz ten wstrętny uni-

form ze srebrnymi guzikami wielkości małej puderniczki, i staniesz sobie gdzieś przy wejściu!

– Prawdopodobnie tak.

Wzburzenie matki Kvida rośnie w miarę, jak pogłębiała się jej świadomość konsekwencji tej zmiany:

– A na głowę założysz czapkę z odznaką?!

– Tak.

– A na rękaw naciągniesz tę ohydłą czerwoną opaskę?!

– Tak – powiedział ojciec trochę roztargniony, gdyż nie znalazł ani jednej kłódki i bezskutecznie zastanawiał się, jak zamknie swoją szafkę w szatni.

– Jezus Maria – powiedziała przygnębiona matka Kvida.

– Ty chyba naprawdę oszalałeś.

I w ten sposób ojciec Kvida został portierem. W jego skórzanej teczce, jeszcze przed paru dniami napchanej po brzegi gęsto zapisanym terminarzami, zapiskami z narad, najróżniejszymi sprawozdaniami, wynikami ekspertyz, zagranicznymi czasopismami specjalistycznymi, książkami adresowymi i dziesiątkami wizytówek, teraz znajdowało się tylko pudełeczko z kawą, kawałek babki, długopis i dwie czy trzy wycięte z gazet krzyżówki.

Jeśli pracował na ranną zmianę, na portierni pojawiał się tuż po piątej, aby na czas zmienić kolegów z nocki, przebierał się, podpisywał odbiór pistoletu, starannie liniował wszystkie cztery kolumny w zeszycie dziennych raportów i stawał na wyznaczonym miejscu przy głównym wejściu. W jego ruchach i wyglądzie nie było nic prócz skupienia nowicjusza – no, może jeszcze jakieś usprawiedliwienie, że o tak wczesnej porze szokuje ledwie przebudzonych ludzi tym, że pokazuje się im w tej nieoczekiwanej roli, w tym źle skrojonym szaroniebieskim uniformie i w czapce, która bez przerwy opada mu aż na oprawki okularów. Od czasu do czasu kierował wzrok ku swemu dowódcy, by się przekonać, czy nie ma zastrzeżeń co do sposobu, w jaki wita i lustruje przychodzących, zaś dowódca, który prawdopodobnie czuł się trochę niezręcznie, z przesadnym, przyzwoleniem kiwał głową.

W poniedziałek rano rodzice Kvida przyszli do pracy razem; na portierni matka pospiesznie, nie pożegnawszy się,

opuściła ojca. Lecz kiedy dotarła do swego biura i zapaliła papierosa, uświadomiła sobie, że już jutro będzie musiała, tak jak inni, wylegitymować się przed swym mężem pracowniczą przepustką. Przez cały dzień nie myślała o niczym innym, a kiedy po wpół do piątej zaczęła się szykować do wyjścia, wiedziała już, że te piętnaście czy dwadzieścia kroków i sięgnięcie do torebki będzie najtrudniejszym ogonem w jej aktorskiej karierze.

Wtorkowy poranek potwierdził słuszność jej obaw. Pierwsza próba zakończyła się kompletnym fiaskiem: oczy szeroko otwarte, ręka z przepustką sztywno wyciągnięta przed siebie, jakby jej mąż w uniformie był jakąś niezemską zjawą, którą można odpędzić tylko pokazując jej przepustkę. W ten sposób matka Kvida przeszła przez portiernię, objając się o czerwone poręcze.

– Przyzwyczajai się – dowódca dodawał ojcu otuchy.

Na szczęście ojciec Kvida pracował także na nocnych zmianach, co jego żonie oszczędzało połowy tych spotkań, jemu zaś spotkań z byłymi kolegami, których dobrotliwe uwagi wypowiedane podczas szybkiego marszu, więc często niedopowiedziane, w jakiś sposób go deprimowały. Poza tym w nocy miał dużo więcej czasu na czytanie, na czym jednak w nowej sytuacji nie zawsze mógł się skupić, toteż w takich dniach zabijał godziny i minuty ciągłymi i z punktu widzenia obowiązków właściwie zbytecznymi obchodami po całym budynku administracyjnym. Snuł się ciemnymi korytarzami, czytał wiszące na drzwiach tabliczki z nazwiskami, zaglądał do znanych mu biur i światłem latarki omiatał rodzinne fotografie leżące pod szkłem na biurkach. Czasami zabawiał się, odwiedzając swe dawne biuro i studiując notatki w terminarzach Zváry i swego następcy. – Co za idioci – chichotał cicho. – Co za durnie.

2

Podczas gdy w zakładzie pracy ojciec Kvida stwarzał pozory, że już pogodził się z nowym stanowiskiem i że w ten sposób osiągnął nigdy niezaznany spokój, w domu po pewnym czasie nie udawał już absolutnie niczego i całko-

wicie pogrążył się w atmosferze klęski. Stawał się coraz bardziej milczący i reagował apatycznie albo, wprost przeciwnie, wybuchowo. Zmęczony włóczył się po domu, obojętnie mijając przestarzałe wiadomości w kalendarzu firmy IBM i w gazetce w przedpokoju.

– Teraz to matka organizowała rodzinne życie – opowiadał Kvido. – Patriarchat runął.

Ojciec Kvida spędzał teraz większość czasu w piwnicznym warsztacie: powrócił – jak zawsze w ciężkich czasach – do pracy z drewnem. Niemal ze wzruszeniem oglądał zakurzoną, wciąż jednak pachnącą tarcicę, pełen pokory dotykał gładkich sosnowych oklein, brał do rąk jaśnieńskie lipowe belki i ciemne deski z drewna śliwkowego, jakby usprawiedliwiał się przed nimi, że o nich zapomniał z powodu czegoś tak niedorzecznego jak podróże służbowe. Starannie posprzątał w piwnicy, naostrzył wszystkie szwedzkie dłuta na szlifierce, po czym, posmarowawszy je naftą, delikatnie przeciągał nimi po kamieniu arkansaskim. Potem powoli zabrał się do pracy: ciął, toczył, szlifował, kleił i lakierował. Nierzadko przy tym tracił poczucie czasu, więc zdarzało się, że kiedy nad ranem Kvido w półśnie człapał do ubikacji, spod ledwie uniesionych powiek dostrzegał, jak w łazience ojciec dopiero szykuje się do łóżka, splukując z dłoni drobniuteńkie resztki trocin. Innym razem nocą Kvido oglądał z matką telewizję, kiedy z głębi domu odezwał się wysoki ton grubościówki ojca; oboje zdrżeli przerażeni. Po chwili Kvido zauważył, że matka ma łzy w oczach.

– Mamo? – powiedział pytająco.

Pokręciła głową z bezsilnym uśmiechem. Nawet w słabym poblasku ekranu telewizyjnego widać było jej zmarszczki.

– Ojciec matkę, podobnie jak drewno, wytrawiał, czym podkreślał rysunek jej lat – opowiadał Kvido.

Nic dziwnego: albo był na portierni, albo w piwnicy, skąd wychodził tylko gdy szedł spać albo coś przegryźć, ewentualnie czasami obejrzeć wiadomości, które coraz bardziej go denerwowały, toteż nieraz odchodził jeszcze przed

końcem i wykonawszy kilka precyzyjnych nacięć w drewnie orzechowym, przynajmniej częściowo się uspokajał.

Dla matki Kvida stawało się to zbyt dużym obciążeniem: doradztwo prawne w zakładzie pracy, które w całości było na jej głowie, pochłaniało ją do tego stopnia, że często dopiero wieczorem wracała do domu, w którym panował wieczny bałagan, bo nie miał kto posprzątać. Kvido dzielił swój czas wyłącznie między pisanie opowiadań i studiowanie poradników seksuologicznych, zaś Paco, którego pierwotne, naturalne chłopięce zainteresowanie indiańskimi i traperskimi gramami przerodziło się w dziwny brak zainteresowania czymkolwiek innym, razem ze starszym kolegą, przezywanym Niedźwiedzią Skórą, całymi dniami włóczył się po lasach. W babci Libie, która w dalszym ciągu oddychała przez mokre chustki, roznosząc w ten sposób wodę po wszystkich pomieszczeniach, taki bałagan budził zgorzenie tylko do tego stopnia, by odmówić życia w nim, toteż, podobnie jak Kvido, zamykała się w swym pokoju. A dom podupadał.

Podupadał, ponieważ o wiele bardziej niż obrabianych na tokarce słupeków do poręczy na schodach wymagał codziennego sprzątania i bieżącego remontu. Ogród zarastał trawą i chwastami. Furtka ogrodowa, płot oraz ramy okien pilnie domagały się nowego lakieru. Przez okno w kuchni, które Paco rozbił skórzanym lassem, wiało zimnem. Część węgla, którego nikt nie posprzątał, rozmoczył deszcz. W domu kwiaty, do których matka nie sięgała, zwiędły, zaś w mikserze, którego nie udało się jej rozkręcić, od paru miesięcy gnęła resztką jakiegoś mlecznego koktajlu. Drzwi w przedpokoju były z obu stron rozdrapane przez psa, o którym ojciec zapominał. Z kranów kapiała woda, a szron w lodówce osiągnął taką grubość, że nie można było zamknąć drzwi. Lustro w łazience było zachlapane pastą do zębów tak, że stało się nieprzejryste, a muszla klozetowa, która zawsze lśniła czystością, teraz była usiana żółtymi plamami zaschniętego moczu.

– Fatalnie mi się pisało – opowiadał Kvido. – Taki chaos! Ja kocham porządek i symetrię!

Piątek wieczór. Kuchnia. Obecna jest wyłącznie matka Kvida. Z trudem stawia talerze na kuchennym stole, całkowicie zapełnionym brudnymi naczyniami, resztkami jedzenia, starymi gazetami, ochraniaczami futbolowymi, puszkami po farbie, kawałkami płyty pilśniowej i sosnową korą. Wyłącza palnik, na którym gotowały się parówki. Wychodzi z kuchni i staje na środku przedpokoju. Długa przerwa.

MATKA *(głośno, ze zmęczeniem)* Kolacja.
(Nikt się nie odzywa).

MATKA *(głośniej)* Kolacja!
(Nikt się nie odzywa).

MATKA *(krzyczy zdesperowana)* Kolaaacjaa!!!

KVIDO *(z pokoju)* Już idę!

OJCIEC *(z warsztatu)* Już idę!

BABCIA *(z pokoju, głosem tłumionym wilgotną chustą)* Pali się, czy co?
(Stopniowo wszyscy się zbierają).

OJCIEC *(do babci)* Nie widziała mama gdzieś mego dłuta?

BABCIA *(odstania twarz spod chusty)* Ja?! *(zastania twarz chustą)*

OJCIEC Takiego półokrągłego?

BABCIA *(odstania twarz spod chusty)* A do czego niby miało-
by mi być potrzebne? *(zastania twarz chustą)*

KVIDO Najprawdopodobniej do zrobienia półokrągłej
zapiekanki z bułek.

MATKA *(do Kvida)* Gdzie znów się podziewa Paco?

KVIDO U mnie w pokoju go nie było.

MATKA *(do ojca)* Gdzie jest Paco?

OJCIEC U mnie w warsztacie go nie było.

MATKA *(ze zdenerwowaniem)* No tak... Możesz sobie w ogó-
le przypomnieć, kiedy po raz ostatni go widzia-
łeś?

BABCIA *(odstania twarz spod chusty)* To chyba było dawno
temu! *(zdejmuje chustę)*

OJCIEC *(do babci z irytacją)* Nie mam czasu na to, aby pa-
trzeć na syna, skoro dzięki mamie muszę co go-
dzinę patrzeć na licznik elektryczny!

MATKA *(z westchnieniem)* Dajcie spokój. Ile komu parówek?
KVIDO *(przegląda gazetę)* Cztery.
OJCIEC Dla mnie jedna. Jakoś nie jestem dziś głodny. Coś tam zjadłem w pracy.
MATKA *(drwiąco)* Czyżby ludzie zaczęli już rzucać ci karmelki?
OJCIEC *(obrażony)* Dowódca dał mi całą kielbaskę czabajską!
BABCIA Ściągnęłaś osłonki? Przecież były z konserwy!
MATKA Były z konserwy, ale bez osłonek. *(ze zniecierpliwieniem)* Ile chcesz tych parówek?
BABCIA *(podejrzliwie)* Na pewno? Wierzcie mi, że ta folia jest dla żołądka prawdziwym mordercą...
MATKA *(z trudem się opanowuje)* Oczywiście.
BABCIA *(zerka do garnka)* Nie za bardzo mi się wydaje, żeby były rozebrane...
MATKA *(krzyczy)* Nie wyglądają na rozebrane, bo są n i e r o z b i e r a l n e!
BABCIA Bądź tak łaskawa i nie krzycz na mnie! Wciąż jeszcze jestem twoją matką.
MATKA Przepraszam! Myślałam, że jesteś wojewódzkim higienistą.
KVIDO *(pokazuje ojcu gazetę ze zdjęciem Vladimíra Remka na schodkach statku kosmicznego)* To się nazywa podróż służbowa! To musi być szczęśliwy człowiek!
MATKA Przestań prowokować. Jedzcie. Smacznego.
KVIDO Smacznego.
OJCIEC Nawzajem. Ten chleb...?
MATKA Ma już pięć dni. Nikt z was nie zrobił zakupów.
KVIDO Ja zdecydowanie nie mogę. Odkąd napisałem to opowiadanie, nie jestem w stanie wejść do sklepu samoobsługowego. Nie chcę ryzykować, że się tam psychicznie załamie...
MATKA *(stanowczo)* Jutro robisz zakupy, nawet gdybyś miał przedtem zażyć diazepam!
KVIDO Dlaczego ja? Niech idzie ojciec, jutro ma wolne...
MATKA *(ironicznie, patrząc przy tym na ojca)* Zwariowałeś? Ojciec przecież kończy tę intarsjowaną szachownicę! Sądzisz, że możemy mu przeszkadzać?

- KVIDO *(pogardliwie)* Na drzwiach szafy! Rany boskie! Pokaż mi szachistę, który chcąc zagrać, będzie kładł szafę pełną płaszczy!
- MATKA *(całkiem spokojnie)* Patrzysz na to zbyt praktycznie. Przede wszystkim jest to piękna rzecz! Coś w stylu długopisu z zegarkiem.
- (Ojciec chce coś powiedzieć, ale przeszkodzi mu w tym nadejście Paca, który ma na sobie kamizelkę z cielecej skóry, na szyi zawieszony na rzemyku kiel dzika, w ręku trzyma dłutko i jest bardzo brudny).*
- KVIDO Rozumiem, że ktoś nie lubi się myć, ale nie rozumiem, dlaczego w tym celu musi zostać wagabundą.
- MATKA Gdzie byłeś?! Dokończyć ten totem...
- OJCIEC *(zauważa dłutko)* Moim dłutem! Ja cię zamorduję!
- MATKA Dlaczego nikomu nie powiedziałeś, dokąd idziesz? Albo przynajmniej nie zostawiłeś wiadomości?
- PACO Zostawiłem wiadomość!
- MATKA *(podejrzliwie)* Zostawiłeś? Gdzie?
- PACO *(w bałaganie na kuchennym stole znajduje korę sosny)* Tutaj!
- MATKA *(ogląda nacięcia Paca)* Co to ma być?
- KVIDO Pismo obrazkowe.
(Krótka pauza).
- MATKA *(z rezygnacją)* W porządku, Paco, ale następnym razem zostaw nam raczej normalną, pisemną wiadomość. Tak jak piszesz w szkole, zgoda? My, blade twarze, posługujemy się alfabetem. Ile zjesz parówek?
- PACO Już jadłem. Niedźwiedzia Skóra upiekł mi gawrona.
(Matka chce coś powiedzieć, ale przerywa jej dzwonek telefonu. Ojciec zamiera. Do telefonu podchodzi Kvido. Matka idzie za nim).
- KVIDO Słucham? Cześć! *(woła do kuchni)* Dziadek! Znowu ze szpitala! *(ciszej)* A co ci się stało?... Aha... A widoki na przyszłość?... *(uśmiecha się)* Przesadzasz!... W Benešowie? Lepiej nie pytaj, nie rozumiem, jak Vančura mógł z tymi mieszcuchami wytrzymać... Nie, w szkole ogólnie całkiem dobrze... oczywiście z wyjątkiem dyrektora i tych obrazów w auli, mówiłem ci o tym?
- OJCIEC *(z niepokojem)* Uświadom sobie, że rozmawiasz przez telefon!

KVIDO Paco? Dobrze, właśnie zjadł na kolację gawrony... Nie, to nie był żart!... Żadnych jarzyn, na kolację były wyśmienite parówki, poważnie! Naprawdę nie ma to żadnego związku... słowo honoru!

MATKA Daj mi, proszę, dziadka!

KVIDO Ojciec? Nie, nie załamał się. Mówi tylko, że wszyscy go zdradzili. Zjedli jego kurczaki i wyemigrowali.

OJCIEC Zwariowałaś?! Powtarzam ci, że rozmawiasz przez telefon!

MATKA Daj mi go!

KVIDO Nie, nawet nie... (*uśmiecha się*) Tylko bardzo teraz zazdrości Remkowi... Kto to jest? Ty nie wiesz?! Nie czytasz gazet?... Aha. No tak... A co czytasz?... O życiu kogo?... Aha, o życiu!... A co u Zity?... Hm... Co poza tym?... Nie wiem. Matka zmusza mnie, żebym w czwartej klasie zrobił prawo jazdy. Normalne matki raczej starają się to wybić synom z głowy. Mam wrażenie, że jest opętana szybkością czy co!

MATKA Przestań bredzić i daj mi go!

KVIDO Ojciec?... Nie, znów przestał jeździć... Nie... Powiedział nam, że nie da się wrobić w nieumyślne zabójstwo. Podobno właśnie na to ci esbecy czekają...

OJCIEC (*krzyczy*) Odbierz mu słuchawkę albo wyrwę telefon ze ściany!

KVIDO Nie, to był ojciec... Muszę dać ci mamę... No to, do zobaczenia w niedzielę. Cześć!

VIII

1

Matka Kvida już wielokrotnie miała kłopoty z pocztą w Sázavie. Prócz tych kilku odklejonych zagranicznych znaczków, których stratę spokojnie mogła przeboleć, zginęły jej także całe listy, a nawet jedna czy też dwie książki zamówione w Klubie Czytelników. Natomiast przesyłki poleczone zaadresowane do pracy zupełnie bez sensu zatrzymywano na poczcie, toteż po pracy musiała odbierać je osobiście. Najczęściej jednak machała na to ręką.

Kiedy jednak owego niedzielnego popołudnia stała na korytarzu szpitala na Bulovce z tymi beznadziejnie zbędnymi zdjęciami rodzinnymi, brzoskwiniami w syropie i nową książką o dziejach Pragi, podczas gdy telegram informujący o śmierci dziadka, wysłany ze szpitala w sobotę o godzinie 11.35, wciąż jeszcze leżał gdzieś na poczcie, przysięgała, że tym razem nie puści tego płazem.

Jednakże po dwóch nieprzespanych nocach stwierdziła, że nie ma siły pójść na pocztę i kogoś, mając nawet ku temu prawo, oskarżyć, toteż prosiła ojca Kvida, aby ją w tym wyręczył. Ojciec, który wszelkie formalności związane z pogrzebem wziął, skądinąd taktownie, na swe barki, wzbraniał się przed tym. Twierdził, że jest rzeczą zbędną, aby właśnie teraz dokładać sobie jeszcze jedno zmarwienie i niszczyć i tak już zszarpane nerwy.

– Dajmy sobie z tym spokój – prosił ją.

Kvido słusznie zauważył, że za tym oporem ojca kryje się jeszcze coś innego – mianowicie jego powszechnie znana obawa przed najdrobniejszymi nawet konfliktami, która od owego incydentu z Kohoutem przybrała wręcz chorobliwe rozmiary. I to go rozdrażniło.

– Co to, to nie! – powiedział. – Jeśli ty boisz się tam iść, to ja pójdę.

Matka odgarnęła mu włosy z czoła. Musiała już trochę wspiąć się na palcach.

– Mógłbyś to zrobić?

Kvido zawahał się, lecz świadomość tego, że mają całkowitą rację, umacniała go.

– Myślę, że tak – rzekł.

Biuro kierownika poczty, do którego kazał się jeszcze tego samego dnia zaprowadzić, dzięki ciemnemu umeblowaniu i dywanowi w kolorze bordowym, sprawiało wrażenie nieco bardziej okazałe, niżby się Kvido spodziewał w wypadku tak małego urzędu.

– Usiądź – uprzejmie zachęcił go kierownik, lecz Kvido wolał stać. Kierownik uśmiechnął się.

– Domyślam się, co cię do nas sprowadza – powiedział.

– Ale pozwól mi, że najpierw wyrażę ci swe naprawdę szczere wyrazy współczucia.

Kvido uśmiechnął się nieznacznie, przyjął jednak wyciągniętą rękę.

– Rozumiem twe zakłopotanie – powiedział kierownik.

– Nam wszystkim naprawdę jest przykro z powodu tego, co się zdarzyło. Równocześnie jednak nie powinniśmy dopuścić, aby emocje wzięły górę nad rozumem. To mogłoby być bardzo złe...

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Wiesz, ja sobie nie wmawiam, że wszystko na naszej poczcie jest w idealnym porządku. Może nawet czasami popełniliśmy jakiś tam błąd i skarga, którą wniosłeś, jest do pewnego stopnia uzasadniona...

– Do pewnego stopnia?! – Kvido nie wytrzymał. – O czym pan mówi? Przyjechaliśmy w odwiedzinę do dziadka, a on był martwy. Cieszyłem się, że sobie porozmawiamy, a on był martwy! Czy pan w ogóle potrafi to sobie wyobrazić?!

– Oczywiście – rzekł kierownik. – Wierz mi, że uczyniliśmy już wszystko, aby w przyszłości coś podobnego się nie powtórzyło.

– To mnie cieszy – rzekł sarkastycznie Kvido. – Jako że mam jeszcze jednego!

Przeleciał wzrokiem po dyplomach honorowych na ścianie. Kierownik czymś go irytował, lecz na razie nie umiał określić, czym.

– Coś ci powiem – powiedział kierownik. – Tak to jest, że krytykować to każdy potrafi – nie miej mi za złe, że ci to mówię tak otwarcie. Łatwo jest burzyć, opluwać, ale z konkretną, realistyczną propozycją, jak robić różne rzeczy lepiej, przychodzi mało kto! Ty też z nią nie przyszedłeś.

– Ja?! – Kvido nie wierzył własnym uszom. – Czy to ja jestem kierownikiem poczty? Czy to ja znam się na problematyce urzędów pocztowych? Z jakiej racji ja miałbym coś ulepszać?! Czy to aby nie należy właśnie do pańskich obowiązków?

– No więc widzisz! – uśmiechnął się kierownik. – Sam przyznajesz, że nie znasz się na problematyce urzędów pocztowych, a rościsz sobie prawo do tego, by tę pocztę osądzać!

Kvido nie zdobył się na odpowiedź. Jego wściekłość narastała.

– Musimy po prostu uwzględnić możliwości, jakimi dysponuje nasza poczta – ciągnął kierownik. – Ludzi jest mało, obowiązków dużo, wszystkiego po prostu nie da się zrobić od razu. Nawet Rzym nie został zbudowany w ciągu jednej nocy!

– Proszę pana – powiedział Kvido, z trudem się opanowując – nikt od was nie wymaga, abyście w ciągu nocy zbudowali Rzym! Ale byłoby wspaniale, gdyby w przyszłości wystarczyło wam mniej niż czterdzieści godzin, by doręczyć telegram na odległość niespełna kilometra!

– Ze zrozumiałych powodów jesteś bardzo zdenerwowany, lecz nie pozwalasz mi dokończyć tego, co chciałem ci powiedzieć – rzekł kierownik z nieprzyjemnym uśmiechem. – A chciałem powiedzieć, że jesteśmy świadomi braków, lecz naiwnością jest sądzić, że możemy je usunąć od razu. Tylko niecierpliwa młodość, jak ta twoja, chce wszystkiego od razu. Mógłbym iść o zakład, że to jest także powodem, dla którego ze skargą nie przyszedł twój ojciec.

– Możliwe. Niemniej nie mogę zgodzić się z tym, że wszystkiego chcę od razu. Nie chcę. Nawet poczta nie

musi do mnie docierać od razu, w zupełności zadowolę się tym, że będzie do mnie docierać na czas. Przede wszystkim zaś telegramy i przesyłki ekspresowe. Jeśli chodzi o widokówki, mogę tolerować nawet dwu- bądź trzydniowe opóźnienie, aby mogły je przeczytać absolutnie wszystkie pana pracownice, a nie tylko te, które akurat mają zmianę, co w stosunku do pozostałych nie byłoby sprawiedliwe.

– To są...

– Nie mam nawet nic przeciwko temu, jeżeli któraś dla swego męża odklei jakiś tam znaczek, w końcu, jak rzekł Goethe, kolekcjonerzy są ludźmi szczęśliwymi, ale niech pan łaskawie dopilnuje, aby uszkadzały przy tym tylko te mniej ważne części tekstu!

– To, co mi tu mówisz, to są zarzuty, których prawdziwość musiałbyś najpierw udowodnić...

Kvido szykował się do wyjścia.

– Myślę – powiedział kierownik – że każdy krytyk powinien zacząć przede wszystkim od samego siebie. Dlatego, że...

– Rany boskie! – krzyknął Kvido. – O czym my tu w ogóle rozmawiamy?!

– O czym? – powiedział kierownik. – O czym? O tym, że w sposób demagogiczny pomijasz wszystko dobre, co na tej poczcie zrobiono. O tym, że zamierzasz oczernić wszystkich tych, którzy codziennie odwalają tu kawał dobrej roboty. O tym...

– Bynajmniej – rzekł Kvido zmęczony. – Wszystkich tych, którzy codziennie odwalają tu kawał dobrej roboty, oczywiście głęboko szanuję. Wkurzyła mnie tylko ta pańska towarzyszka, która z telegramu o śmierci mego dziadka zrobiła sobie prawdopodobnie zakładkę do Burdy!

– Im dłużej cię słucham – powiedział kierownik z lodowatym uśmiechem – tym bardziej uświadamiam sobie, jak dużo musisz się jeszcze nauczyć, by móc brać udział w takich dyskusjach jak ta nasza. Przede wszystkim zaś – spojrział karcąco na Kvida – kultury słowa. Zatem spróbuję ci to powiedzieć jeszcze inaczej: czy kiedykolwiek wysyłałeś od nas jakiś list ekspresowy, telegram z życzeniami, paczkę czy też jakąś sumę pieniędzy?

– Naturalnie – powiedział Kvido i bezskutecznie zastanawiał się, jakiego skrótu myślowego będzie świadkiem.

– Innymi słowy – powiedział kierownik znacząco – całkiem regularnie korzystasz z najróżniejszych naszych usług. Regularnie tobie i twojej rodzinie idziemy na rękę we wszystkich waszych wymaganiach, i wam wydaje się to oczywiste...

– Bynajmniej! – powiedział Kvido z wściekłością. – Pownowicie bynajmniej. To nam się nie wydaje oczywiste, ponieważ to j e s t oczywiste. Żadna z owych usług, o których pan mówił, nawet w najmniejszym stopniu nie wykracza poza ramy waszych podstawowych obowiązków. Poczty są właśnie po to, aby ludzie mogli z nich wysyłać paczki, telegramy i pieniądze, więc niech pan łaskawie nie stara się wmówić mi, że z samej wdzięczności powinienem się na dupie za każdym razem, kiedy przyniesiecie mi przesyłkę poleconą!

– A to, że nasza towarzyszka chętnie tresuje wam psa, którego wy sami nie jesteście w stanie opanować, to też jest oczywiste? – krzyknął gniewnie kierownik.

Takiego pytania Kvido się nie spodziewał.

– I że dziś chce się skarżyć nawet ten najpośledniejszy portier, to też jest oczywiste?!

Obraza tak uderzyła Kvida, że przez moment nie mógł złapać tchu.

Kierownik, czerwony z wściekłości, spojrzał na niego z nieukrywaną nienawiścią:

– Albo jego przemądrzały smarkacz?!

Popchnął Kvida brzuchem.

– Zmiataj stąd! – ryknął.

Wypchnął Kvida na korytarz i zatrzasnął za nim drzwi.

Kvido kilkakrotnie kopnął w nie z wściekłością.

Otworzyły się gwałtownie.

– Nie mów do nikogo per ty! – wyrzucił z siebie Kvido, uciekając.

2

Wprawdzie matka Kvida nigdy z absolutną pewnością nie mogła powiedzieć, że owa wyrwana kartka z 66. sonetem Szekspira, którą w poniedziałek wieczorem znalazła w paczce

z osobistymi rzeczami dziadka, rzeczywiście wyraża świadome życzenie, by stał się on mottem jego nekrologu, ponieważ jednak bardzo dobrze znała swego ojca i wiedziała, że z książką nigdy nie zrobiłby czegoś takiego, gdyby nie miał ku temu jakiegoś absolutnie wyjątkowego powodu, natychmiast w to uwierzyła. Po raz kolejny ze wzruszeniem czytała sonet i mimo bólu, który przeszywał ją na wskroś, odczuła niewielką pociechę, że jeżeli tylko poleci, by w nagłówku wydrukowano ten wiersz, da swemu tatusiowi jakąś dodatkową możliwość, aby raz jeszcze przemówił do najbliższych oraz swych dawnych przyjaciół czymś, co chyba naprawdę odczuwał przed śmiercią i co niewątpliwie wydawało mu się istotne.

– Los nie był jej przychylny – opowiadał Kvido redaktorowi.

Matka Kvida zrozumiała to w chwili, kiedy jej mąż wrócił z zakładu pogrzebowego w Uhlířských Janovicach. Gdy tylko wszedł, a ona zobaczyła wyraz jego twarzy, od razu wszystko pojęła – a nawet w duchu przez chwilę dziwiła się, jak mogła być aż tak naiwna.

– Nie da się! – powiedziała.

Kvido patrzył na ojca pytająco.

– Nie – powiedział ojciec.

Matka Kvida wróciła do stołu, dłońmi objęła filiżankę z herbatą, w końcu jednak nie napiła się.

– Nie da się – powtarzała w zamyśleniu.

– Robiłem, co tylko mogłem, ale ich w ogóle nie dało się przekonać. Nie mają tego cytatu na liście i basta.

– Na liście?

– Na liście dozwolonych cytatów – uściślił ojciec.

– Dozwolonych cytatów?! Szekspir jest niedozwolony?! Czy ja chcę, żeby wydrukowali mi cytat z Mussoliniego?! Czy ty powiedziałeś im w ogóle, że to jest Szekspir?!

– Powiedziałem.

Matka pochyliła się nad filiżanką.

– Jezus Maria – powiedziała.

Ojciec ostrożnie przysunął sobie do niej krzesło.

– To nie moja wina, wierz mi – powiedział. – Próbowałem temu facetowi wcisnąć wszystkie cztery stowy, jakie miałem przy sobie.

– No i co?

– Powiedział mi, że jeszcze nie widział nikogo, kto by za cztery stówy dał się zamknąć.

– Nie zgodził się na Szekspira! – matka Kvida potrząsnęła głową. – To już naprawdę mogą nam zakazać absolutnie wszystkiego.

– Tę muzykę – powiedział ojciec z jakąś niechęcią – tę muzykę też mi odrzucili. Na szczęście miał tam tego Mahlera.

– To wstrętne – powiedział Kvido. – Wstrętne, wstrętne, wstrętne!

– Przecież ci mówię – matka zaśmiała się gorzko. – Jutro zabronią nam żyć.

Ojciec Kvida objął ją.

– Człowiek nawet umrzeć nie może wolny?! – krzyknęła matka Kvida.

– Powiedziałem mu dokładnie to samo – odezwał się ojciec. – A on mi odpowiedział: drogi panie, jak żyjemy, tak też umrzemy.

– Ostatecznie to prawda.

3

Podczas uroczystości pogrzebowej Kvido nie uronił ani jednej łzy. Gapił się na trumnę zasypaną kwiatami i wieńcami i miał spodnie na kolanach, co zazwyczaj robił, siedząc u dentysty. Pełen gniewu słuchał tego zastępczego Mahlera i błogosławił matkę, że nie zgodziła się na jakiegokolwiek przemówienia. Myślał nie tylko o dziadku, ale także o jego przyjacielu Františku, o Zicie, o swym ojcu – i z cichym buntem szeptał wersy Szekspira.

W szkole bywał teraz milczący i rozdrażniony. Odszcze kiwał nie tylko kolegom, ale także przyjacielowi Špáli, a nawet nauczycielom. Nieustannie odkrywał wokół siebie jakieś kłamstwa.

– Co się z tobą dzieje? – pytał zaniepokojony Špála.

– Wszystko mnie wkurza – odpowiadał Kvido.

Atmosfera w domu po pogrzebie wydawała mu się nie do zniesienia, wołał więc zapisać się w sobotę na zbiór ziemniaków.

Odwieziono ich gdzieś daleko za Neveklov. Jak na koniec września było stosunkowo ciepło i przez kłęby chmur co chwila przedzierało się słońce, ale wiał silny wiatr, który na otwartej przestrzeni jeszcze przybierał na sile. Większość dziewczyn zawiązała sobie chustki na głowach. Miało to w sobie coś bardzo kobiecego i pierwotnego, podobnie jak sama praca, w której – jak stwierdził Kvido – na przestrzeni wieków niewiele się zmieniło: wciąż te same pochylone plecy, te same zręczne palce kobiet. Nagle, nie wiadomo dlaczego, przyszło mu do głowy, że wszystkie te szalone gimnazjalistki za parę lat będą matkami.

Dziewczyn było więcej, więc Kvido i pozostali chłopcy ledwo nadążali z odnośzeniem ich pełnych koszy na przyczepę. Jaruška wraz ze swą klasą była hen, na drugim końcu polnej drogi. Jej kosze zagospodarowywał tym razem jakiś inny chłopak, lecz Kvidowi było to obojętne. Zwinnie przeskakiwał bruzdy i rozmyślał o świecie.

Podczas przerwy usiadł nieopodal kolegów, oparł się o cienki pień dzikiej jabłonki i zmęczony obserwował, jak nad odległym leśnym horyzontem powoli przemieszczają się białoszare chmury. Nie odczuwał głodu, napił się tylko przydziałowej lemoniady.

– Co się z tobą dzieje? – odezwała się nagle Jaruška.

Miała na sobie własnoręcznie zrobiony sweter, który ciasno opinał jej piersi, oraz stare džinsy z szerokimi nogawkami, wciśniętymi do zakurzonych czerwonych gumiaków.

– A co niby miałyby się ze mną dziać? – powiedział Kvido.

– Nie wiem – powiedziała Jaruška i przykucnęła. – Coś. Zauważyła nierozpakowane drugie śniadanie.

– Nie jadłeś? – spytała.

– Nie. Przecież nie mogę jeść, skoro ty mnie nie kochasz!
– rzekł ironicznie Kvido.

Spod granatowej chustki oczy patrzyły badawczo.

– Co ci jest?

– Nic, do cholery! – wyskoczył Kvido. – Myślisz, że jeśli nie aportuję twoich koszyków, to od razu musi być ze mną coś nie tak?!

– Kvido? – powiedziała Jaruška ze zdziwieniem.

Dotknęła jego ramion.

– Co się z tobą dzieje? Kvido?

Zamknął oczy.

– Pochowaliśmy dziadka. Między innymi.

Po chwili powiedziała:

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Patrzyła na niego tak życzliwie, że Kvido musiał się uśmiechnąć:

– A dlaczego tobie miałbym o tym mówić? W ogóle go nie znałaś!

– A komu innemu? – powiedziała Jaruška poważnie.

W końcu opowiedział jej o wszystkim: o rozmowie telefonicznej z dziadkiem, o koszarnej wizycie w szpitalu, o kłótni na poczcie, o sonecie Szekspira.

– Znasz ten sonet na pamięć? – spytała Jaruška.

Siedziała obok niego w watomanej kurteczce i patrzyła na rzednącą koronę jabłoni. Kvido poczuł się zakłopotany. Recytował w obecności Jaruški przez długie lata, to jednak było co innego.

– Mógłbyś mi go powiedzieć?

– Tutaj?

Rozejrzał się: wiatr gonił po polu obłoki kurzu. Szpalerem drzew na odległej drodze przejeżdżał autobus. Zębate krawędzie zielonego horyzontu powoli pochylały się ku wiosce.

Jaruška wzięła go za rękę. Jego napięcie opadło. Przestał się krępować. Przypomniawszy sobie dziadka, z trudem opierającego się na poduszce szpitalnego łóżka. Zaczął recytować cicho, niezdecydowanie, ale z każdym wersem jego głos nabierał pewności:

W śmierć jak w sen odejść pragnę, znużony tym wszystkim:

Tym, jak rzadko zasługę nagradza zapłata,

Jak miernota się stroi i raduje zyskiem,

Jak czystą ufność krzywdzi wiarołomstwo świata,

Jak hańba blask honoru rychło brudem maże,

Jak żądza na złą drogę dziewiczość sprowadza,

Jak zacność bezskutecznie odpiera potwarze,

Jak moc pospólną trwoni nieudolna władza,

Jak sztuce zatykają usta jej wrogowie,

Jak naukę w pacht biorą ignorantów stada,

Jak prostą prawdomówność głupotą się zowie,
Jak dobro złu na służę najwyżej się nada.
Znużony – odejść pragnę; lecz chęć w sobie dławię:
Jeśli umrę, sam na sam z światem cię zostawię*.

– Recytowałeś bardzo ładnie – powiedziała Jaruška.
– Šperkova by się ucieszyła – rzucił Kvido i wysmarkał nos. – Chociaż, chyba nie. Ale być może mnie słyszał.
Jaruška pogłaskała go po grzbiecie dłoni.
Kvido zauważył, że pozostali obserwują ich, lecz było mu to obojętne.
W oczach pod chustką nagle błysnęły dwie iskierki.
– Pójdziemy jutro na sanki? – zapytała Jaruška.
A jednak ten Kohout miał rację – pomyślał Kvido. Normalnie ją zbajerowałem.

* *Sonet 66* Williama Szekspira w przekładzie Stanisława Barańczaka.

IX

1

Wiosną następnego roku, tuż przed tym, nim ojciec Kvida już na dobre zaczął mówić szeptem, matka Kvida, przygotowując pewnego razu śniadanie, stwierdziła, że zginęły gdzieś wszystkie szklanki i szklane garnki, które kiedyś przyniósł z pracy. Zdziwiona przeszukała wszystkie półki i szafki, lecz znalazła tylko dwa prastare kubki porcelanowe z obtłuczonymi uszkami i jeden słoik po dżemie morelowym. W końcu wpadła na pomysł, by sprawdzić w koszu na śmieci. Zachręściło w nim. Był pełen skorup.

Wtedy zawołała ojca i obdarzyła go pytającym, pełnym wyrzutu spojrzeniem.

– Czego tak na mnie patrzysz! Nie dam się przez was zrobić w przestępczość gospodarczą! – wydarł się ojciec.

Matka Kvida nie odezwała się ani słowem. Ze smutkiem pokiwała głową i nalala mu herbatę do gumowego naczynia, służącego do mieszania gipsu.

Był to ostatni raz, kiedy ojciec Kvida w domu krzyczał, bowiem w następnych dniach zaczął coraz częściej – a wkrótce tylko i wyłącznie – mówić szeptem. Sprawiało to wrażenie, że w domu całymi dniami ktoś śpi.

– Proszę cię, ojcze, dlaczego mówisz szeptem?! – Kvido pewnego dnia nie wytrzymał.

– Ja mówię szeptem? – szeptał zdziwiony ojciec.

– Tak! Mówisz szeptem. Mamo, proszę cię, powiedz mu, że mówi szeptem!

– Mówisz szeptem – potwierdziła matka. – Mówisz szeptem, rozbijasz szkło i chowasz nie wiadomo gdzie nasze książki i zdjęcia.

– Dlaczego to robisz?! – Kvido podniósł głos.

– O ile od razu ich nie spaliłeś – dodała matka. – Jak prawdziwy a g e n t.

Ojciec spojrział na nich badawczo i odkręcił kran na cały regulator.

Kvido syknął ironicznie.

– Mówię szeptem, ponieważ jestem pełen obaw – powiedział ojciec zachrypniętym głosem.

– Pełen obaw o co?! – wybuchnął Kvido. – O swój etat portiera?!

– O nas – powiedział ojciec. – Oni mogą wszystko; naprawdę nie możecie tego pojąć?

Nazajutrz po obiedzie w milczeniu zaprowadził Kvida i żonę do okna w sypialni i ostrożnie uchylił firankę.

– Popatrzcie, skoro mi nie wierzycie... – szepnął.

Kvido i matka spojrzeli w kierunku wskazanym przez ojca. W łuku linii kolejowej pod Skřivánkiem stał wśród drzew biały barak, który przywieziono tu przed dwoma dniami, a który stał się tymczasowym domem dla kilku robotników kolejowych, wykonujących w tunelu za zakrętem jakieś betonowe wtryski. Przed barakiem siedziało trzech mężczyzn.

– I co to, według ciebie, ma być? – spytała wprost matka Kvida. – Bunkier KGB?

Cała ta komedia wywoływała w niej obrzydzenie nie do zniesienia.

– Spójrzcie na tę antenę – zwracał im szeptem uwagę ojciec.

– Ojczy – powiedział Kvido niedowierzająco – to jest antena t e l e w i z y j n a.

– Obserwuję ich już od dłuższego czasu – powiedział ojciec, nie biorąc pod uwagę słów syna. – W sumie jest ich sześciu. Całkiem regularnie się zmieniają, ale, co jest bardzo interesujące, jeden z nich z a w s z e zostaje w środku.

– Ojczy! – krzyknął Kvido. – Oni naprawiają t u n e l! Każdy może ci to powiedzieć!

Ojciec spojrział na niego ze współczuciem.

– Tunel – szepnął. – Myślisz, że akurat i c h będzie interesować jakiś głupi tunel?

Przysparzał rodzinie zmartwień. Praktycznie zupełnie przestał czytać, snuł się z warsztatu do sypialni i z powrotem, a z ust ulewało mu się jak małemu dziecku.

– Był to prawdopodobnie wstępny okres jego psychozy – powiedział później matce doktor Liehr. – Ale te jego urojenia, biorąc pod uwagę właściwe znaczenie tego słowa, to nie są herezje! Przecież Służba Bezpieczeństwa nie jest widmem.

W ostrożności, z jaką ojciec Kvida unosił firankę, było tym razem coś, czego jego żona nie mogła znieść. Lubiła poczytać sobie w sypialni, lecz teraz, kiedy tylko wszedł tam ojciec, nie mogła z nim wytrzymać ani minuty; wychodziła, z hukiem zamykając za sobą drzwi. Niegdyś sławna historyjka ojca o jego stryju, który przez całe życie pracował w sklepie z artykułami żelaznymi i wydawało mu się, że jest damą dworu Ludwika XIV, w ogóle już nie wydawała się jej komiczna. Nad rodziną zaczęło się unosić widmo obłądu.

Pewnego dnia, kiedy ojciec Kvida nadzwyczaj długo pozostawał przy oknie, straciła cierpliwość. Gwałtownym ruchem zdjęła fartuch i wparowała do sypialni.

– A teraz siedź i patrz! – rozkazała.

Szybko włożyła buty, zdusiła papierosa i w ciągu pięciu sekund przeczesła włosy. Jej pośpiech wyglądał groźnie.

– Jeśli nie mają tam psa, to coś zobaczysz! – zawołała do męża i zatrzęsnęła drzwi.

Ojciec Kvida odwrócił się w kierunku syna, jak gdyby oczekiwał od niego wyjaśnień, lecz Kvido tylko niechętnie wzruszył ramionami. Wyjrzeni przez okno. Drobną postać matki zmierzała w kierunku białego domku. Z ulicy skręciła na drogę, po której dotarła do torów; a jako że musiała się przystosować do odległości między podkładami kolejowymi, jej chód zauważalnie się zmienił. Ojciec Kvida wstał i kilkakrotnie ciężko przełknął.

– Jeżeli znów zwymiotujesz, będziesz to sprzątać – ostrzegł go Kvido oschle, nie spuszczając matki z oczu.

Od baraku dzieliło ją raptem dwadzieścia metrów. Przypuszczalnie zawołała do mężczyzn siedzących na zewnątrz, bo obaj równocześnie spojrzeli w jej kierunku. Je-

den z nich – jak się zdawało – wyszedł jej parę kroków na przeciw. Kvido zauważył, że jest do połowy rozebrany. Przez kilka minut wszyscy troje rozmawiali stojąc, po czym zniknęli w baraku.

– Idę tam! – powiedział Kvido, kiedy minęło już czterdzieści minut, a ona wciąż nie wychodziła. Bezwiednie zaczął mu się udzielać szaleńczy strach ojca.

– Nigdzie! – wrzasnął ojciec, który w ciągu owych czterdziestu minut mniej więcej dwadzieścia razy przemierzył schody do piwnicy i zupełnie zapomniał mówić szeptem. – Nie zamierzam stracić jeszcze i syna!

– Ojczy, proszę cię! – powiedział Kvido. – Weź sobie oxa-zepam i uspokój się.

– Nie puszcę cię! – darł się udręczony ojciec. – Co ty o tym wszystkim wiesz?! Co ty wiesz o egzekucjach?! O masowych deportacjach?!

– Czubku! – syknął Kvido i wybiegł z domu.

Im bardziej bał się o matkę, tym większe rozdrażnienie odczuwał wobec ojca. Już będąc na drodze, mimowolnie zaczął biec. Na poczerńniętych kamieniach między szynami o mało nie zranił się w kostkę. Kiedy jednak zdyszany zatrzymał się przed podejrzanym białym domkiem, zastał tam tylko dwóch zaledwie o rok od niego starszych żołnierzy. Leżeli na rozpiętych śpiworach i podawali sobie jakąś do połowy opróżnioną butelkę. Nieufnie zmierz yli go wzrokiem.

– Jeżeli szukasz mamy, to oni już pojechali – zaśmiał się jeden z nich.

– Dokąd?! – krzyknął Kvido.

Żołnierz wzruszył ramionami.

– Dlaczego? – krzyknął Kvido głosem szaleńca.

– Nerev, človeče – rzekł inny żołnierz. – A upokoj sa. Ja som neni poliš*.

– Dobra, w porządku – powiedział Kvido i pobiegł z powrotem.

Zobaczył matkę dopiero w momencie, gdy w towarzystwie trzech innych żołnierzy szła przez ogród w stronę do-

* Nie wrzeszcz, człowieku. I uspokój się. Nie jestem gliną.

mu. Lekko pijana, śmiała się, a jej wymowa w znany sposób uległa zmiękczeniu.

– Jechałam drezyną! – pochwaliła się synowi.

Ojciec Kvida wyszedł na taras, niepewnie się uśmiechając.

– Čatár Miga, stavebné a železničné vojsko Praha – dowódca przedstawił mu się z pewnym trudem. – Ak nám, pán inžinier, naozaj neveríte, kludne vám podpíšem, že Gustáv Husák je starý kokot!*

– Dobra, w porządku – rzekł ojciec Kvida.

2

Lecz nawet ten konkretny dowód nie pozbawił go poczucia zagrożenia. W dalszym ciągu był bardzo bojaźliwy i chorobliwie podejrzliwy, nadal też cierpiał na nieustanne irracjonalne samooskarżanie. Kiedy Kvido lub jego matka przechodzili obok niego, uciekał wzrokiem. Matka Kvida mimo wszystko nie poddawała się. – Wyciągnę go z tego – mawiała z uporem. Instynkt podpowiadał jej, że zmiana środowiska mogłaby być dla niego korzystna. Obdzwoniła więc kilka zakładowych ośrodków wczasowych i w końcu udało jej się załatwić na pierwsze dwa tygodnie wakacji czteroosobowy pokój w małym schronisku w Karkonoszach.

Początkowo wydawało się, że pobyt w górach ma korzystny wpływ na ojca. Mnóstwo czasu spędzał na samotnych poszukiwaniach stosownego materiału rzeźbiarskiego i ciekawych korzeni, a przy okazji nieraz udało mu się nawet znaleźć parę cudownie zabarwionych czerwonych kozaków i zdawało się, że po długim czasie znów coś sprawia mu radość. Wybierał się z rodziną na niektóre krótsze wycieczki, wieczorami trochę biegał, a także więcej niż przedtem czytał. Ku wielkiej radości matki zaczął mu także dopisywać apetyt, a w schronisku Kolínská bouda zjadł nawet połówkę lodów z bitą śmietaną. Kiedy potem razem z Pakiem zanurzyli się po samą szyję w lodowatym potoku, matka Kvida

* Plutonowy Miga, wojskowa jednostka remontowo-budowlana, Praga. Jeśli nam pan, panie inżynierze, nie wierzy, spokojnie możemy dać panu na piśmie, że Gustáv Husák to stary kutas!

uznała jego szybki powrót do zdrowia za sprawę załatwioną, a Kvido bezskutecznie hamował jej entuzjazm.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że ten rodzinny urlop najbardziej służył właśnie Pacowi. Zbuntował się przeciwko mieszczańskiemu sypianiu w chacie i na skraju lasu, w splocie gałęzi krzywo rosnącej brzozy, szybko wybudował prowizoryczny hamak, w którym spędził wszystkie następne noce. W dzień uczył się wiązać węzły, wspinał się na skały i ćwiczył rzut nożem.

Zaświszczała pętla lassa,
Chudy kasztan cicho zarżał,
Młody kowboj się otrzepał
i wesoło sobie śpiewaaał...

– śpiewał Kvido, parodiując, kiedy jego młodszy brat, brudny i opalony, wyjątkowo pokazywał się w drzwiach pokoju – zazwyczaj tylko po to, aby matka usunęła mu kleszcze.

– I co z tego? – mawiał Paco buntowniczo.

Kvido także był zadowolony. Napisał kilka opowiadań, a nawet zdążył je przepisać na czysto, zaś ze zdań, których w końcu nie wykorzystał, ułożył jeszcze list do Jaruški.

– Pewnego popołudnia ojciec Kvida i Paco wybrali się tropić zwierzynę w lesie za schroniskiem. Zaledwie po dwudziestu minutach matka Kvida zauważyła ich z okna pokoju, jak idą przez łąkę z powrotem do domu.

– To nie jest jeleń! – wołała na nich. – Idzicie po śladach moich traperek!

Paco pogardliwie machnął ręką w kierunku ojca.

– Z nim to w ogóle nie ma sensu – powiedział.

– Co się stało? – spytała matka z niepokojem.

– Czegoś nie rozumiem – powiedział ojciec Kvida.

Kiedy przyszedł na górę, poprosił żonę, czy nie mogłaby mu raz jeszcze wyjaśnić wszystkich różnic między tak zwanym składaniem wyjaśnień a zeznaniem świadka.

Ręce matki Kvida na ułamek sekundy zatrzymały się na płycie, na której suszyła grzyby, lecz zaraz się ocknęła

i zbyła go jakąś dowcipną odpowiedzią. Ojciec jednak obstawał przy swoim.

Wzruszyła ramionami i życzliwie wyłożyła mu wspomniane różnice, jak również wynikające z nich konsekwencje prawne. Mówiła powoli, gdyż ojciec – zresztą jak zawsze – robił sobie notatki. Kiedy matka skończyła, zamysłony jeszcze przez chwilę patrzył na zapisaną kartkę.

– Zatem, jeżeli dobrze rozumiem, nieprawdziwe zeznanie w ramach tak zwanego składania wyjaśnień może podlegać karze grzywny, nie może jednak być przedmiotem ścigania sądowego? – rzekł wreszcie.

– Tak – powiedziała matka Kvida. – Dobrze rozumiesz. Jesteś w końcu człowiekiem z wyższym wykształceniem, a poza tym nie po raz pierwszy słuchasz tego wykładu.

Wszedł Kvido.

– O Boże – powiedział. – Znowu szkolenie?

– Bez wyjątków? – dopytywał się ojciec.

– Bez wyjątków – westchnęła matka.

Ojciec włożył notatki do kieszeni.

– Czekaj, czekaj – powiedział Kvido. – Ty tego papieru nie zjesz?! – Czemu przynajmniej nie wsadzisz go sobie do odbytu?! Czy ty w ogóle wiesz, na jakie niebezpieczeństwo narażasz całą rodzinę? Nie słyszałeś o masowych deportacjach na drezynach?

– Nie prowokuj – powiedziała matka. – Napisałeś już do babci?

– Tak – zaśmiał się Kvido.

– Pokaż! – powiedziała matka podejrzliwie.

Kvido wyjął z książki czarno-białą widokówkę.

– Gdzie ją zdobyłeś? – uśmiechnęła się matka. A na odwrocie przeczytała:

Matka w chacie w górskim lesie

Zapiekankę na stół niesie.

Niech nie dadzą się we znaki

Abstynencji złe oznaki!

– Genialne! – śmiał się ojciec Kvida.

Nazajutrz, gdy cała rodzina obudziła się, był przepiękny ranek.

– Przepiękny ranek wstał nad głęboką doliną na wschodzie gór Karkonoszy. Ciemne jodły i sosny stały na górach w szatach zroszonych – recytowała matka Kvida.

Zjedli obfite śniadanie, ojciec przygotował dla wszystkich wałówkę, matka włożyła ją do małego plecaka, po czym wyruszyli na kolejną wycieczkę. Zeszli w dół do Pecy i szli dalej do Obřígo Dolu, którym potem – przytrzymując się czasami żelaznych łańcuchów – wspięli się aż do podnóża Śnieżki. Stąd chcieli iść ścieżką przyjaźni polsko-czechosłowackiej ku schronisku Špindlerova bouda, aby na koniec, idąc wzdłuż Bílégo Labe, dotrzeć z powrotem do domu – to się jednak ojcu nie podobało. Zdawało się, że przede wszystkim przeszkadza mu fakt, iż wspomniana trasa prowadzi po części przez polskie terytorium państwowe.

– No to co z tego? – nie mógł zrozumieć Kvido.

– Nic – odpowiedział ojciec. – Nie chcę tamtędy iść. Nie lubię takich wspaniałomyślnych gestów.

– O Boże, jakich znowu gestów?

– Nie muszę udowadniać sobie wątpliwej odwagi faktem, że oddalę się trzydzieści kroków od kamienia granicznego!

– Ja przez ciebie zwariuję – rzekł Kvido.

– Dajmy temu spokój – powiedziała szybko matka. – Nie ma dyskusji. Idziemy!

Wzięła ojca za rękę, lecz ten wyrwał jej się z niepojętym uporem.

– Mówię, że tędy nie idę!

– Ale dlaczego? – powiedziała matka załamując ręce.

– Dlaczego? Ponieważ wydaje mi się zbędne, aby tutaj tak paradować, skoro tym tylko prowokujemy wopistów i skoro równie dobrze możemy iść inną drogą!

– O jakiej to prowokacji, do cholery, mówisz? – Kvido podniósł głos. – Ta trasa jest po prostu otwarta. Nie ma w tym nic złego!

Przechodzący turyści obejrzeni się ze zdziwieniem. Ojciec Kvida spuścił wzrok.

– Wszyscy tędy chodzą, popatrz tylko! – argumentowała matka.

Ojciec nieustępliwie kręcił głową.

Jego usta były mocno zaciśnięte.

Z trudem oddychał.

– Z nim to nie ma sensu – rzekł Paco.

– Ojczy! – rzekł Kvido zdesperowanym tonem. – Rozejrzyj się: w ciągu dziesięciu minut przed oczyma wopistów przejdzie tą trasą co najmniej setka ludzi!

Z jakiegoś powodu wydawało mu się ważne, aby ojca przekonać. Wprawdzie w wyrazie jego twarzy ubyłoby trochę stanowczości, tak że teraz wyglądał raczej na przygnębionego, niemniej znów pokręcił głową.

– Nie zniosę tych lornetek skierowanych na moje plecy – szepnął. – Nie zniosę myśli, że ktoś kiedyś może mnie jeszcze wylegitymować. Czy wy tego nie rozumiecie? Czy wy naprawdę nie możecie tego zrozumieć?

Spojrzał na matkę błagalnym wzrokiem.

– Nie, to nie może być prawda – rzekł Kvido. – Mamy ojca wariata.

– Może – powiedziała matka zdecydowanie. – Dobra, pójdziemy inną drogą.

– Odgrywa przed nami teatr – szepnął Paco Kvidowi do ucha. – Światowiec, Polska nie jest dla niego dość dobra!

3

Na początku września matka Kvida podjęła ostateczną decyzję, że swemu mężowi załatwi psychiatrę, gdyż, aczkolwiek niechętnie, zmuszona była stwierdzić, że tej jego dziwnej neurozy własną intuicją nie pokona.

Niepokoilo ją jednak ewidentne polityczne tło manii ojca i nie była pewna, w jaki sposób zareagowałby na to jakiś obcy lekarz; kiedyś w Wolnej Europie wysłuchała audycji o wykorzystywaniu psychiatrii do celów politycznych i chociaż owa relacja dotyczyła Związku Radzieckiego, ta myśl wciąż chodziła jej po głowie.

Wybrała się więc do Pragi do Zity, by się jej poradzić. Kino pękało w szwach – wyświetlano amerykański film pod tytułem *Szczęki* – pogoda wciąż jeszcze dopisywała, toteż Zita nie miała w szatni zbyt dużo pracy.

– Ten film trzyma w napięciu, ludzie siedzą cicho jak myszy – informowała matkę Kvida. – Prawdziwy przebój. Już piąty tydzień go wyświetlamy. Nie chciałabyś go zobaczyć?

– Raczej nie. A o czym to właściwie jest?

– Tego ci, dziewczyno, nie powiem. O pletwonurkach? – powiedziała Zita niepewnie. – Jeszcze tego filmu nie widziałam, ale wybieram się! – zapewniała ją.

Matka Kvida pogłaskała ją po rękawie ciemnogramatowego płaszcza.

– Najlepiej będzie, jeśli udasz się do młodego Liehra – Zita myślała na głos. – Jego ojciec był świetnym psychiatrą.

– Jak młodego? – matka Kvida zapytała z pewnym wątpiewaniem.

– Jest starszy od ciebie – uspokajała ją Zita. – Podobno jest dobry. Dostał stypendium w Stanach.

– Znasz go?

– Byłam pierwszą osobą na tym świecie, która go zobaczyła.

– Naprawdę? – matka Kvida uśmiechnęła się. – A gdzie teraz pracuje?

Zita wskazała palcem przed siebie.

– W Blaniku – powiedziała. – Jako palacz.

4

W październiku ojciec Kvida zaczął jeździć do doktora Liehra do kotłowni kina Blanik. Dzięki temu doszło do pewnej zmiany stosunku Kvida do ojca. Po raz pierwszy bowiem przypuścił, że dziwaczne zachowanie ojca i jego kapitulaniczne nastroje mogą być oznaką autentycznej choroby; psychiatra, w dodatku podobno bardzo zdolny, poznałby na pewno, że ojciec udaje, myślał Kvido. Dlatego też zaczął zachowywać się wobec ojca bardziej taktownie, co korzystnie wpłynęło na ich wzajemne stosunki.

Kiedy zbliżała się matura Kvida, często się razem uczyli. Siadywali w kuchni przy stole w przyjemnym świetle wiklinowej lampy – i liczyli. Kvidowi tradycyjnie już matematyka sprawiała trudności, zaś ojciec – inaczej niż w po-

przednich latach – całkiem spokojnie znosił jego niewiedzę i cierpliwie, w nieskończoność mu tłumaczył.

– Czy ten lekarz daje mu jakieś lekarstwa? – zapytał pewnego razu matkę, szukał bowiem jakiegoś wytłumaczenia.

– Nie daje – odpowiedziała matka. – To był mój warunek.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział Kvido i wciąż tylko wspominał, jak kiedyś ojciec w trakcie takiego douczania trząsał kalkulatorem w stół z taką pasją, że czerwone plastikowe przyciski fruwały po całej kuchni.

Czasami, kiedy Kvida zmęczyła matematyka, rozmawiali o ekonomii: ojciec Kvida z cichą nostalgią mówił o niektórych teoriach z lat sześćdziesiątych, które wtedy darzył sympatią, a których – jak się okazało – nadal nie chciał się wyrzec. Matka Kvida od czasu do czasu rzucała na nich przeciągłe spojrzenie: Kvido drapał się po głowie, ojciec zapelniał zeszyty schematami ruchu towarów, zaś z owłosienia na jego nadgarstkach spadały na białe kartki mikroskopijne resztki trocin.

Z upływem czasu Kvido cokolwiek zrozumiał z ekonomii, toteż mógł potem przed kolegami z klasy wypowiadać najróżniejsze sarkastyczne uwagi pod adresem gospodarki narodowej.

– To jest nasz ekonomista – mawiali o nim.

Wprawdzie Kvido chętniej słyszałby o sobie, że jest pisarzem, ale lepsze było to niż nic. Na zadziwiająco nieśmiałą propozycję ojca, czy nie chciałby zdawać na studia do Wyższej Szkoły Ekonomicznej, zgodził się dobrowolnie.

– W podjęciu tej decyzji najistotniejszą rolę odegrały w sumie trzy czynniki – opowiadał później Kvido. – Wdzięczność za opiekę, którą otaczał mnie wówczas chory ojciec, dziecinne marzenie, aby z podróży służbowej przywieźć rodzicom kuchenkę mikrofalową oraz jugosłowiańska piosenka *Procvale su ruže i vijole*.

X

1

Pewnego ciepłego wakacyjnego wieczoru, kiedy w zakolu rzeki lśniła odbijająca się w wodzie blada poświata księżyca, Kvido poprosił Jaruškę, aby mu pokazała pleć. Jaruška wzdragła się. Pokręciła przecząco głową, utkwivszy wzrok w ciemnej, mokrej trawie, i gdy tylko Kvido chciał coś powiedzieć, zakrywała mu usta rozgrzaną dłonią.

W ostatnim dniu przed wyjazdem Kvida na studia do Pragi w lesie nad Białym Kamenem rozebrali się. Stali w skarpetkach na igliwiu i czuli się nieswojo. Kvido, który prawie nic nie widział, przypominał sobie o kurzej ślepcie ojca. Jaruška nie wytrzymała takiego stania, skuliła się więc na stercie ubrań. Kvido z zażenowaniem uklęknął obok niej, przypominając sobie ową wesołą oczywistość, z jaką Jaruška rozbierała się przed nim w dzieciństwie, jak również owo spokojne, ukryte za okularami spojrzenie zaciekawionego badacza, z jakim wówczas ją obserwował. Żadne z nich nie wiedziało, co robić.

– Ubierzmy się – szepnęła Jaruška.

Kvido wyciągnął ręce przed siebie w otaczającą ciemność i z przestrachem natknął się na biust. Jaruška przytuliła się do niego bezradnie. Kvido zagryzł wargi, jęknął z bólu, po czym zmoczył jej brzuch swą lepką rozkoszą.

– Nie szkodzi – szepnęła Jaruška.

Kiedyś widziała to na filmie.

Jeszcze po upływie półtora roku, pod koniec trzeciego semestru, nie miał Kvido za sobą nic prócz mniej więcej tuzina podobnych prób zakończonych fiaskiem. Dręczyło go to. Na całym świecie nie było rzeczy, która dręczyłaby go bardziej.

– Moje problemy nie wynikały z braku teoretycznego przygotowania, wręcz przeciwnie, miały swe źródło w tym, że na temat seksu wiedziałem zbyt dużo – opowiadał później Kvido. – O defloracji przeczytałem absolutnie wszystko: wiedziałem o zalecanych pozycjach, znałem optymalny kąt nachylenia, ciśnienie oraz temperaturę, całą masę psychologicznych i technicznych finezji, wiedziałem dobrze, czego powinienem się wystrzegać, umiałbym nawet bladej, mdlejącej dziewczynie, która właśnie stała się kobietą, udzielić pierwszej pomocy, tylko że, prawdę mówiąc, po dziś dzień nie pojąłem, jak to wszystko połączyć w jedno. Nawet teraz nie do końca rozumiem, jak można być jednocześnie „pewnym siebie, delikatnym i naturalnym”, nawilżając prezerwatywę wazeliną.

Ponadto do problemów, z jakimi borykał się Kvido, dołączyły się jeszcze problemy Jaruški. Oprócz jej braku doświadczenia było to przede wszystkim uczulenie na najróżniejsze kwiaty i trawy, których pyłki wywoływały u niej rozległe opuchlizny twarzy, a czasami nawet duszące ataki kaszlu. Własnego pokoju, gdzie spokojnie mogliby się spotykać, nie posiadali, a więc za każdym razem umawiali się gdzieś na dworze – dlatego też słowa Jaruški „Tutaj nie!” najczęściej oznaczały „Na sianie nie!”, „W macierzance nie!” albo „Koło tych paproci nie!”. Co oczywiście nie ułatwiało Kvidowi zadania.

Znalezienie w okolicach Sázavy naturalnego spadku terenu, na którym, według poradników, defloracja jest rzekomo najłatwiejsza, nie sprawiało trudności. Znalezienie takiego załamania terenu, które byłoby łatwo dostępne, a równocześnie skryte przed wzrokiem przechodniów, jest już stosunkowo trudniejsze – opisywał później Kvido. Znalezienie skrytego i dostępnego załamania terenu z odpowiednim kątem nachylenia, na którym równocześnie nie rośnie ani jedna z mniej więcej sześćdziesięciu absolutnie powszechnych roślin, jest prawie że niemożliwe. Możecie mi wierzyć! Jedynym takim miejscem w promieniu trzech kilometrów jest ukośny betonowy wjazd do zbiornika przeciwpożarowego – oczywiście o ile wcześniej ze szczelin między płytami powyrywacie wszystkie pędy dzikiego rumianku...

I tak z upływem czasu współżycie, owa radosna gra dwóch ciał, stało się dla Kvida i Jaruški nieprzyjemnym zadaniem. Kiedy Kvido w piątek pod wieczór wracał z Pragi, brali się za ręce i chodzili spełniać to zadanie, w milczeniu, w nieco ponurym nastroju, jak dwoje ludzi idących do pracy na nocną zmianę – a świadomość wcześniejszych przegranych z góry ich przerażała. Byli niezręczni, konwulsyjni i zdesperowani. Jedyne randki, podczas których śmiali się beztrąsko i żartowali, odbywały się o dziwo zawsze wtedy, kiedy Jaruška miała okres. Czasami opowiadali sobie o tym, jak dawniej chodzili na sanki i sami siebie pytali, co takiego teraz stało się pomiędzy nimi.

Pewnego razu Kvido zadał Jarušce pytanie:

– Czarny ptak z nieba spadł, siadł na całej ziemi skrzydłami czarnymi – co to jest?

– Nie wiem – powiedziała Jaruška pytająco.

– Seks – ponuro odpowiedział Kvido.

Z książek wiedział także, jak w podobnych wypadkach należy postępować: seksuolog w poradni zabroni na jakiś czas współżycia nieszczęśliwej parze, a para, uwolniona w ten sposób od traumatycznego przymusu, przy najbliższej okazji spontanicznie i szczęśliwie złamie jego zakaz – lecz, paradoksalnie, właśnie fakt, że znał tę metodę, nie pozwalał mu jej zastosować.

– Taki jest los intelektualisty – gorzko użalał się Kvido. – Taka jest rola wszelkiego poznania.

2

Gdyby Kvido nie był prawiczkiem i tak się tym nie przejmował, jego brak zainteresowania studiami ekonomicznymi, jaki niebawem zaczął odczuwać, przywiódłby go być może na znaną ścieżkę swawolnego młodzieńca na studiach.

– Mogłem się włóczyć po kawiarniach i kochać subretki z teatru – opowiadał Kvido. – A tak tylko włóczyłem się po kawiarniach.

Przesadzał: chadzał do kina i do teatru, a przedstawienia wybierał pieczołowicie. Co prawda rzeczywiście codziennie jakiś czas spędzał w kawiarni w Domu Narodowym,

lecz nie próżnował i z czasem napisał tu mniej więcej dwieście opowiadań; trzy z nich wysłał do czasopisma „Mladý svět”. Natomiast wieczory spędzał o wiele, wiele bardziej przyzwoicie, niżby sobie życzył – z babcią Věřą i dziadkiem Josefem. Dziadek słuchał Wolnej Europy i Głosu Ameryki.

– Mam, udało się! – wykrzykiwał za każdym razem, kiedy wreszcie złapał stację. – A teraz niech no bolszewicy trzymają kapelusze!

Babcia Věra wzdychała i, mając usta pełne szpilek, z trudem obchodziła futro zawieszona na manekinie.

Na szczęście stosunkowo wcześnie kładli się spać. Kvido pomagał im w skomplikowanym ślaniu łóżek: na kuchennym stole układał barykadę z materacy z tapczanu tak, aby dziadkowi nie przeszkadzało światło lampy. Potem zmiatał rozrzucony ligustr, sam wsuwał się między materace i długo do nocy czytał, opierając książkę o klatkę pobrudzoną przez papużki. Czasami napisał list do Jaruški albo kolejne opowiadanie, ale uczył się tu sporadycznie, a niebawem wcale.

Studia przynosiły mu coraz więcej rozczarowań. Uczył się liczyć całki, odmieniać rosyjskie rzeczowniki i przedłużać krzywe rozwojowe zużycia sztucznych skór aż do przyszłego wieku – lecz nie miał pojęcia, na co się to przyda. Wy tłumaczyli mu, w jaki sposób przed stu laty organizował się proletariát, w jaki sposób w Portugalii hoduje się korkowe dęby i w jaki sposób należy włączyć sery pleśniowe do nomenklatury towarowej – lecz nikt nie umiał mu wytłumaczyć, po co mu to wszystko tłumaczą. Kvido oczekiwał, że gdzieś w rozkładzie zajęć w pewnym momencie pojawi się jakiś kluczowy, podstawowy przedmiot, który wszystkie te szczegóły połączy i nada im sens – jak na przykład dom daje w końcu sens wcześniejszym kupom piasku, drewna i rurek – czekał jednak nadaremnie. Całymi godzinami opowiadali mu o zakładaniu i rozwiązywaniu jakichś pradawnych organizacji robotniczych, ale nic nie mówili o ludziach współczesnych. Domyślał się, w czym rzekomo mylił się jakiś pan Dühring, nie domyślał się jednak, w czym sam się myli. Nie umiał począć dziecka, umiał natomiast po niemiecku zamówić obrabiarki.

– I wszystkim było to obojętne – opowiadał Kvido. – Przywłaszczali mnie sobie niczym owi kapitaliści, bez jakiegokolwiek rekompensaty.

Jego notatki z wykładów – o ile w ogóle jeszcze na nie chodził – były coraz bardziej chaotyczne. W końcu zaniechał pisanie nagłówek oraz numerowania poszczególnych stron, toteż pod koniec trzeciego semestru pozostała mu tylko jakaś gmatwanina kartek, w których nie dało się już połapać.

– No, nie wiem, jak to będzie z tą kuchenką mikrofalową – powiedział Kvido i wyrzucił notatki.

Mimo wszystko udawało mu się zdawać egzaminy; ba, najczęściej od razu w pierwszym terminie. Skrypty otwierał w przeddzień wieczorem i ze wstrętem je przeglądał. Nazajutrz drażnił kolegów jakąś specyficzną apatią, którą prawdopodobnie mieli za pozę. Zawsze potem coś tam powiedział egzaminatorowi, lecz jemu samemu wydawało się, że żałośnie mało. Nie mógł zrozumieć, dlaczego go jeszcze nie wyrzucili. Czasami życzył sobie tego. Fachowy styl skryptów uczelnianych oraz podręczników, w których dla człowieka i dla prawdziwego życia nie pozostawało już miejsca, jakoby go dławił. Kiedy wieczorem przynosił sobie jakąś dobrą nowelę albo powieść, czuł się jak ryba, która z kadzi wraca do morza. Przeciągał się z rozkoszą.

3

Wiosną babcia z dziadkiem wyjechali na tydzień do Sáza-vy i Kvido został sam w ich małym mieszkanku. Szwendął się po pokoju i myślał o tym, że latem skończy dwadzieścia lat. Kiedy w pewnym momencie przyłapał się na tym, że trzyma za piersi krawiecki manekin babci, zrozumiał, że tak dalej być nie może.

Pozmywał naczynia, odkurzył, pościerał kurze i na wszystkie doniczki nałożył worki foliowe. Potem wsiadł do pociągu i pojechał do Benešova po Jaruškę. Powiedziała, że najpierw musi zapytać w domu i że przyjedzie wieczorem. Kvido tymczasem wrócił do Pragi.

Przyjechała w kremowobiałym sweterku, spod którego, oprócz sutek, wzruszająco prześwitywały także naiwne ra-

dy którejs z koleżanek. Kvido uśmiechał się smutno.

Zjedli kolację i wypili po lampce wina.

Zjedli lody śmietankowe i wypili kawę.

Poszli do pokoju i słuchali z płyt gramofonowych Louisa Armstronga.

Kvido położył głowę na kolanach Jaruški.

Zamknął oczy.

– Chodźmy się położyć – zaproponował.

– Brakuje tu załamania terenu – z powagą zauważyła Jaruška.

– Nieważne – odrzekł Kvido.

Zdjęli ubrania i położyli się obok siebie.

Milczeli.

– Musimy sobie coś wyjaśnić! – rzekł Kvido, sięgając na stół po czarny pisak.

NIE KOCHAMY SIĘ, ALE SPEŁNIAMY ZADANIE – napisał na brzuchu Jaruški drukowanymi literami.

Jaruškę łaskotało to, nie broniła się jednak.

Kto nam powierzył to zadanie? My nie! – kontynuował pisanie.

Miał wrażenie, że dociera do sedna czegoś zasadniczego.

Jeżeli myślę, nie kocham – napisał ze wzruszeniem.

– Będziesz to musiał zmyć – powiedziała Jaruška, lecz do Kvida to nie docierało.

NIE KOCHAM – A MIMO TO JESTEM! – zapisał triumfalnie tuż na granicy podbrzusza.

I poczuł się wolny. Namiętnie pocałował Jaruškę. Nagle ogarnęło go gwałtowne pożądanie.

– Kvido? – zdziwiła się Jaruška. – Co robisz?

Kvido sprawdził się.

Rano obudził się przed siódmą. Jaruška jeszcze spała. Zza rolety wdzierało się do pokoju miękkie, żółte słońce. Ubrał się cicho, nabazgrał wiadomość dla Jaruški i wyszedł na ulicę. Tramwaje dzwoniły radośnie. Na rabacie nieopodal rynku kwitły bratki. Z apteki wyszła ciężarna Cyganka. Przed sklepem z artykułami gospodarstwa domowego zdejmowano z półcięzarówki emaliowane zielone wanny. Z dachu delikatesów wzbiło się w powietrze stado gołębi. Kvi-

do, przechodząc koło sklepów, oglądał obrazy, ekspresy do kawy, garnitury, mięso wieprzowe, pierścionki i leżaki ogrodowe. Życie jest cudowne, stwierdzał. Kupił sześć rogalików, masło, szynkę, jajka, pomarańcze, płyn do kąpieli, prezerwatywy i „Mladý svět”. Kiedy wertował go w roztarznieniu, na ostatniej stronie znalazł wydrukowane grubą czcionką własne nazwisko pod opublikowanym opowiadaniem *Odpust*.

– Rzucę te studia – rzekł głośno.

– Rzucę te studia, będę kochać Jaruškę i pisać opowiadania – powtarzał.

Kilku przechodniów obejrzało się za nim.

– I jak powiedział, tak też uczynił – opowiadał Kvido.

XI

1

– Dlaczego, na Boga, portier?! – krzyczała matka Kvida, kiedy w piątek po powrocie z Pragi poinformował ją, że rzucił studia i że w fabryce szkła będzie na nocnych zmianach pracować jako portier. – Czy wyście wszyscy powariowali?!

– Będę miał czas na pisanie i czytanie – rzekł Kvido.

To cudowne, wyzwalające uczucie minionych dni dawno gdzieś zniknęło; teraz czuł się już raczej tylko skruszony. Było mu przykro, że matka nie chce tego zrozumieć: przecież jasno jej powiedział, że „przejrzał i że chodzi tu o początek czegoś nowego” – a ona wciąż mówi o „poddawaniu się” i o „końcu”. Postanowiła nawet nie jechać na jutrzejsze spotkanie abiturientów.

– Wiesz dobrze, że nie lubię się zbyt chwalić – gniewała się – ale że bym musiała się wypierać własnej rodziny to już stanowczo za dużo!

– Chyba nie masz się czego wstydzić – rzekł Kvido urażony.

– Rzeczywiście, nie mam – uśmiechnęła się gorzko matka. – Jeden mierny kowboj, jeden portier z wielką przeszłością, a drugi – pogardliwie spojrzęła na egzemplarz „Mladého světa” – z wielką przyszłością!

– Każdy początek jest trudny – filozofował później Kvido – ale niektóre początki to istna katastrofa.

O ile nieoczekiwana decyzja syna była dla matki Kvida szokiem, to dla jego ojca był to prawdziwy cios. Kvido był ostatnim człowiekiem na świecie, z którym wiązał jeszcze nadzieje; od Paca na razie nie mógł zbyt wiele oczekiwać, bowiem nie wyglądało, żeby się znał jeszcze na czymś in-

nym poza piosenkami ludowymi i spaniem pod gołym niebem. Nagle jego jedyne marzenie prysło.

Zupełnie już przestał opuszczać piwniczny warsztat. Spał tam, a matka nosiła mu tam nawet jedzenie. Za każdym razem spędzała w piwnicy jakieś pół godziny. Kiedy wracała na górę, Kvido unikał jej spojrzenia.

Przez parę ostatnich miesięcy ojciec Kvida zajmował się przede wszystkim powierzchniową obróbką drewna, i to nie tylko klasycznym bejcowaniem i woskowaniem, ale również długo wzgardzonym polerowaniem politurą szelakową, gdyż czasochłonność owego tradycyjnego sposobu nabierała w jego oczach coraz większych zalet. Polubił także patynowanie, czyli imitowanie wieku drewna za pomocą farby proszkowej. Teraz jednak z piwnicy coraz częściej dolatywał odgłos frezarki.

– Cóż on tam znowu wytwarza? – dopytywał się Kvido Paca, nie znajdował bowiem odwagi, aby wprost zapytać matkę.

– Najprawdopodobniej Pinokia – skrzywił się Paco. – Chyba z nas dwóch nie jest zadowolony.

– Drewnianego menedżera! – śmiał się Kvido.

Był ostatnio bardzo osamotniony, toteż cieszył się, że ma w Pacu sprzymierzeńca, i czasami nieznacznie mu się podlizywał.

Z niedzieli na poniedziałek Kvido miał pierwszy dyżur.

Późnym popołudniem wsypał sobie do słoiczka po przecierze owocowym dwie porcje kawy, dwie duże kromki chleba posmarował masłem i miodem; czasy, kiedy jego matka piekła kołacze i drożdżówki z nadzieniem, chyba bezpowrotnie minęły.

– W kawie jest strasznie dużo rtęci – oznajmiła mu babcia Líba, która śledziła jego przygotowania.

– No i co z tego – powiedział Paco. – Z kolei w herbacie jest stront.

– To straszne! – krzyknęła babcia. – Tego w ogóle nie wiedziałam...

– No, to porządnie tam pilnuj – rzekł Paco, który wyczuł, że jego starszy brat jest nie w sosie.

– Hm – powiedział Kvido.

Matka milczała.

Kvido otworzył drzwi do piwnicy.

– Pa, tato! – zawołał. – Wychodzę!

Z piwnicy wiało tylko chłodem i ciszą.

Kvido wzruszył ramionami i wyszedł. Matka Kvida stała w kuchni przy oknie, lekko odgarnęła firankę i długo za nim patrzyła.

Przed portiernią fabryki szkła czekała na Kvida Jaruška. Miała na sobie białą bluzeczkę bez rękawów, którą własnoręcznie zrobiła na drutach, a w ręku trzymała dwa jabłka i czekoladę. Dopiero po latach Kvido docenił jej irracjonalną odwagę czy może wiarę, z jaką wtedy niezmiennie pozostawała u jego boku, aczkolwiek wiedziała, że w najbliższym czasie nie może jej dać nic z tego, co nazywamy perspektywą. Nie miał ani wykształcenia, ani mieszkania, nie miał pieniędzy i groziło mu wojsko.

Kvido rzucił się ku niej z dziką radością, aby zagłuszyć dręczący go niepokój.

– Dziewczynko – szeptał, okrywając jej nagie ramiona zadziwiająco niecierpliwymi pocałunkami.

– Kvido! – upominała go Jaruška. – Tu są ludzie!

– A niech sobie będą! – Kvido tulił ją do siebie.

– Poczekaj, Kvido, muszę ci coś powiedzieć!

Kvido cofnął się przestraszony.

– Stało się coś strasznego – powiedziała Jaruška.

Kvido poczuł jakieś nieznane ukłucie gdzieś za mostkiem.

– Co takiego? – spytał przestraszony.

Jaruška rozejrzała się wokół, podeszła bliżej i nieśmiało podciągnęła białą bluzeczkę.

NIE KOCHAMY SIĘ, ALE SPEŁNIAMY ZADANIE – przeczytał olbrzymie zaczerwienione litery na skórze brzucha Jaruški. Nie zdążył więcej – zrozpaczona Jaruška opuściła bluzeczkę.

– Spuchło mi to – powiedziała niemal z płaczem. – Jestem uczulona na pisaki.

Kiedy w poniedziałek rano Kvido wrócił z nocnej zmiany do domu, zastał matkę przy kuchennym stole. Widać było, że w ogóle nie spała. Przed nią stała pełna popielniczka.

– Nie spałaś? – spytał troskliwie Kvido.

– Cicho – powiedziała. – Ojciec śpi. I jak było?

Wprawdzie wyraz jej twarzy nie świadczył o zbyt dużym zainteresowaniu, ale Kvido cieszył się, że zadała mu to pytanie.

– W sumie spokojnie – odrzekł.

Opowiedział jej o swym pierwszym obchodzie: wylazł aż na dach budynku administracji.

– Jutro o dziesiątej pomacham do ciebie – powiedział. – Wypatruj mnie.

– Spałeś? – spytała matka.

– To ja ciebie o to pytałem.

– Tak, tylko wcześniej wstałam – odpowiedziała na odczepnego. – A ty?

Kvidowi błysnęło w oczach:

– Zgadnij, gdzie!

Po raz pierwszy tego ranka na twarzy matki pojawił się ślad uśmiechu.

– W moim biurze?

Kvido wesoło przytaknął.

– Założę ci tam poszwę na jeszcze jeden koc – powiedziała matka. – Tato też tam sypia.

Wszedł Paco.

– Czemu nie śpicie? – rzekł sennie.

– Czołem, Sokole Piórko! – przywitał go Kvido. – Zjesz z nami jajko?

– Nie krzyczcie! – powtarzała matka. Znów przybrała poważny wyraz twarzy. – Mówię wam, że ojciec śpi.

– Po południu skosimy z Pakiem ogród – obiecywał Kvido.

– Ani mi się śni – rzekł Paco pogardliwie z pełnymi ustami. – Kicham na tę waszą mieszczczańską m u r a w ę!

Matka nagle gwałtownie wstała.

– Muszę wam coś pokazać, chodźcie – poleciła im.

Wyszła z kuchni i zeszła po schodach do piwnicy. Kvido i Paco, nie pojmując, o co chodzi, poszli za nią.

W warsztacie ojca przywitał ich znany zapach drewna i rozmoczonego kleju stolarskiego. Od razu na pierwszy rzut oka widać było, że wciąż panuje tu surowy porządek: gotowe, drobne wyroby leżały wzdłuż jednej, nieobrobiona tarcica wzdłuż drugiej ściany. Na półce z narzędziami nie brakowało ani jednego dłutka, pilnika czy piłki. Na półce pod oknem stały w równym szeregu puszki z lakierami, a pędzle w słoikach z rozpuszczalnikiem. Podłoga była zamieciona. Na środku stołu leżało kilka długich obrobionych już desek.

Matka Kvida zaczęła je układać ze stanowczym skupieniem. Kvido i Paco spojrzeli na siebie pytająco. Pod rękami matki szybko powstało coś pośredniego między olbrzymią skrzynią na kwiaty a szafą na pierzyny. Kiedy jednak odwróciła ostatnią z desek, z przestraczem zobaczyli ogromny, precyzyjnie wyrzeźbiony krzyż.

– Wasz ojciec – powiedziała matka i głos jej się załamał – przygotowuje sobie trumnę.

Matka Kvida postanowiła, że jeszcze tego samego dnia zadzwoni z pracy do doktora Liehra.

– No i co? – dopytywał się Kvido, kiedy wróciła.

Widok syna, będącego prawdopodobnie główną przyczyną dalszego rozwoju psychozy ojca, zdenerwował matkę Kvida.

– Nic! – ucięła.

– Jak to, nic?

– Jutro mamy do niego pojechać – powiedziała westchnąwszy. – Na razie mamy dopilnować, aby nie wchodził do środka.

– Świetna rada – rzekł Kvido. – No a jak on to sobie w ogóle wyobraża. Mam stać obok niego?

Matka przeszła go oskarżającym wzrokiem.

– No dobra – zgodził się Kvido. – Będę go obserwować przez piwniczne okienko.

Ledwie do powiedział, ojciec somnambulicznie przeszedł koło nich, ściskając w palcach świeżo polakierowaną deseczkę. Wyszedł na próg, aby w dziennym świetle sprawdzić dostateczną intensywność kruczej czerni. Kvi-

do nie wiedział, czy powinien ojca uderzyć czymś w głowę, czy paść mu do nóg.

– No i widzisz – powiedziała matka.

Od tego dnia w domowej atmosferze na zawsze zagościło coś nieznośnie przygnębiającego. Kvidowi wydawało się, jakby przygnębianie dosłownie emanowało z tych kilku desek i przenikało cały dom. Bezskutecznie starał się tę atmosferę rozładować dowcipem, bezskutecznie starał się skierować uwagę na coś innego. Rozmowa grzęzła, a nastroj padął.

– Trudno żartować z człowiekiem, który zasiada do stołu z rękami pełnymi drzazg z własnej trumny – opowiadał później Kvido. – Ta trumna była mistrzowskim przykładem tak zwanego *autopatynowania*.

3

– Tożsamość? Wszyscy ją przecież tracimy – rzekł naza jutrz doktor Liehr do matki Kvida. Ojciec Kvida pojechał do rodziców do Nusli, a ona tymczasem zaprosiła lekarza na kawę. Siedzieli w Luksorze.

– Pani sama, na przykład – ciągnął doktor Liehr – mówi, że bez Pragi prawie nie mogła pani żyć, ale i tak została pani na wsi. Marzyła pani o rolach w teatrze albo przynajmniej o pozostaniu w jego bliskości, a teraz ogląda pani telewizję. Panicznie boi się pani psów, ale kupuje sobie wilczura. A teraz niech mi pani powie, które pani Ja jest prawdziwe.

Matka Kvida wydeła wargę. Doktor Liehr podobał się jej. Patrzyła na jego ładną, szeroką brodę i trochę zazdrościła swemu mężowi. Zawsze życzyła sobie, by mieć własnego psychiatrę. Wydawało jej się, że jej problemy byłyby dla niego tak samo interesujące jak problemy jej męża. Potem nagle, ni z tego, ni z owego, objawił się jej obraz własnego męża, który sprawdza szerokość trumny w nogach – i zawstydzila się.

– A tak na marginesie, namalował mi całkiem ładne rysunki – rzekł doktor Liehr. – Takie, można by powiedzieć, kwieciste.

– Tak? – powiedziała niepewnie matka Kvida. Doktor powiedział to jakoś dziwnie.

– I żywo interesował się muzykoterapią...

– Chce pan powiedzieć, że...

– ...że on gra. Przede mną.

– Ale dlaczego?

– Najprawdopodobniej boi się mnie. Nie wierzy mi. Fakt, że przyjmuję pacjentów w kotłowni, nie jest dla niego wystarczającym dowodem.

– Panie doktorze – spytała po chwili matka Kvida – czy jest coś, co tak naprawdę mogłoby mu pomóc?

– Jakaś udana kontrrewolucja – odpowiedział doktor bez wahania.

Matka Kvida uśmiechnęła się smutno.

– Do tego czasu – rzekł doktor wesoło – musimy go jakoś zabawić!

4

Kvido, rzecz jasna, podczas obchodów poruszał się bez porównania szybciej niż jego starsi koledzy, toteż zawsze zaoszczędził jakieś pół godzinki, które mógł gdzieś w spokoju spędzić, nie obawiając się, że ktoś zauważy jego nieobecność. Teraz latem najczęściej spędzał je na dachu budynku administracyjnego. Szybko tak się do tego przyzwyczaił, że co wieczór nie mógł się już doczekać, kiedy będzie mógł opuścić tonące w zaduchu biura, wyjść po metalowej drabinie, otworzyć ciężką klapę – a potem już tylko wdychać ten potężny nawał świeżego nocnego powietrza.

Zazwyczaj siadywał na wykonanej z rur konstrukcji podpierającej olbrzymi czerwony neon CHWAŁA KOMUNIZMOWI, którego instalację przed kilku laty polecił wykonać towarzysz Šperk, a który to oni, portierzy, musieli zapalać po zapadnięciu zmroku. Poszczególne litery, większe niż sam Kvido, zwabiały oczywiście całe chmary nocnych muszek i ciem, co czasami bywało kłopotliwe, ale z drugiej strony stąd był naprawdę wyjątkowy widok na całe miasteczko: na pociemniałą dolinę rzeki, na lśniąca srebrzyście powierzchnię wody, na sylwetkę kościoła,

na zasypiające osiedle. Widać było także dom Šperka z niewysoką psiarnią oraz opuszczoną willę Pavla Kohouta z charakterystyczną wieżyczką zbiornika wodnego.

Minutę przed godziną dziesiątą wspiał się na rurki, podpierając literę I, która swym kształtem, rzecz jasna, dawała najlepsze możliwości na chwilowe zasłonięcie, i ostrożnie przywarł do niej plecami. Matka Kvida stała już w tej chwili przygotowana w kuchni koło okna, trzymając rękę na kontakcie – a kiedy widziała, że litera na oddalonym neonie zgasła, kilkakrotnie włączyła i wyłączyła światło. Kuchnia miała dwa okna, toteż z punktu widzenia Kvida wyglądało to tak, jakby domek na niego po przyjacielsku mrugał.

Z czasem rytuał ten przyjął się do tego stopnia, że matka Kvida (a później także Jaruška) wykonywały go może nie obojętnie, ale zupełnie automatycznie, jak gdyby podświadomie. Absolutna rzeczowość, z jaką przed godziną dziesiątą patrzyły na zegarek i z jaką później – choćby w trakcie rozmowy – stawały przy oknie, utkwivszy wzrok w świecącym komunistycznym transparencie, niejednego gościa wprawiała w zakłopotanie. Ze względu na nieregularny rozkład dyżurów Kvida nieraz zdarzało się, że matka o dziesiątej patrzyła na nienaruszone hasło, podczas gdy Kvido, rozba-wiony, stał za jej plecami. Ostatecznie nie traktował umówionego pozdrowienia z jakimś nabożnym szacunkiem, i to tym bardziej, że jego zadanie było zasadniczo trudniejsze; kiedy pogoda była brzydka, z dużą niechęcią otwierał klapę, a kiedy potem, biczowany śniegiem lub deszczem, opierał się plecami o neon, wygłaszał pod adresem swoim, matki, a wkrótce także Jaruški, dzikie przekleństwa.

Pewnego dnia Kvido odkrył w kącie dachu starą belę czarnej asfaltowej papy i wpadł na pomysł, który kosztował go mniej więcej dwadzieścia minut pracy i brudne paznokcie, prawie niemożliwe do wyczyszczenia: zakrył papą ostatnie siedem liter, toteż z wybiciem godziny dziesiątej jego matka na nocnym niebie zobaczyła następujące odważne pytanie bez pytajnika: CHWAŁA KOMU.

– Zwariował czy co? – jęknęła przerażona matka i natychmiast obejrzała się, czy aby nie ma w pobliżu ojca Kvi-

da, dla którego takie widowisko z pewnością oznaczałoby natychmiastową śmierć. Kiedy ponownie spojrzała na niebo, po pytaniu nie było już śladu.

5

– Żyjemy w kłamstwie – Kvido cytował Kafkę, i to nie tylko wtedy, kiedy stał pod neonem na dachu. Mawiał tak do siebie, podsłuchując pod drzwiami sal posiedzeń, czytając gazetę, rozmawiając z ludźmi.

W następny poniedziałek dyrektor zakładu wezwał portierów na krótką naradę, aby omówić z nimi nowy system zamykania poszczególnych pięter budynku administracji. Kiedy mówili o mieszczącej się na jedenastym piętrze maszynowni windy, z niewiadomego powodu pomylił się i mówił o piętrze dwunastym. Po chwili ktoś mechanicznie go poprawił. Jednakże w pamięci Kvida – czego sobie na razie nie uświadamiał – utkwiło coś, co miał niebawem nieoczekiwanie wykorzystać: kiedy bowiem dwa dni później, nocą, szykował się w biurze matki do tradycyjnej trzygodzinnej drzemki, w ułamku sekundy nagle zobaczył przed sobą dokładnie zarysowany temat swej pierwszej noweli, opartej właśnie na podobnej zamianie.

Szybko wstał, zapalił lampkę i usiadł przy biurku. Mimo iż wydawało się to poniekąd śmieszne, poruszał się bardzo ostrożnie, jakby nie chcąc tej kruchej, niematerialnej substancji, jaką miał przed oczyma, w jakiś sposób spłoszyć. Okazało się jednak, że przeniesienie jej na papier kancelaryjny matki jest wyjątkowo proste, ba, idzie to szybciej, niż nadaża pisać. Pod ręką ożywał mu absurdalny, równocześnie jednak tak dobrze znajomy świat – świat w milczeniu tolerowanego kłamstwa.

Fabula noweli była następująca: dyrektor pewnego dużego przedsiębiorstwa mianuje na stanowisko kierownika straży zakładowej swego człowieka. Ów człowiek jest chory psychicznie – jest paranoikiem – co jednak dyrektorowi nie przeszkadza; dla niego liczy się wyłącznie fakt, że nowy dowódca robi dokładnie to, o co on go poprosi – i o nic nie pyta. Dowódca od swego przyjscia opętany jest wieloma

przedziwnymi urojeniami; niektóre są raczej komiczne, inne mogłyby być niebezpieczne dla ludzi. Jedną z jego obsesji jest przekonanie, że jedenastopiętrowy gmach przedsiębiorstwa ma pięter dwanaście. Toteż zmusza strażników, aby robili obchody również na nieistniejącym piętrze, a raczej aby u d a w a l i, że je robią. Ten kto się sprzeciwi, za cichą zgodą dyrektora ma obcinaną premię i jest w najróżniejszy sposób represjonowany. Odwołanie się do prawa i zdrowego rozsądku okazuje się niemożliwe – ci, którzy mają czuwać nad prawami pracowników, boją się dyrektora. Dlatego portierzy w swych meldunkach zaczynają wymieniać także obchody na dwunastym piętrze; przy czym niektórzy się śmieją, inni wściekają. O ile jednak meldunek ma być wiarygodny, trzeba także na dwunastym piętrze codziennie odnajdywać wszystkie pospolite usterki: rozwalone zamki, nieszczelne krany, wybrzuszone linoleum, awarie automatu do lemoniady. Rzecz jasna meldunki drogą urzędową wędrują dalej – do budynku administracji gospodarczej, do konserwatorów, do sprzątaczek. Zatem konserwatorzy z szyderczymi uśmieszkami wykazują zmyślane naprawy zmyślonych rzeczy. Sprzątaczkę, pukając się w czoło, pozorują mycie fikcyjnych korytarzy. Pracownicy, zatrudnieni do mycia okien, spokojnie fakturują umycie okien, które w rzeczywistości nie istnieją. Powstaje zwariowany, kłamliwy łańcuch. Porywa za sobą wszystkich. Nienormalne zostaje pasowane na normę.

Do napisania swej debiutanckiej noweli *Sprawa dwunastego piętra* potrzebował Kvido nieco ponad trzy tygodnie. Ostatniej sierpniowej niedzieli zapakował rękopis i w poniedziałek rano przesyłką ekspresową wysłał go do praskiego wydawnictwa, którego redaktor recenzował jego pierwsze opowiadania.

– Literatura czeska – komentował później Kvido – nie może już dłużej czekać.

6

– Miły młody przyjacielu! – rzekł tym razem redaktor do Kvida zaraz na wstępie ich pierwszego osobistego spotkania. – Pan jest tak rozkoszne naiwny!

Kvido przestraszył się, że gdzieś w jego rękopisie jest coś, co dowodzi jego naiwności, toteż przybrał minę pełną usprawiedliwienia.

– Czyżbyśmy mogli powiedzieć, że pierwocina jest literaturą? Czyżby to była normalna, standardowa książka? – pytał redaktor.

– A nie jest? – rzekł prostodusznie Kvido.

– Oczywiście, że nie! – wykrzyknął, śmiejąc się, redaktor.

– To jazda treningowa, wstępna próba albo runda rozgrzewająca, niech pan to sobie nazywa, jak się panu podoba, ale przede wszystkim nie jest to przecież literatura. Pierwocina jest całkiem zwyczajnym kwestionariuszem kadrowym!

– Kwestionariuszem kadrowym? – nie pojmował Kvido. Stwierdził, że jest niewybaczalnie niedoświadczony.

– No oczywiście! – śmiał się redaktor. – Pan naprawdę o tym nie wiedział? – A tak na marginesie: wie pan, czego tam panu najbardziej brakuje? Postaci r o b o t n i k a.

– Robotnika? – zdziwił się Kvido.

– Człowieku – rzekł redaktor – bez robotnika się pan nie obejdzie. Któż bowiem wytwarza wartości? Robotnik! Nie portier.

– Nie znam żadnego – wyznał Kvido.

– No to niech pan jakiegoś pozna! – polecił mu redaktor.

XII

1

Matka Kvida przez całą zimę zastanawiała się, w jaki sposób rozerwać swego męża, aby zaniechał myśli o śmierci. Praktycznie zakończył już pracę nad trumną, toteż lękała się tego, co będzie dalej.

Pewnego dnia, podczas gdy ojciec wyścielał swe ponure dzieło bogato marszczonym białym atlasem, wezwała obu synów.

– Zamknijcie gdzieś tę sukę – poleciła im. – Chcę wam coś ważnego powiedzieć.

Paco zamknął Urocą w pokoju i przysiadł się do kuchennego stołu obok Kvida i matki. Matka przez chwilę obserwowowała ich w milczeniu.

– Istnieje chyba już tylko jeden sposób, żeby go z tego wyciągnąć – powiedziała po chwili. – Dziecko. Jestem przekonana, że dziecko go rozerwie.

– Dziecko? – zawołał Paco i spojrzał na Kvida. Wizja, że do rodziny, do opętanej mistyką babci i na wpół zwariowanego ojca przybędzie jeszcze niemowlę, obu ich, delikatnie mówiąc, przerażała. Poza tym matka miała czterdzieści lat.

– Twoje dziecko – wyjaśniła matka Kvidowi i objęła go poważnym spojrzeniem.

– Że co?! – jęknął Kvido. – Czy ja dobrze słyszę? Co to znowu za idiotyzm?

– To jedyne wyjście – powiedziała matka. – Musisz to dla niego zrobić.

– Ja chyba śnię! – Kvido złapał się za głowę. – Własna matka namawia mnie, abym dziewczynie narobił kłopotów! Nie wystarcza ci, że zmusiłaś mnie do zrobienia pra-

wa jazdy? Zachowujesz się zawsze absolutnie odwrotnie niż powinnaś. Normalne matki błagają swych synów, by byli ostrożni! W końcu doczekam się, że będziesz mnie prosić, czy nie mógłbym się gdzieś nabawić rzeźączki!

Matka spojrzała z wyrzutem.

– Przepraszam cię – rzekł Kvido. – Trochę wyprowadzasz mnie z równowagi. Dlaczego, do cholery, nie pomoże mu ten sławny lekarz?

– Bo ojciec się go boi – powiedziała matka rzeczowo. – Obawia się, że jest z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych...

– Może i jest – rzekł Paco.

– Nie wtrącaj się do spraw, o których nie masz pojęcia – zrugła go matka. Następnie barwnie przedstawiła im ową cudowną metamorfozę, jaką spowoduje pojawienie się w domu tej malutkiej istotki.

– Czyż ktoś może pozostać obojętny wobec maleńkich rączek, które błagalnie wyciągają się ku niemu? – pytała matka. – Czy ktoś może pozostać obojętny wobec wytrzeszczonych oczek, które go z zaciekawieniem obserwują?

– Pewnie – rzekł Paco. – W końcu z tej trumny zrobi kołyskę.

– Nie cierpię tego typu dowcipów! – wybuchnęła matka.

– Niech Paco przyniesie jakieś dziecko z lasu – proponował Kvido. – Z pewnością już tam jakieś ma.

– Kvido – powiedziała matka. – Ja mówię poważnie. W ten sposób przynajmniej trochę odkupisz swą winę.

– Jaką winę? – jęczał Kvido. – Czy ten doktor nie może mu dać jakichś proszków? Nie rozumiem, dlaczego tak się przed tym bronisz?

– Powtarzam ci – powiedziała matka. – Proszki, które nie mają skutków ubocznych, ojcu nie pomogły. Innych próbować nie pozwolę, ponieważ nie chcę żyć z jakimś innym człowiekiem niż ten, za którego wyszłam.

– O Boże – westchnął Kvido. – A co ta jego jugosłowiańska kochanka? – spytał ostrożnie. – Czy ktoś już z nią rozmawiał?

– Ty – powiedziała matka spokojnie. – Bynajmniej ci tego nie wypominam, też chciałam to zrobić. Przypuszczam, że nie ma czasu.

– Nie ma – potwierdził Kvido. – Jak się o tym dowiedziałeś?
– Widziałam rachunek za telefon.
– Czy ja dobrze słyszę? – zawołał Paco. – I wy tak spokojnie o tym rozmawiacie? To jest obrzydliwe.
– Takie jest życie, Paco – powiedziała matka.
Kvido unikał jej wzroku.
– Liczę na ciebie – powiedziała, kiedy ich spojrzenia się spotkały.

– A zatem – rzekł Kvido nazajutrz Jarušce – jeśli chcesz rzeczywiście wyjść za mnie i mieć ze mną dziecko, dlaczego nie mielibyśmy zrobić tego zaraz, ausgerechnet, jeśli ojcu rzekomo ma to pomóc?

Jaruškę to – jakżeby inaczej – nieco zaskoczyło, ale zaraz potem zgodziła się niemal ochoczo.

Kvido, który mimo wszystko spodziewał się dłuższego wahania, ucieszył się wprawdzie, lecz z drugiej strony z trudem mógł to zrozumieć:

– Dlaczego ładna dwudziestoletnia dziewczyna ni stąd, ni zowąd postanawia, że dwóm portierom urodzi dziecko? – pytał ze zdziwieniem.

– Oczywiście dlatego, że z mało interesującej posady programistki chce uciec w macierzyństwo! – Jaruška ze złością powtórzyła domysł, wygłoszony przez niego dzień wcześniej.

– No to dlaczego?

– Jezus Maria! – zawołała Jaruška. – Nie zauważyłeś jeszcze tego, że cię kocha?

Jednakże zadaniowy charakter ich misji był dla Kvida jak zwykle traumatyczny. Dotychczas dobrowolnie, a zatem również z ochotą oddawał się współżyciu, lecz sama myśl o owym kluczowym wieczorze, podczas którego będzie musiał na rozkaz matki wypuścić do przygotowanego jajeczka Jaruški kilkadziesiąt milionów swych plemników, deprymowała go.

– Jeśli zdążymy jeszcze w tym miesiącu, to ojciec może dostać dzidziusia na urodziny – śmiała się Jaruška.

– Tylko mnie nie poganiaj – rzekł Kvido. – W najgorszym wypadku złożymy mu życzenia później.

Jaruška od razu wyczuła to – dobrze jej znane – podenerwowanie. Była wprawdzie zdecydowana zgodzić się na to, aby jej Kvido popisał nie tylko brzuch, ale nawet całe plecy, zdobyła bowiem skuteczne przeciwalergiczne tabletki, lecz intuicyjnie – i słusznie – obawiała się, czy aby taki trik można wykorzystać częściej niż jeden raz. Trochę się tym martwiła: nie licząc placka z borówkami, żądane dziecko było pierwszym zadaniem, jakie powierzyła jej przyszła teściowa, i dlatego chciała się z niego wywiązać jak najlepiej. Codziennie o tym myślała, aż w końcu pomógł jej przypadek. Kiedy pewnego wieczoru oglądała telewizję, przypomniała sobie, jak kiedyś Kvido rozbawił ją, opowiadając o swym niecierpliwym czekaniu na filmy niedozwolone dla dzieci, a zatem oznaczane gwiazdką, których oglądania odmawiano mu w dzieciństwie przez długie lata. Wpadła na wariacki pomysł.

Owego szczególnego dnia zaprosiła Kvida do mieszkania swej koleżanki. Na stole leżały przygotowane już kanapki, butelka szampana i prażone migdały, lecz Kvido w obcym środowisku nie czuł się dobrze. Zaczynał rozumieć, co to znaczy odpowiedzialność piłkarza strzelającego rzuty karne, o czym ojciec kiedyś mu opowiadał. Kilkanaście razy sprawdził zasłony w oknach, lecz mimo to wydawało mu się, że bez przerwy ktoś go obserwuje, patrząc mu przy tym na rozporek. Kiedy Jaruška wreszcie zniknęła za drzwiami sypialni, był już całkowicie załamany.

– Zawołam cię! – poinformowała go.

Rzekł kat – pomyślał Kvido.

Tymczasem Jaruška w lewym dolnym rogu szklanych drzwi nakleiła dużą, czteroramienną gwiazdkę, wyciętą z białej kartki. Następnie przygotowaną niebieską chustką przykryła lampkę przy łóżku i zapaliła ją.

– Juuuz! – zawołała.

Kvido posępnie spojrział na drzwi – i zaskoczony wstał. Ostre ramiona gwiazdki na olbrzymim ekranie drzwi obiecywały rzeczy dla dzieci na tyle niewskazane, że ze wzruszenia przełknął ślinę. W niebieskawym półmroku rysowały się kuszące cienie i jak okiem sięgnąć nie było nikogo, kto mógłby Kvidowi wyłączyć ten program. Poczul twardą erekcję.

– Chodź! – powiedziała Jaruška.

Na początku kwietnia Jaruška i Kvido odwiedzili praskie kino Jařta; przysřli parę minut przed szóstą, a więc film już wyświetlano – w programie był amerykański obraz *Planeta małp*. Kvido kupił bilet, chociaż przypuszczał, że i tak seansu nie zobaczy do końca, a Zita z Jarušką za zgodą kierownika zamknęły się w biurze kina. Wartka akcja filmu szybko wciągnęła Kvida, toteż kiedy po mniej więcej dwudziestu minutach błysnęło mu w twarz światło latarki, odebrał to jako niemiłe zakłócenie.

– Proszę iść za mną! – poleciła mu bileterka.

– Już? – zdziwił się Kvido.

– Cicho! – odezwało się z tłumu.

Zita i Jaruška stały w foyer. Twarz Jaruški oblana była rumieńcem.

– Tak, to prawda, Kvido! – uśmiechnęła się Zita.

– Naprawdę? – rzekł Kvido. – Czy to pewne?

– Pani ordynator jeszcze nigdy się nie pomyliła! – zapewniła go koleżanka Zity.

Kierownik przyszedł złożyć gratulacje młodej parze, a wszystkie obecne szatniarki i bileterki od razu go naśladowały, ustawiając się w uporządkowanym szeregu.

– Dziękuję, bardzo wam dziękuję – odpowiadał zmieszany Kvido.

– Pozdrów rodziców! – powiedziała Zita.

– Chciałbym wam coś powiedzieć – rzekł Kvido w domu podczas kolacji.

– Na temat? – spytała matka nieufnie, gdyż w rodzinie coraz więcej było tematów tabu.

– Na temat dzieci – rzekł i przeszył matkę wzrokiem.

Matka Kvida z zainteresowaniem odłożyła sztucę.

– Wszyscy cię słuchają – powiedziała, ogarniając wzrokiem stół. Ojciec przerzucał w ustach wciąż ten sam kęs i patrzył na talerz.

Paco stroił miny. Babcia przez pomyłkę napiła się kefiru przez mokrą chustkę, toteż na materiale pozostało gęste, białe koło.

– Jako że jednego właśnie się spodziewam – rzekł Kvido.

– Dziecka.

– Dziecka? – z radością zawołała matka. – Naprawdę? Czy to pewne?

Kvido pokazał matce bilet z kina Jałta, jak gdyby to było potwierdzenie ciąży.

– To świetnie! – radowała się matka. – Czy nie wydaje się wam to cudowne? Będziemy tu mieli dziecko! Umiecie sobie wyobrazić, jakie to będzie wspaniałe, kiedy to małe stworzenie po raz pierwszy wytrzeszczy na nas ślepki? Kiedy będzie do nas wyciągać te maleńkie rączki? Kiedy będzie do nas wydymać usteczka? Albo kiedy zacznie nam tu paplać wszystkie te pierwsze słówka?

Pochyliła się, aby pocałować Kvida.

– Nominacja do Oscara – szepnął.

Matka spojrzała na współbiedniaków rozpromienionymi oczyma. Z wyjątkiem Paca, który wyraźnie świetnie się bawił, nie wydawało się, żeby dzielali jej radość.

– No i co ty na to? – zwróciła się do ojca, chcąc usłyszeć jego zdanie.

– Że nie ma za grosz odpowiedzialności – powiedział ponuro ojciec.

– Ale dlaczego? – nie zgadzała się matka. – Jest dorosły, zarabia, publikuje...

– Tylko człowiek szalony może w takich czasach począć dziecko! – szeptał ojciec.

Matka, wzdychając wesoło, wzruszyła ramionami.

No i masz – miał oznaczać gest, jaki Kvido adresował do matki.

To się zmieni – obwieszczało optymistycznie jej spojrzenie.

– Jak będzie miał na imię, jeśli to będzie chłopczyk? – zastanawiała się głośno.

– Diazepam – rzekł Kvido. – Po dziadku.

– Mam rozumieć, że będą mieszkać w pokoju dziecięcym? – podejrzliwie dopytywała się babcia Líba.

– Tam będziesz ty – odpowiedziała zdecydowanie matka. – Oni pójdą na górę, na poddasze.

– A ja? – rzekł Paco.

– Od kiedy ty pragniesz sypiać w domu?

– Ślub majowy, grób gotowy – babcia Líba mściwie ostrzegła Kvida.

Dlatego też ślub musiał się odbyć jeszcze w kwietniu; jedynym wolnym terminem w sali obrzędów miejscowego słynnego klasztoru była sobota, trzydziestego.

– Trzydziestego nie mogę – kręcił głową ojciec Kvida. – Kładę z piłkarzami wieńce pod pomnikiem.

– Wieńce kładzie się wieczorem – matki Kvida nie przekonały jego argumenty. – A ślub jest przed południem o jedenastej.

– Stracę część przyjęcia – zarzucił ojciec.

– Nie udawaj żarłoka – powiedziała matka. – I tak wszystko zwymiotujesz. A poza tym – przypomniawszy sobie – będziesz musiał prowadzić. Mamy mało kierowców.

– Zwariowałaś? – krzyknął ojciec. – Czy ja teraz mogę prowadzić samochód?

– O ile mi wiadomo, nikt ci tego nie zabronił.

– Żądaś ode mnie, abym się przedzierał samochodem przez setki gapiów?! A jeśli kogoś zabiję? O tym nie pomyślałaś?!

– Przez setki gapiów? – krzyknęła matka Kvida. – Opanuj się! Zachowujesz się tak, jakby to Robert Redford się żenił! Możesz się nie obawiać. O ile w ogóle kogoś po drodze spotkamy, odpowiednio wcześniej cię uprzedzę.

– Jestem na wpół ślepy! – wołał ojciec.

– Jeżeli dojechałeś przez Alpy do Jugosławii, to dasz radę przejechać kilometr po równinie – zapewniła go matka. – A że o ciebie chodzi, będę ci odpędzać sarny.

– Mam rozumieć, że chcesz krwawego wesela? – krzyczał ojciec. – Więc dobrze! Niech będzie!

Przygotowania przedślubne, które ze względu na kwietniowy termin trzeba było przyspieszyć, w rodzinie Kvida spadły praktycznie wyłącznie na barki matki. Babcia Líba wyjechała z przyjaciółkami na przecenioną, przedsezonową wycieczkę do Szolnoku na Węgrzech, Paco wraz z nadchodzącą wiosną coraz częściej przebywał w lesie, zaś ojciec, o ile nie był na portierni albo w warsztacie, przez cały czas studiował własnoręcznie narysowany plan wszyst-

kich trzech skrzyżowań, które czekały na niego na drodze do klasztoru. Kvido poprawiał tekst noweli.

– Ja już swoje zrobiłem – mawiał z dumą, patrząc na lekko już się napinającą sukienkę Jaruški.

Przed wszystkim trzeba było sporządzić listę gości, aby móc na czas wysłać zaproszenia. Rodzina Jaruški nie była liczna, a poza tym ojciec Kvida w kolumnie nazwisk, wstępnie przygotowanej przez matkę, dziko poskreślał wszystkie jej praskie przyjaciółki, które określił jako polityczne kaskaderki, a więc zapowiadało się całkiem skromne wesele. Wszystko jednak mogła zmienić babcia Líba, która na wierszowanej czarno-białej widokówce z Szolnoku aż dwukrotnie wspominała o sympatycznym starszym przewodniku, jego żonie i dzieciach jako o „najcudowniejszej rodzinie, jaką kiedykolwiek w życiu spotkała”.

– Jakoś to będzie – zapewniała z uśmiechem matka Kvida Jaruškę, która jako jedyna przychodziła jej pomagać. Praktyczny charakter przygotowań bardzo je zbliżył – a kiedy Kvido pewnego dnia zastał je płaczące ze śmiechu ze splecionymi dłońmi, jak bezskutecznie starają się zawiązać białą wstążkę na mircie, po raz pierwszy doznał owego cudownego uspokajającego poczucia najgłębszego możliwego bezpieczeństwa.

– Trudno opisać to jakoś dokładniej – opowiadał Kvido – ale proszę sobie na przykład wyobrazić, że podczas deszczu do zupełnie wystarczającej peleryny nagle przybędzie wam jeszcze parasol.

XIII

1

Już na kilka dni przed ślubem syna ojciec Kvida podjął ostateczną decyzję, że owe mniej więcej tysiąc sto metrów, jakie dzieliły jego garaż od sali obrzędów, przejedzie, jak to się mówi, na pewniaka. Swe postanowienie spełnił potem co do joty, i to mimo że prędkość, z jaką postanowił jechać, bardziej chyba odpowiadałaby pogrzebowi. Nie zważał na niezrozumiałe trąbienie samochodów jadących za nim i coraz to większy dystans od jadących przed nim, kurczowo trzymał kierownicę i patrzył zimnokrwistym skupionym wzrokiem.

Kiedy goście weselni wysiedli z samochodów, ustawili się zgodnie z protokołem i przeszli na żwirowy dziedziniec klasztoru, czekała na nich pierwsza niespodzianka w postaci wzorowo wyrównanego szpaleru ośmiu umundurowanych członków straży zakładowej o średniej wieku sześćdziesiąt siedem lat.

– Oddział honorowy, baczność! – zakomenderował starczym głosem dowódca. Kvido spodziewał się czegoś takiego, ponieważ w ostatnich dniach kilkakrotnie zdarzyło się, że kiedy wracał z obchodu na portiernię, portierzy z filuternymi uśmiechami milkli, ale teraz, patrząc na wszystkie te opuchnięte, pomarszczone, reumatyczne ręce, roztrzęsione z heroicznego wysiłku, by utrzymać palce przy daszku służbowej czapki choć na chwilę naprężone, musiał bronić się przed nieoczekiwanym wzruszeniem.

– Spocznij! – zawołał przyduszonym głosem.

O niespodziankę numer dwa, by nie powiedzieć wprost sensację, postarała się towarzyszka Šperková, która swym dawnym najlepszym recytatorom przyprowadziła do sali

obrzędów dwójkę obecnych podopiecznych, również chłopca i dziewczynę, oboje w mundurkach pionierskich.

– Pięknie, nie ma co! – rzekł dziadek Josef. – Pionierzy!

– Daj spokój! – szeptała rozzłoszczona babcia.

Matka Kvida patrzyła obojętnie.

Ku przerażeniu ojca Kvida, pod godłem państwowym, obok aksamitnej kurtyny nagle pojawił się towarzysz Šperk. Uśmiechał się.

– To on – szepnęła matka doktorowi Liehrowi. – Ten, co się śmieje.

– Ten? – dziwił się psychiatra.

– Dajcie sobie spokój! – szeptał wściekle ojciec Kvida.

Nadeszła kolej na recytację. Mały pionier wziął swą partnerkę za rękę i zaczął. Towarzyszka Šperková mrugnęła do Jaruški.

Ta ziemia osobliwa
jest pełna czarowności.
Tam byłabyś szczęśliwa!
To ziemia wolności.

– recytował tymczasem chłopiec. Kiedy doszedł do słów „tam byłabyś szczęśliwa”, odwrócił twarz w stronę dziewczyny. Towarzyszka Šperkova kiwnęła głową. Kvido spojrział na Jaruškę. Zauważył, jak pod welonem poruszają się jej wargi.

Tu rwący nurt potoku
czasami śpiących budzi.
Bo szczęście i nasz spokój
jest w szczęściu wszystkich ludzi.

– skończyli wspólną recytację młodzi artyści.

– A niech go! – rzekł Paco teatralnym szeptem.

– Dziękujemy pionierom za ich piękny powitalny występ – rzekł towarzysz Šperk i życzliwie skinął na kierownika urzędu udzielającego ślubu.

Przyjęcie weselne, ze względów oszczędnościowych, odbywało się w domu, na tarasie, na trzech dosuniętych do siebie stołach. I zdecydowanie nie było okazałe.

– Jako portier nie możesz się spodziewać cudów – powiedziała wprost matka Kvida.

Na obiad były sznycle i sałatka ziemniaczana. Nalewano piwo.

– Jemu nie nalewajcie! – zażądała babcia Věra i przykryła ręką szklanę dziadka.

– Słyszycie ją? – dziadek domagał się poparcia pozostałych gości. Gwałtownie wstał i poszedł na spacer po ogrodzie.

– Do stołu! – wołał ojciec Kvida z nerwowo promiennym uśmiechem.

Paco przyniósł magnetofon.

– Teraz mógłbyś wreszcie posłuchać tej kasety, kiedy ten komunistyczny rytuał mamy już za sobą – naciskał na brata. – Obiecujesz mi to już co najmniej od tygodnia!

– Teraz to zostawcie! – żądał ojciec.

– Zlituj się, braciszku! Nie wystarczy ci, że się żenię? Muszę jeszcze do tego wszystkiego słuchać traperskich piosenek?

– To nie są traperskie piosenki! – bronił się Paco i na dowód prawdziwości swych słów włączył magnetofon – zacięta weranda od razu wypełniła się głosem Karla Kryla.

– Rany boskie, wyłączcie to! – domagała się matka. – Chcemy w spokoju zjeść obiad.

– Potem, Paco – zapewnił brata Kvido.

– I tak jest zawsze...

– Kielbasa do sałatki ziemniaczanej?! – przerażona nagle babcia Líba. – A ta marchewka jest ze sklepu?

– Ze sklepu – powiedziała matka przekornie.

– Marchewka ze sklepu! – wołała babcia. – Wiecie, ile mikrogramów azotanów na litr moczu dopuszcza norma?

Nie uzyskała odpowiedzi.

– Czy mogę wam dolać piwa? – spytał Kvido nieco zdziwionej teściowej.

– Dziękuję.

- Wiecie ile? – powtarzała babcia.
- Ile? – nie wytrzymał doktor Liehr.
- Osiemdziesiąt. A wiecie, ile średnio zawiera ich marchew?
- Ile?
- S i e d e m s e t t r z y d z i e ś c i! – wykrzyknęła babcia triumfalnie. – A ona spokojnie k u p u j e marchew.
- W ubiegłym roku miałam pięć grządek marchwi – matka bez wzruszenia poinformowała doktora Liehra. – W jeden miesiąc zużyła wszystko na placki marchwiowe.
- Psychiatra obdarzył ojca Kvida współczującym spojrzeniem pełnym męskiej solidarności.
- Przepraszam na chwilę – usprawiedliwił się ojciec Kvida i wstał.
- Dokąd idziesz? – spytała matka. – Wieńce kładzicie dopiero o ósmej.
- Zgadza się – rzekł ojciec tajemniczo.
- Minutę później z głębi domu odezwał się lamentujący dźwięk grubościówki.
- Panie doktorze – powiedziała matka Kvida. – Czy mógłby mi pan nalać z tamtej butelki?

3

Ojciec Kvida wrócił na przyjęcie weselne tuż przed dziewiątą. Miał na sobie czerwone spodnie od dresu i był bardzo spocony. W lewej ręce trzymał płonąca pochodnię.

Inżynier Zvára, który mu towarzyszył, był w cywilnym ubraniu; niósł wieniec żałobny z czerwoną wstęgą ze złotym napisem Zrzeszenie Sportowe.

– Nie zdążyłem jej zgasić – rzekł zasapany ojciec Kvida. Spojrzał przelotnie na wieniec. – Te głupki zamówiły dwa – dodał dla wyjaśnienia.

– To nie szkodzi! – śmiejąc się, odparła matka Kvida z zadziwiająco miękką artykulacją. – Ty już sobie z tym jakoś poradzisz!

– Śpiewa tam *Międzynarodówkę*, zamiast śpiewać synowi na weselu! – śmiał się Zvára. – Więc przyprowadziłem wam go do domu.

– Panie inżynierze – rzekł z trudem Paco. – Proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie...

– Żadnych pytań! – zdenerwował się Kvido. – Kto, do cholery, pozwolił mu pić?

Ojciec wrzucił pochodnię do beczki z deszczówką. Zasycała.

– Czy jest pan członkiem partii komunistycznej? – zawołał Paco.

– Dobre pytanie – rzekł doktor Liehr. – Ten chłopak ma talent.

– Co by pan powiedział na wycieczkę łodzią podwodną, panie doktorze? – wesoło powiedziała matka. – Mam na myśli, ze mną?

– To nie jest takie proste, chłopcze – powiedział Zvára, uśmiechając się ponuro.

– Tak się składa, że mąż utopił nam hamburger!

– Niech się pan wynosi! My tutaj nie jesteśmy żadną przednią strażą! – ryknął Paco zachrypniętym głosem.

Zza zakrętu drogi dolatywały dźwięki zbliżającej się orkiestry dętej.

– Już idzie pochód! – wołał zdenerwowany ojciec. – Chodźcie do środka!

– Wykichajcie się na to – rzekł Kvido do Zváry. – Jest pijany...

– Kocham pochody! – zawołała matka Kvida. – Pan nie, panie doktorze?

– Na co ma się wykichać? – jęczał Paco. – Na prawdę? Na honor? Na sumienie?

– Nawet nie – rzekł doktor. – Ale lubię lampiony.

– Ty nasz mały wojowniczkę – rzekł Kvido do Paca. – Zjeżdżaj do łóżka!

– Już tu są! – wołał przestraszony ojciec. – Natychmiast wszyscy wchodźcie do środka!

– Przyrowadź ich tutaj! – rozkazała matka Kvida. – Zachciało mi się tańczyć z twym lekarzem! Co ty na to, Jaruško, zatańczymy?

– Tak! – z zapalem odpowiedziała Jaruška.

W półmroku nad drogą błysnęły instrumenty muzyków. Za nimi widać już było pierwsze różnokolorowe światła.

– Ja ich przyprowadzę! – rzekł Zvára, aby uniknąć pytań Paca.

Kilka minut później cała kapela, za którą postępowała część pochodu lampionowego, ustawiła się w półkołu pod tarasem. Jaruška wyszła do muzyków z tacą pełną szklanek.

– Zdrowie młodej pary! – rzekł uroczyście kapelmistrz.

– Solo dla nowożeńców! – zawołał ktoś.

Muzykanci oddali szklanki i chętnie porzucili rewolucyjny repertuar. W ciepły wieczór rozbrzmiał powłóczysty walc wiedeński. Obcasy butów Kvida grzęzły w miękkim trawniku. Jaruška promieniała radością; kiedy plecami otarła się o pochylone gałęzie najbliższych jabłoni, na ramiona jej sukni ślubnej spadały całe kaskady różowobiałych płatków.

– Do dupy z orkiestrą dętą! – krzyczał Paco, lecz na szczęście nikt go nie słyszał.

Następny utwór przeznaczony był dla wszystkich. Na trawniku pojawiło się ponad dziesięć par. Kvido z Jarušką poszli napełnić szklanki. W kuchni spotkali kilkoro zupełnie obcych dzieci.

– Cześć, dzieci – rzekł Kvido.

– Dzień dobry – odpowiedziały dzieci. – Nam się chce pić.

– To się nazywa lekceważenie uroczystości majowych! – szeptał Zvárze ojciec Kvida. – Będzie chryja!

– Spokojnie, człowieku, wyluzuj się! – odciął mu się Zvára.

Ojciec udał się gdzieś do piwnicy. Jaruška znów podeszła do muzyków i wypijała toast z kapelmistrzem.

– Czolem, portierze – rzekł jakiś młody człowiek do Kvida. – Ja jestem niejaki Míla!

– Czolem, Mílu! – rzekł Kvido.

W ogrodzie doszło do czegoś w rodzaju pijackiego zbratania.

– Chciałbym mieszkać na wsi – rozmarzył się doktor Liehr.

– To jesteś głupi – powiedziała matka Kvida. – Umiesz tango?

– Nie mamy nic do picia – rzekł Kvidowi Míla. Odwrócił pustą butelkę.

- Chodź za mną, Mílu – odparł Kvido. – Coś znajdziemy.
- Na schodach do piwnicy spotkali starszego mężczyznę.
- Good evening, Sir – Kvido pozdrowił go z uśmiechem.
- Good evening! – śmiał się mężczyzna.
- Kto to był? – dopytywał się Míla.
- Przyjaciel babci – rzekł Kvido. – Węgier.
- Potrącili babcię. Niosła kartonowe pudło.
- Hallo! – rzucił jej Kvido.
- Węgierka? – spytał Míla.
- Babcia – odpowiedział Kvido. – Kradnie kielbasę.
- Kapitalne – rzekł Míla.
- Chcesz kielbasę? – spytał Kvido.
- Zajrzeli do warsztatu. Przestraszony Míla cofnął się błyskawicznie.
- Co to jest? – ryknął.
- Ojciec. Przymierza trumnę.
- Kapitalne – rzekł Míla. – Udana z was rodzina.
- Czym się właściwie zajmujesz, Mílu? – spytał Kvido.
- Ja? – rzekł Míla. – Jestem robotnikiem.
- Kapitalne – stwierdził Kvido. – Nawet nie wiesz, jak długo cię szukałem.

XIV

1

W tydzień po ślubie Kvido ponownie spotkał się z redaktorem. Tego dnia ostatecznie zrozumiał, że szansa na wydanie *Sprawy dwunastego piętra* jest praktycznie zerowa, i to absolutnie bez względu na to, czy uda mu się wkomponować do tekstu postać robotnika Míly.

Na dobre odłożył więc rękopis i powoli zaczął się rozglądać za jakimś innym, mniej kontrowersyjnym tematem, co ostatecznie radzono mu w wydawnictwie.

Później, podczas wielu kolejnych nocy, w pogrążonym w mroku biurze matki zastanawiał się nad możliwymi postaciami swego przyszłego opowiadania – jednakże kiedy odrywał wzrok od notatek i zatrzymywał go na rodzinnych fotografiach pod szkłem, za każdym razem uświadamiał sobie, że żadna z dotychczas wymyślonych postaci nawet w dziesięciu procentach nie osiąga tej atrakcyjności i autentyczności, jaką cechowały się osoby na fotografiach: ojciec, matka, Paco, babcia Líba i dziadek Jiří. Kiedy w skomplikowanych rozważaniach fabularnych opuszczał owych nieznanymi ludźmi z obco brzmiącymi nazwiskami typu Jan Hart czy Florian Farski i całkiem zwyczajnie zaczynał przywoływać w pamięci babcię Věřę czy dziadka Josefa, absolutnie wyraźnie czuł, jak horyzonty jego wyobraźni rozszerzają się w nieskończoność. Kvido – jak wielu innych – stwierdzał, że z trudem znajdzie inną historię aniżeli swoją własną.

– Powieść to coś dla mnie!

Domniemana bezkonfliktowość rodzącej się kameralnej historii była jednak, o czym się Kvido szybko przekonał, tylko kolejną olbrzymią iluzją. Realia społeczne przesiąkały przez ściany tego rodzinnego domku, o którym pisał, już

od pierwszych stron, i to, jak mu się zdawało, absolutnie niezależnie od jego woli. Rzecz jasna, nie podobało się to redaktorowi.

– I jak ci poszło? – pytała rano Jaruška, widząc wciąż zapaloną lampkę na biurku Kvida.

– Wiesz przecież – powiedział Kvido i poszedł posmarować kremem skórę na jej wypukłym brzuchu, jak zalecano w poradnikach. – Sklejanie tych półprawd, jak się tego domaga redaktor, to koszmarna robota. Wyobraź sobie: wprawdzie mogę się urodzić w teatrze, ale zdecydowanie nie w trakcie *Czekania na Godota*, ponieważ jest to dramat egzystencjalny. Ten idiota pewnie chciałby, abym się urodził na *Sprzedanej narzeczonej*!

Jaruška wybuchnęła śmiechem i ściągnęła przez głowę nocną koszulę. Kvido z przyjemnością wchłonął jej zapach i z zachwytem dotykał sztywnych plam z zaschniętego mleka. Spojrzał na Jaruškę. Jej powiększone ciemne brodawki nie podobały mu się, ale w poradnikach pisano, że potem się znów zmniejszą.

– Powinnaś się ubrać – powiedział. – W każdej chwili może przyjść Míla.

– Znowu? – Jaruška zrobiła zawiedzioną minę.

Kvido wzruszył ramionami, niewątpliwie jednak myślał już o czymś innym. Podszedł do biurka i rzucił okiem na zapisane strony.

– Muszę znaleźć sposób, jak odfruną te trzy głupie ptaki; nie używając do tego rosyjskich samolotów – powiedział. Przysunął jedną z kartek.

– Może wypłoszył je przypadkowy wybuch z rury wydechowej samochodu, może cień skrzydeł drapieżnika, który zabłąkał się tu skądś z praskich peryferii – czytał z powątpiewaniem. – Co o tym sądzisz?

– Mnie się to podoba – powiedziała Jaruška. – Ale mnie lepiej nie pytaj.

– Ten drapieżnik i tak chyba nie przejdzie – głośno myślał Kvido. – Tym bardziej dwudziestego pierwszego sierpnia...

Jaruška delikatnie dotknęła pustego dziecięcego łóżeczka, które wspólnie z Kvidem przed paroma dniami świeżo pomalowali; biały lakier trzymał się bardzo dobrze.

– Prawdopodobnie w ogóle nie będzie mi wolno mieć dziadka Jiříego – ciągnął Kvido. – Kiedy zapytałem go, z kim, jego zdaniem, babcia poczęła, odpowiedział mi, że przed przedstawicielem Praskiej Wiosny da pierwszeństwo choćby nawet samozapłodnieniu. Świetnie, powiedziałem mu, a drugi dziadek, jak pan sądzi, ile powinien nafedrować w jedną zmianę? Nafedrować może, ile chce, powiada redaktor, najważniejsze, żeby siedział cicho!

– To straszne – szczerze przyznała Jaruška.

– Ale ja mu to napiszę! – Kvido podniósł głos, a w jego oczach pojawiła się jakaś dziwna, zażarta stanowczość. – Wszystko mu to napiszę! Dziadka Jiříego elegancko wcześniej pochowam, może jakoś w pięćdziesiątym szóstym roku, wypadek samochodowy czy coś w tym stylu, drugi dziadek będzie niemym przodownikiem pracy, z matki zrobię odrzucaną aktorkę, a ojciec... ojciec będzie szalonym, zapalonym rzeźbiarzem! A babcia? Stuknięta zielarka! Gdzież tam kontaminowana żywność! – krzyczał Kvido.

– Puchnę po pomidorach – powiedziała Jaruška.

– Też? – zdziwił się Kvido. – Míała ma przynieść ze swego ogródka.

Odłożył papier na biurko.

Posepnie pokręcił głową.

– Ty pewnie nie umiesz sobie tego wyobrazić, ale być zmuszonym do ukrycia własnej książki w szufladzie to tak, jak gdyby oddać własne dziecko gdzieś do sierocińca.

Jarušce napłynęły do oczu gorzkie łzy.

– Czego się wygłupiasz? – przestraszył się Kvido.

– Cały czas mam teraz serce z wosku – szczęśliwie chlipnęła Jaruška.

2

Redaktor wydawnictwa nie był jednak jedynym cenzorem Kvida.

Pewnego dnia Kvido usłyszał listonoszkę, jak w przedpokoju szamoce się z Uroczą.

– Dobrze, że pani przyszła – zawołał. – Potrzebowała tego jak soli, skacze żonie na brzuch!

– Przynoszę panu polecony – powiedział listonoszka zadyszczanym głosem.

Uroczą zwinęła swój gęsty ogon pod tylne nogi i, skamłając, zniknęła z jej pola widzenia.

Kiedy chwilę później Kvido otworzył list, stwierdził ze zdziwieniem, że pisze do niego własna matka.

Miły Kvido – czytał. – Mam nadzieję, że tę sukę stłukła porządnie. Znowu zaczęła na mnie za bardzo skakać, a te cztery korony za list polecony zawsze chętnie odżałuję.

Jak zapewne się domyślasz, istota mego listu tkwi w czymś zupełnie innym. Dlaczego więc piszę do ciebie? Do czegoś muszę ci się przyznać: sprzeciwiłam się twojej woli i wczoraj w nocy, kiedy byłeś w pracy, przeczytałam na razie niedokończone rozdziały twojej powieści.

– Ja ją zamorduję! – wybuchnął Kvido.

Czytałam je jednym tchem, a kiedy nad ranem skończyłam – na dworze już śpiewały ptaki – byłam nie tylko ścierpnięta i skostniała, ale także wzruszona i zagniewana równocześnie. Postanowiłam więc od razu do ciebie napisać. Wiem, że i beze mnie nie masz łatwego życia, wiem także, jak często cytujesz, że baza autobiograficzna jest tym najmniej interesującym punktem widzenia, z jakiego książkę można przeczytać. Jednakże, Kvido, czy także reszta wie o tym? Wszyscy ci ludzie, którzy nas znają, a którzy będą tę książkę czytać? I na podstawie tego osądzać nas i oceniać? Pomyślałeś o tych ludziach, kiedy pisałeś o wodzie, rozdeptanej po całym mieszkaniu, o tych kłębach kurzu, o tym przepelnionym, cuchnącym koszu czy też o tej desce sedesowej upstrzonej żółtymi plamami moczu? Pomyślałeś o nich, kiedy – muszę przyznać, całkiem dowcipnie – pisałeś o tym, jak babcia na zagranicznych wycieczkach kradnie przedmioty upominkowe? Rozumiem, Kvido, że pisarz nie może swych doznań oraz doświadczeń życiowych, jak sam mówisz, zamaskować innym sposobem niż w formie powieści – ale z drugiej strony zdecydowanie nie chciałabym dożyć tego, by moi przyjaciele brzydzili się naszym ustępem! Właściwie – wybacz mi to prozaiczne pytanie – dlaczego w takim razie ty go nie posprzątałeś? Wiem, co mi odpowiesz – ty o nim p i s a ł e ś.

– Boże na niebiesiech! – szeptał Kvido.

Zawsze, Kvido, wspólnie z Twym ojcem staraliśmy się stworzyć dla Was to, co można nazwać domem – pisała dalej matka. – Czasy wymagały tego (czy może los?), że na przestrzeni lat pod naszymi rękami bardziej niż dom w pełnym tego słowa znaczeniu powstawała jakaś przedziwna kombinacja warsztatu stolarskiego, sanatorium psychiatrycznego oraz domu spokojnej starości. Jak mawia moja ukochana Cordelia: „Dobre intencje przyniosły złe skutki: Nie nam to pierwszym taka rzecz się zdarza”.

Wiem, co chcesz powiedzieć. Żadna kobieta nie stanie się wspaniałą matką tylko dlatego, że będzie odkurzać i czyścić ustęp; rozumiem, że uważasz te sprawy za drugorzędne. I znów to samo: czy reszta także o tym wie? Problem w tym, że nigdzie tego wyraźnie nie napisałeś.

Czuję się, Kvido, jak uczennica, która prosi nauczyciela o lepszą ocenę – a tymczasem jestem Twoją matką. Mój ojciec do swej matki zwracał się per „wy”. Nie, tego, oczywiście, od ciebie nie wymagam, ale czy nie mógłbyś przynajmniej zrezygnować z tej obsikanej deski? O ileż ostrzejsza od zęba węża jest niewdzięczność własnego dziecka! – powtarzam za O’Neillem. Nie wydaje mi się, żebyś był niewdzięczny (w wielu miejscach piszesz o mnie bardzo ładnie), raczej troszeczkę niesprawiedliwy. Czyż nie rozumiesz tego, że, o b i e k t y w n i e rzecz biorąc, ja jako kobieta nie mogłam tego zrobić?

Chciałabym, abyś mógł widzieć, jaka jestem cała purpurowa na twarzy, kiedy muszę pisać o takich rzeczach – a jestem tutaj zupełnie sama. Naprawdę pozwolisz tysiącom zupełnie obcych ludzi wejrzeć do mych spraw prywatnych?

Proszę Cię, zastanów się nad tym.

Całuję Cię. Twoja matka

– Ja zwariuję! – krzyknął Kvido. – Tutaj naprawdę nie da się pisać!

3

Kvido tak organizował swe spotkania z redaktorem, aby ich terminy pokrywały się z terminami, kiedy Jaruška jeź-

dziła do Zity; wtedy razem wybierali się do Pragi.

– Wie pan o tym, że właśnie O’Neill zastrzegł sobie, że jego dramat autobiograficzny nie może się ukazać drukiem wcześniej niż ćwierć wieku po jego śmierci? – śmiał się redaktor, kiedy Kvido opowiedział mu o liście matki. – Kiedy stawiał ten warunek, nikt z jego rodziny dawno już nie żył! Pański problem polega na tym, że pan chce to wydać w czasie, kiedy jeszcze żyją absolutnie wszyscy.

– Babcia rzekomo ma raka, a ojciec już robi sobie trumnę – oschle odpowiedział Kvido. – Jest więc jakaś szansa.

– Widzę, że ironia to pański żywioł – śmiał się redaktor. – Cały czas to panu powtarzam.

– Być może – powiedział Kvido. – Niemniej mój problem polega na tym, że w ogóle chcę to wydać. W czasie obecnym i w dodatku u pana.

– A jednak – odparł redaktor – cóż innego mogą robić ludzie myślący i humaniści, niż walczyć o właściwe słowa?

– Nie walczyć – powiedział Kvido.

– No i jak? – dopytywał się Kvido Jaruški, kiedy później spotkali się w mieście.

– W porządku! – meldowała z uśmiechem Jaruška. – Masz pozdrowienia od Zity, a co u ciebie?

– Ja? – Kvido zaczął się zastanawiać, jak właściwie wypadł. – Ja najprawdopodobniej kwalifikuję się jako ciąża wysokiego ryzyka.

– Myliłem się – opowiadał później. – Pod opieką tego redaktora nie groziło mi żadne ryzyko.

4

W środę, dwudziestego października Kvido miał nocną zmianę. Po południu zza chmur wyjrzało słońce. Przemógł niechęć i poszedł zgrabić z trawnika przed tarasem opadłe bukowe liście, jak życzyła sobie matka. Kiedy po chwili obok niego pojawiła się pełna majestatu postać Jaruški, uśmiechnął się, lecz nie pozwolił jej na nic więcej poza przygrabieniem na ognisko owych kilku listeczków, jakie mu rozdmuchał wiatr

– Jak się czujesz? – dopytywał się.

– Dobrze – powiedziała Jaruška.

– A jak się czuje Anička?

– Nie wiem, jak się czuje Anička – przekomarzała się Jaruška. – Ale Jakub też ma się dobrze.

Kvido wysypał na ognisko ostatni kosz, wolną ręką objął w pasie żonę i tak doszli do domu. Tu umył się i przebrał, a Jaruška tymczasem wysypała mu kawę do pojemniczka i zapakowała kilka kawałków ciasta, które rano upiekła. Włożyła mu wszystko do teczki, a do drugiej przegródki Kvido wsunął zaczytaną książkę i kartki papieru z notatkami na temat postaci Jaruški.

– Pomacham ci – powiedział automatycznie.

Jaruška nastawiła twarz do pocałunku.

Kiedy mniej więcej po pięciu godzinach Kvido wspiał się na konstrukcję podpierającą umieszczony na dachu neon, stwierdził z niepokojem, że niemal w całym domu panuje głęboka ciemność; tylko w pokoju dziecięcym paliło się światło. Chwilę czekał, czy aby w kuchni jednak nie zaświeci się lampa, ale się nie doczekał. Zeskoczył więc z powrotem na dach i mniej więcej piętnaście minut spędził na czarnych rozważaniach. Okna w kuchni pozostały ciemne. Kvido zszedł po drabinie na korytarz i szybko dokończył obchód. Postanowił, że jak tylko wróci na dół, poprosi dowódcę o zgodę i podbiegnie do domu.

Kiedy tylko wszedł na zaplecze portierni, zobaczył na stole pełne szklanki. Wszyscy trzej portierzy stali, odśladając w uśmiechu poźółkłe sztuczne uzębienie.

– Właśnie dzwonił z Hory – rzekł dowódca. – Masz córkę, ty tchórze!

XV

Dzień odwiedzin w szpitalu kutnohorskim. Świeżo upieczeni ojcowie i pozostali krewni stoją na zdeptanym trawniku przed pawilonem porodówki. Położnice wychylają się z okien trzeciego piętra.

JARUŠKA *(z nieudawaną radością)* Cześć! Szybko przyjechaliście, to dobrze.

JAKIŚ OJCIEC A dlaczego nie możesz siedzieć?

JAKAŚ MATKA Chyba źle mnie zszyli...?

KVIDO *(zadziwiająco szybko)* Przyjechaliśmy samochodem.

JAKAŚ MATKA Albo raczej krzywo nacięli...?

JARUŠKA *(z podziwem)* Naprawdę? Prowadziłeś?

KVIDO *(z wyraźną niechęcią)* Hm.

JARUŠKA *(z przest్రachem)* Co się stało?

PACO Nic. Przejechał jednego psa.

JARUŠKA *(łagodnie)* Ależ Kvido, przecież to może się przydarzyć każdemu kierowcy. Uspokój się.

PACO No tak, z tym że ten był w budzie...

(Śmiech; wszyscy odwiedzający ze zdumieniem patrzą na Kvida).

KVIDO *(rozdrażniony do Paca)* A kto się wciąż darł „W lewo! W lewo!”. Chcieliście w lewo, no to skręciłem.

PACO *(tłumaczy Jaruške)* Początkowo myślałem, że przejechał tylko tę budę, ale kiedy rzuciłem połamane deszczułki, leżał tam ten kundel. Martwy...

MATKA KVIDA Chyba nie będziemy rozmawiać o psach? *(spogląda na Aničkę w ramionach Jaruški)*

JARUŠKA Nie widzicie, jak Anička wytrzeszcza na nas te swe prześliczne brązowe oczęta? *(usprawiedliwiająco patrząc na córkę)* Przed chwilą zasnęła...

INNA MATKA Zupełnie rozdarł mi brodawki.

INNY OJCIEC Kto?!

INNA MATKA No przecież Lukášek, głuptasku...

MATKA Wszystko już mamy przygotowane. Babcia uszyła nam maseczki higieniczne.

JARUŠKA *(ze wzruszeniem)* Ale to...

MATKA KVIDA Oczywiście Uroczka będzie chodzić w kagańcu... *(spogląda na swego męża, który stale milczy i tylko nieśmiało się uśmiecha)* O Boże, pokaż jej wreszcie te zabawki...!

OJCIEC KVIDA *(wyjmuje z torby kilka drewnianych zabawek)* Ja to... dla tej małej... *(głos odmarwia mu postuszeństwa)*

JARUŠKA *(płacze)* Dziękuję. Są naprawdę przepiękne! Dziękuję.

KVIDO *(z przestrawieniem)* Dlaczego płaczesz? Całą ją zmoczysz! *(Anička budzi się i płacze)*

PACO To się nazywa protest song!

MATKA KVIDA Nie męczą jej wiaterki? Na to najlepszy jest koper włoski!

PACO Niech żyje medycyna ludowa, zacofanie i ciemnota!

MATKA KVIDA Przestań bredzić i idź Kvidowi umyć przednią szybę! *(zwraca się do Jaruški)* A te opuchnięcia?

JARUŠKA *(smarka)* To było uczulenie na rivanol.

PACO Nie możemy jechać z powrotem przez tę wieś, tam już na nas czekają z widłami...

MATKA KVIDA Miałeś iść umyć szybę!

PACO Wątpię, że to coś pomoże. Kiedy rąbną w tę budę, przednia szyba zupełnie...

MATKA KVIDA *(gniewnie)* Marsz stąd! *(odwraca się w stronę męża)* A ty już nic nam nie powiesz? Nikt cię przecież nie zmusza, żebyś od ra-

zu krytykował naszą socjalistyczną służbę zdrowia, możesz przecież powiedzieć coś nieprovokacyjnego...

KVIDO

(przerywa jej) Mamo!

MATKA KVIDA

(ignoruje upomnienie Kvida) ...na przykład jak chciałeś tego wystruganego karego konika pomalować tym samym lakierem, którym...

KVIDO

Mamo!

MATKA KVIDA

...którym nie tak dawno pomalowałaś własną trumnę!

(Wśród odwiedzających zapanowuje powszechne przerażenie).

KVIDO

(po chwili) No cóż, powoli będziemy się zbierać.

JARUŠKA

(połyka łzy) Pomachasz nam?

KVIDO

Pewnie, że pomacham.

XVI

1

Hipoteza matki Kvida, że pojawienie się w rodzinie małego dziecka będzie miało zasadniczy wpływ na przebieg neurastenii ojca, niestety nie znalazła potwierdzenia. Wprawdzie wyrzeźbił dla Anički jeszcze kilka drewnianych zwierzątek, miniaturowych wózeków i najróżniejszych bardziej czy mniej ruchomych laleczek i codziennie bawił się z nią, ale nie miało to zasadniczego wpływu na przebieg jego choroby.

Na szczęście w miarę szybko pojawiło się coś innego, co w najbliższych latach przeniosło ojca Kvida od myśli o śmierci może nie wprost do samego centrum życia, ale przynajmniej na jego margines – a mianowicie radziecka pierestrojka. Więcej czasu niż przy pracy nad trumną (która, nawiasem mówiąc, była licznymi rzeźbionymi ozdobnikami przeładowana, na czym straciła sporo ze swego pierwotnego, surowo przerażającego wyglądu, i bardziej niż łożo śmierci przypominała obecnie dach chatki z piernika) spędzał teraz ojciec na śledzeniu audycji informacyjnej „Wremia”, przede wszystkim zaś przemówień Gorbaczowa. Jednakże w czasie ich nadawania niejednokrotnie był w pracy, toteż matka – specjalnie w tym celu przeszkolona – musiała mu odpowiednie programy nagrywać na tani magnetowid z Hongkongu, który skądś z Zachodu przywiózł ojcu inżynier Zvára.

Jęk maszyny do obróbki drewna został więc zastąpiony zadziwiająco rzewnym głosem tłumaczki telewizyjnych wystąpień Gorbaczowa. Wydawało się, że ów głos przyciąga, jeśli nie wprost urzeka ojca Kvida – a jego wzrok w ogóle nie może się oderwać od tej szerokiej, niezwykle żywej

jak na wschodniego polityka twarzy i od jego czaszki z tajemniczym znakiem. Matka Kvida musiała tłumić pewne wzruszenie, którego doznawała, ilekroć przyłapała męża, jak pospiesznie zapala lampkę na biurku, szuka notesu i długopisu, aby zanotować tę czy inną myśl sekretarza generalnego, albo kiedy zauważała, jak na wiecznie kamiennej twarzy ojca Kvida od czasu do czasu pojawiał się lekki, ale zauważalny odblask częstych uśmiechów Michała Sergiejewicza.

– Zauważyłeś? – szeptała radośnie Kvidowi.

– Ta nasza słowiańska wiara w Rosję! – skomentował ironicznie Kvido. – Choćbyśmy się po stokroć sparzyli, i tak nie wyciągniemy z tego żadnych wniosków!

– Może nie będziesz mi wierzyć – powiedziała spokojnie matka – ale ja zdecydowanie bardziej wolę, jeżeli ślepo wierzy w Rosję, niż kiedy przygotowuje sobie rekwizyty na własny pogrzeb.

– Rany boskie! – wyśmiewał się Kvido. – Jeszcze nie tak dawno nie nadążał umykać na chodnik przed ruskimi czołgami, a teraz, dla odmiany, łączy z Rosją wszelkie nadzieje naszego narodu... – Skrzywił się: – Aj, nie będzie w Czechach dobrze, dopóki Borys Jelcyn nie naleje sobie do chłodnicy wołgi wody z Wełtawy!

– Słuchaj – powiedziała matka – mnie jest wszystko jedno. Niech sobie łączy wszelkie nadzieje naszego narodu na przykład z Gwineą Równikową. Ciebie zaś stanowczo proszę, abyś mu tej jego prawdy nie obalał. Cieszę się, że w coś wierzy, chociaż może ślepo. Jego mózg pełen jest podważonych prawd.

– To już nawet nie jest mózg – powiedział Paco. – To wiatrołom.

Ojciec Kvida poświęcał teraz mnóstwo czasu także na zdobywanie i lekturę niektórych radzieckich periodyków, wydawanych również u nas, które zaczęły czytelnikom przynosić prawdę w niespotykanym wprost stężeniu. Ojca właściwie nie dziwił fakt, że prawda ta tu czy tam mogła zostać wypowiedziana, o wiele bardziej dziwiło go, że mogła zostać wypowiedziana właśnie w tym kraju, który wszyscy od zawsze stawiali mu za wzór.

Trwająca przez wiele lat niewola ideologiczna nagle paradoksalnie zmieniała się tu w coś pozytywnego. Jeżeli oni, to my także, dziecinnie powtarzał sobie ojciec Kvida. Jeśli na przykład przeczytał gdzieś, że nadszedł czas, aby przestano podejrzewać i torpedować inteligencję, sądził, że taki sam czas musi nadejść także u nas. Był przekonany, że owo cytowane zdanie, które sobie starannie przepisał, wprost daje mu prawo do tego, aby nie być podejrzewanym i torpedowanym.

– Żałosny był widok mojego ojca – opowiadał potem Kvido – który wszelkie życiowe nadzieje opierał na kilku wycinkach z „Týdeníku aktualit”.

Tymczasem w piwnicznym warsztacie na lipowych belkach i sosnowych deskach zaczął osiadać kurz. Obojętność, z jaką ojciec Kvida pożyczył swe najlepsze szwedzkie dłuta inżynierowi Zvárze, już o czymś świadczyła.

– Ty naprawdę pożyczysz mi te szwedzkie? – nie wierzył swemu szczęściu Zvára.

– No tak – tłumaczył mu Kvido – przecież topnieją lody komunizmu...

Piwniczny warsztat nie na długo jednak pozostał pusty, albowiem nawet ojciec Kvida zaczął powoli dostrzegać, jak sprawy faktycznie stoją.

– Odkrył – opowiadał wesoło Kvido – że Šperk, i nie tylko on, także wycina artykuły z gazet, w dodatku udaje mu się zdobyć nawet trudno osiągalny „Sputnik”.

2

Jednakowoż jeszcze przez jakiś czas w rodzinnym kręgu stosunkowo często mówiło się o Związku Radzieckim, a to za sprawą babci Líby.

Pewnej niedzieli Kvido, wciąż jeszcze rozgoryczony ostatnimi wymaganiami redaktora, przyszedł na obiad i od razu poczuł jedyny w swoim rodzaju zapach paluszków ziemniaczanych.

– Aaa, paluszki! – powiedział złowieszczo. – Znowu paluszki! Po raz kolejny paluszki!

Jaruška łagodnie pogłaskała go po ramieniu.

– Nie denerwuj się – szepnęła mu do ucha. – Jutro zapraszam cię na kolację. – Kvido z westchnieniem pocałował ją w policzek.

Kiedy jednak zaraz potem spojrzął na niedokończone jedzenie małej Anički, jego złość szybko powróciła do stanu pierwotnego. Głośno odłożył sztućce.

– Jakkolwiek nie mam zamiaru dyskutować o rzekomej wartości odżywczej tych żółciutkich paluszków, jak również wczorajszych klusek kładzionych czy też przedwczorajszych naleśników – wygłosił ponuro w zaległej ciszy – ale proponuję kolektywne rozważenie pytania, czy aby, przede wszystkim ze względu na naturalne potrzeby rozwoju tego dziecka, nie powinniśmy też czasami kupić, proszę mi wybaczyć to słowo, jakiegoś m i ę s a...

– Przestań! – powiedziała matka.

Pozostali domownicy – z wyjątkiem Anički, która rzucała w stronę babci Líby pełne wyrzutu spojrzenia – z przesadnym zainteresowaniem zajmowali się swymi talerzami.

– Naturalnie mam na myśli r ą b a n k ę – ciągnął lodowato Kvido, przełknąwszy kolejnego paluszka – bowiem nawet budżet rodzinny nie może się kierować pobożnymi życzeniami i podporządkowywać cenowemu dyktatowi zdziarskich rzeźników, którzy na przykład za kilogram niższej gatunkowo wołowiny bezwstydnie sobie liczą całe dwadzieścia pięć koron, co się równa, jak każdy łatwo policzy, połowie wartości znaczka opłaty skarbowej, potrzebnego do deklaracji celno-dewizowej. Dziękuję – definitywnie i nieodwołalnie odsunął talerz – było bardzo dobre i bardzo tanie.

– Wybiera się z przyjaciółkami do Leningradu – wyjaśniała mu po obiedzie matka – spróbuj to zrozumieć. – Proszę cię – dodała.

Kvido wziął sobie do serca prośbę matki i wszystkie te oszczędne, wojenne dania, które, jak zwykle, poprzedzały także ten wyjazd babci, jadł już bez uwag. Zdawało się, że w głębi duszy wybaczył babci, czasami bowiem pozwalał jej, aby opowiadała mu o „Wenecji północy”, robiąc przy tym wrażenie wprawdzie chyba trochę melancholijnego, ale mimo wszystko całkiem skupionego słuchacza.

Kiedy indziej razem z Pakiem wspierali się humorem, dzięki któremu – jak się zdawało – można było zjeść nawet straszną zupę chlebową. Paco na przykład zadawał pytanie, co tym razem przywiezie im babcia, i osobiście stawiał na wielką matrioszkę z lekko tylko poodpryskiwanym lakierem, wewnątrz której rzekomo będzie się znajdować złotawe, starannie wymyte pudełko po kawiorze, a w nim odznaka z sylwetką „Aurory”. Kvido natomiast chętnie się zakładał, o ile to lat babcia się odmłodzi podczas tak długiej podróży na wschód, czyli w kierunku przeciwnym do płynącego czasu.

– Wcale by mnie nie zdziwiło – wmawiał pewnego dnia Pacowi, siedząc nad talerzem kaszy – gdyby tego zakochanego młodzika, który będzie się z babcią obłapiać gdzieś na Newskim Prospekcie, wrobili w molestowanie nieletniej.

Mimo tych zwariowanych pomysłów dotarła później z Leningradu widokówka z zadziwiająco prozaicznym tekstem.

Z Leningradu serdecznie pozdrawia i wciąż o was myśli babcia – było na niej napisane.

– Ani jednego wierszyka? – dziwił się Paco. – Może przechodzi kryzys twórczy?

– Tego nie wiem – powiedziała w zamyśleniu matka Kvida.

3

Jak się później okazało, pierwszych silnych bóli, z którymi sama nie umiała już sobie poradzić, doznała babcia Líba jeszcze w hotelu Družba, w którym razem z innymi turystami czekała na autobus z lotniska. Tamtejszy lekarz był przy niej w niespełną minutę; odwrotną stronę tej pomyślnej okoliczności stanowiło sześć posrebrzanych łyżeczek do herbaty z napisem „Družba”, na które wspomniany lekarz, zmagając się z podróżnym kostiumem babci, sukcesywnie, z coraz to większym zdziwieniem natrafiał.

– Ja tolko chatieła podgatowit’ czaszku czaja – wyjaśniała zakłopotana babcia przerywanym głosem, zanim nowy

napór uporczywego bólu uniemożliwił jej odczuwanie cokolwiek innego prócz samego bólu.

– Niczewo, babuszka, niczewo – uspokajał ją lekarz, troskliwie naciskając jej podejrzanie twarde brzuch.

– Dziecko – powiedziała Zita do matki Kvida parę dni później, odgarniając jej włosy z czoła. – Moje drogie dziecko.

Matka Kvida zamknęła oczy i wbiła zęby w dolną wargę.

Zita spojrzała na Paca i Kvida.

– Chłopcy – powiedziała – a czy wy wiecie, co wam babcia przywiozła?

Sięgnęła do torby i wyciągnęła dwie ciężkie paczki.

Kvido z trudem przełknął ślinę.

– Ten oto aparat fotograficzny Zenit – powiedziała ze wzruszeniem Zita – i tę przepiękną kamerę.

Pacowi zadrżała broda.

– Bardzo was wszystkich kochała – powiedziała Zita bardzo, bardzo podniośle.

XVII

Nagła śmierć babci oderwała Kvida od pracy tylko na kilka dni; kiedy jednak po pogrzebie ponownie wrócił do rękopisu, czuł wobec niego jakąś trudną do sprecyzowania niechęć i sam siebie pytał, jak i w ogóle po co kontynuować pisanie.

Pewnego sobotniego wieczora, kiedy całymi długimi minutami tylko apatycznie gapił się na pustą, białą kartkę papieru, nagle, ni z tego, ni z owego wpadł na pomysł, by tę starą, zniszczoną matę za tapczanem w sypialni zastąpić jakąś nową drewnianą boazerią. Bezmyślnie bazgrał po pustym papierze – a potem wstał i na próbę odciągnął tapczan od ściany. Potem zszedł do warsztatu ojca.

Przez chwilę tylko rozglądał się po sztaplowanej tarcicy, obejrzał deski z drewna czereśniowego z wyraźnym rysunkiem słoju, ważył w rękach ciężar drewnianych bali i sprawdzał ostrza dłut. W końcu wybrał mniej więcej dwadzieścia sosnowych paneli boazeryjnych, by przyciąć je na odpowiednią długość; potem umocował pierwszy w drewnianym imadle i z przyjemnością dotykał jego gładkiej powierzchni.

Zaczął ciąć.

We włoskach na nadgarstku utkwiły mu pierwsze mikroskopijne resztki trocin.

Zawziętą prędkość, z jaką pracował, tłumaczył sobie tym, że chce Jarušce sprawić niespodziankę.

- Skórę tnij, gwoździa wbij! – sapał ponuro z głębi piersi.
- Skórę tnij, gwoździa wbij!

EPILOG

W czerwcu 1989 roku Paco zostaje przyjęty na Wydział Filozofii Uniwersytetu Karola w Pradze. Wkrótce po listopadowej rewolucji, stojąc na czele studenckiej delegacji, przyjeżdża do sázavskiej huty szkła. Przewodniczący Komitetu Zakładowego Komunistycznej Partii Czechosłowacji, towarzysz Šperk, wydaje portierom rozkaz, aby nie wpuszczali studentów na teren przedsiębiorstwa. Po krótkiej potyczce ze swym ojcem Paco wraz z pozostałymi studentami przeskoczy przez płot i dzięki temu pogadanka z pracownikami, mimo wszystko, dojdzie do skutku. (Przyjaciółka Paca, studentka pierwszego roku prawa, z wyrozumiałością wyjaśni matce Kvida istotę praw obywatelskich).

Jednakże dalszy rozwój zdarzeń w CSRS przynosi Pacowi coraz większe rozczarowania. Rezygnuje ze swej funkcji w tak zwanym Studenckim Parlamencie, przerywa studia i odnosząc wrażenie, że mu rewolucję ktoś ukradł, wyjeżdża na stypendium do Stanów Zjednoczonych.

Po powrocie zaczyna aktywnie pracować w Ruchu Anarchistycznym. Jego przekonania pacyfistyczne przybierają na sile. W kwietniu tego samego roku otrzymuje bilet do wojska; u boku innych, podobnie doświadczonych przez los anarchistów, krzycząc Fuck off Army!, manifestacyjnie spali go przed koszarami na rynku Republiki. Żąda odbycia służby zastępczej, równocześnie odpowiadając na ogłoszenie belgijskiej firmy z przedstawicielstwem w Pradze (wymagania: znajomość języka angielskiego, praca na PC, prawo jazdy i wiek do 28 lat). Po udanym przebrnięciu przez konkurs zostaje przyjęty na wyjątkowo dogodnych warunkach płacowych. Ze względu na to, że zaraz w następnym miesiącu kilkakrotnie rozbija samochód, wy-

jeżdżając z parkingu służbowym fordem Sierra, zostaje zwolniony z powodu utraty zaufania.

W roku porewolucyjnym dziadek Josef, za pośrednictwem czasopisma „Annonce”, przeprowadzi kilka stosunkowo intratnych transakcji (za siedem stukoronowych banknotów z wizerunkiem Klementa Gottwalda otrzyma na przykład równe tysiąc koron), ale także on z coraz większą goryczą w głosie komentuje codzienne wydarzenia polityczne. Nie podoba mu się wysokość płac poselskich, długie włosy ministra Langoša, udział byłych komunistów w rządzie i wolne tempo lustracji.

– Powiesić, nie publikować! – krzyczy w tych czasach często.

– Daj spokój! Słyszysz? – stanowczo upomina go babcia Věra.

Pewnego grudniowego wieczoru 1989 roku, na minutę przed godziną dziesiątą, Jaruška spojrzy w stronę czerwonego neonu na granatowym niebie i ze zdziwieniem stwierdzi, że jedna z liter zasłonięta jest sylwetką jakiegoś człowieka. Kvido, który stoi za jej plecami, jest zdruzgotany.

– Potrafiłbym ci wybaczyć, gdybyś sobie znalazła kogoś innego – krzyknie nagle z zazdrości – ale nigdy ci nie wybaczę, że pozwoliłaś mu właśnie na to...!

Nazajutrz okaże się, że owym mężczyzną na dachu budynku administracji był towarzysz Šperk, który własnym ciałem uniemożliwił kilku członkom Forum Obywatelskiego demontowanie neonu.

6 grudnia świecący transparent zostaje ostatecznie usunięty. Tego wieczoru towarzysz Šperk skieruje lufę strzelby myśliwskiej w swą skroń i naciśnie spust. Jednakże kula szczęśliwym trafem ominie cel, tak że jedynym następstwem tego czynu samobójczego, jak później stwierdzi karta informacyjna, będzie czasowo zatkane prawe ucho. Po krótkiej rekonwalescencji towarzysz Šperk kupuje na aukcji, odbywającej się w ramach tak zwanej małej prywatyzacji, budynek restauracji Myslivna za cenę wywoławczą trzech milionów dwustu tysięcy koron czzechosłowackich.

Od stycznia 1990 roku ojciec Kvida pracuje w Ministerstwie Handlu Zagranicznego na stanowisku kierownika

grupy handlowej. Do pracy dojeżdża codziennie własnym samochodem. We wrześniu tego samego roku zostaje wysłany w podróż służbową do Brazylii.

– To już coś, no nie? – śmieje się wtedy często.

Wkrótce po powrocie w ramach całłościowych weryfikacji ministerstwa zostaje pozytywnie zlustrowany i zwolniony ze stanowiska. Wraca do Kavalier Sázava SA, gdzie obejmuje etat referenta do spraw cen.

Przez kolejne kilka miesięcy babcia Věra śpi bardzo niespokojnie. W nocy z 18 na 19 sierpnia w ogóle nie zmruży oka. Nie umie sobie tego wyjaśnić. Rano stwierdza, że wszystkie trzy papużki faliste znów odfrunęły. Parę minut później dowiaduje się z radia, że w ZSRR doszło do zamachu stanu i że na ulicach Moskwy stoją czołgi.

– Realisty cuda nigdy nie wprawiają w zakłopotanie – komentuje Kvido całe zdarzenie.

Matka Kvida nie ma czasu na cuda, albowiem do końca października musi oddać wstępny projekt dotyczący tak zwanej dużej prywatyzacji. Mimo to bardzo się martwi z powodu nawrotu choroby ojca.

12 września z chorwackiej Puli, której zagrażają serbscy nacjonaści, przylatuje Mirjana; matka Kvida udziela jej azylu politycznego.

10 października Kvido przekazuje do wydawnictwa Československý spisovatel rękopis powieści *Cudowne lata pod psem*.